

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



STEFAN ŻEROMSKI

SEN O SZPADZIE

POMYŁKI

SEN O SZPADZIE I SEN O CHLEBIE

SEN O SZPADZIE

Kiedy oficer japoński, skazany na rozstrzelanie przez cudzoziemczy sąd polowy za służbę dla swego kraju, był zapytany przed egzekucją, co chce uczynić ze znalezionymi przy nim pieniędzmi i czy nie jest to z jego wolą zgodne, żeby te pieniądze jego dzieciom odesłać, rzekł: – Pieniądze przeznaczam na rzecz międzynarodowej instytucji Czerwonego Krzyża, a o los dzieci moich nie mam potrzeby się troskać, gdyż po mej śmierci mieć je będzie w swej pieczy – Mikado.

Usłyszawszy tę prostą odpowiedź wzdrygnął się w duchu świat znikczemniały, tym większym zdjęty zachwytem, że japońska sprawa była wygraną.

Poza tobą, żołnierzu polski, gdy samotny na haku szubienicy zawieszasz – gdy lecisz w krwawy skazańca rów, z sercem zestrzelanym od kul żołdackich – gdy dogasz powolnym stracaniem w stepie Sybiru – nie powiewa sztandar dalekiej potęgi. Poza tobą nie ma nic. Za tobą jest tylko dół wykopany na miarę twojego trupa. Przed tobą stoją armie. Twoich dzieci nie nakarmi, gdy skonasz, niczyja miłość. Wyprą się ciebie ziomkowie, zapomną współmieszkańcy, ponieważ w sercu ich nie trwa długo uczucie, a myśl, jak dawno – dawno wykryto, nie trwa godziny. Toteż dzieci twe przyjmie rynsztok, schronieniem będzie im – jako się już przydarzyło – kloaka, a nożowiec, skoro podrosną, będzie im mistrzem. Świat bliski i świat daleki nie wsłucha się w rapsod twojego skonu z zachwytem, gdyż nie jest twoja sprawa wygraną.

Toteż twe bohaterstwo wyższe jest niżli japońskie! Przeciwno tobie za szeregami żołdaków – jest wszystko. Niechęć, trwoga, nienawiść, wrzaski dziedziców, bicie we dzwony fabrykantów, tajne intrygi tchórzów i ciemna niewiedza nędzy. Przerażone oczy narodowej samowoli spoglądają na ciebie ze szpar, ze szczelin, zza węglów i z dymników. Nienawiść wszystkich, komu niepotrzebna jest wspaniałość duszy, moc, nieustrasżoność wytężonego ramienia, zdeptanie za cenę śmierci gronostajów tyranii – zmawia się na ciebie z wypróbowanymi doktrynami zła i filisterii, wzywa na pomoc spryt i wymowę ścierwa dziennikarskiego i mrok zalegający niziny. W trop twoich męczeńskich kroków, które stawiasz, przebiegają jak lis, cicho jak widmo idzie zbrodniarz, naśladowający twój gest i – imię.

Twoja dola – to konać za święte idee, a konać bez ostatniej pociechy męznego człowieka: – bez sławy. Ale ty nie dla sławy wyszedłeś! Posłałeś siebie sam, ażeby świat, wbrew woli świata, wydrzeć spod skinień berła nocy. Twoje zadanie – to niweczyć przemoc człowieka nad człowiekiem, spod męki ciał wydobyć ducha ludzkiego, osadzić wśród ludzi miłość i prawo do szczęścia. Dlatego wyzwalesz na rękę łuk i koronę świata. Więc obok męczeńskiego twojego słupa dla tym większego urągawiska stawiają słupy – łotrów. Wyszędłeś w najciemniejszą, jesienną noc, gdy huczał wicher i bił deszcz, a my wszyscy, dwudziestomilionowy naród, spaliliśmy w swych sypialniach, pokojach, izbach, poddaszach i norach podziemnych kamiennym snem niewolników. Wyszędłeś, jak przemytnik, obnażony do pasa. Na plecach dźwigałeś składowe części drukarni. Byłeś obładowany pismami zwiastującymi wyzwolenie ciał i duchów. W lewej ręce trzymałeś żerdź, którą w ciemności szukałeś obieszczyka strzegącego granic ziemi – w prawej niosłeś rewolwer, gotowy do strzału. Tak przebywałeś graniczne rzeki. Szedłeś w kraj boso i krwawiąc nogi.

Tej to nocy przyniesiona została Niepodległość do tego kraju nędzarzy ducha, popychanych pięścią obcego żołdaka. Tej też nocy przyniesiona została deklaracja praw świętego Proletariusza, która zdeptała przemoc bogaczy. Przyniosłeś wtedy bezcenne zwitki polskiego zakonu od zaklętych emigranckich mogił. Przyniosłeś „drugą strunę”, zerwaną z lutni nieśmiertelnych. Stąpiwszy na ziemię rodzoną, poszedłeś za jękiem ludzkim. Było ci drogowskazem stękanie pracującego człowieka. Ci, o których nie wiedziała Ojczyzna, ci, których trudem pał się świat, znaleźieni zostali przez ciebie, podźwignięci, wezwani i złączeni w towarzyski obóz bojowników o wolność.

Któż dziś policzy te czoła płonące, które zastalił mróz Sybiru? Kto przebrnie objęciem przez ogrom tego cierpienia, które zniósł w kajdanach socjalizm polski? Kto zmierzy długość drogi, którą w śniegach, po grudach i moczarach wygnania wydeptał?

Szarpie dziś jego cześć i jego nieskalany honor polski dziennikarz, który z zadeptywania ogniów idei żyje. Naśladując siepaczów łączy szlachetny cień żołnierza z widmem łotra, który po śladach idzie i chwytą łup. Tęsknym echem, żołnierzu, odbijają się kroki twoje w tajniach ludu, jak echo odbija się w lesie. Jak echo w mrokach lasu – zamierają. Lecz ty sam jesteś ludem i krew twoja w lud wsiąka. Na wystygłych kałużach krwi, w dziewiczych tajniach wyrastają cudne legendy, jakich jeszcze Polska nie miała. Budzą się w duszach sny o pióropuszu sławy...

Bo tylko poezja polska nie opuści cię, nie zdradzi i nie znieważy, żołnierzu! Ona jedna nie złąknie się twych snów i twoich czynów. Gdyby nawet sprawa twoja była przegrana – ona ci wiary dochowa. Ujrzy i spamięta dnie twe i noce, mękę, wysiłek, trud i skon. Złoży ona twą głowę, stłuczoną żołdackimi kolbami, na wezglowiu z najcudowniejszych wierszy, które dla ciebie jednego wyjmie po latach z przepychu prastarej mowy. Nakryje twój nagi trup bez złotego pasa i czerwonego kontusza – gdy go lud łódzki z pospólnego dołu wielokroć wykopie, żeby mu dać sosnową trumnę, to jedno, co lud dać może – płaszczem dostojeństwa utkany z najcudowniejszych barw sztuki. W twoje ręce skostniałe i dopiero w śmierci bezsilne włoży złoty swój sen, sen tylu pokoleń młodzieży, sen o rycerskiej szpadzie.

R. 1905

NAGI BRUK

Rozwarła się wielka brama... Z głębi murów olbrzymich, zadymionych sadzą, wyszedł na ulicę wielki ludzki tłum. Wyszedł od razu, wywalił się jak bryła. Powiewała nad nim czerwona chorągiew, płótno we krwi zmaczane.

Proste drzewo tkwiło w jakowychś dłoniach wyschniętych, sękatych, z czarnymi pazurami. Zdawało się, że dłonie te to szpony ptasie, co pochwytyły i trzymają zdobyty łup. Poniżej dłoni widać było na suchych gnatach dwa brudne mankiety z ordynarnymi spinkami. Dolny brzeg i koniec czerwonego płótna lewą ręką unosiła ku górze kobieta obwiązana chustką wełnianą. Na prawej ręce dźwigała niemowlę, którego główka wyłaniająca się z chusty matczynej tkwiła ponad odkrytymi głowami.

Wokół sztandaru tłoczyły się w pośpiesznym marszu figury szerniałe, rude, pożółkłe, ludzie o skórze lic tego wydebionej dymem, kwasami, sadzą i smrodem. Szli mężowie o oczach doskonale wyżganych pracowitymi igłami porządnej pracy, o trzewiach wyżartych od chorób, o nerwach, których szaleństwo ucisza wódka. Wszyscy byli odziani w tandetne miejskie gałgany, kupione w sklepach starzyzny. Ich tużurki, marynarki, żakiety, riding-coaty były gałganskim naśladowaniem odzieży ludzkiej podobnie jak ich głowy, złupione przez pracę, obrzydłe od biedy, spotniałe od trudu, były karykaturą kształtu ludzkiego.

Skoro się pojawili w ludnej ulicy, gdy na jej tle bezbarwnym zakwitł krwawy kwiat, ludzie normalni, „obywatele”, zaczęli pomykać na prawo i na lewo, w tył i naprzód. Jedni zapadali w bramy tak momentalnie, jak znika widmo starego Hamleta w teatrze; inni sunęli wzdłuż murów niepodobni do samych siebie, na obraz cieniów latarni czarnoksiężskiej. Byli tacy, co stawali nieruchomo pod murem, z zamrożonymi oczami i wciągniętym w płuca oddechem, jak gdyby w oczekiwaniu, że ściana się rozstąpi, pochłonie ich i wybawi.

Dookoła idącego zastępu zatoczyła się pusta sfera powietrza. Szli sami. I sami naturalną siłą tworzyli ze siebie krąg coraz bardziej spoisty. Kiedy niekiedy i z tego kręgu odpadał człowiek. Jak pacyna urwana od wirującej bryły leciał po linii stycznej i ginął w zaułku, nił w bramie, ogarnięty przez litościwe objęcie, przez macierzyste łono muru. Maszerujący dalej ściskali się korpusami ciał coraz szczelniej, coraz mocniej, coraz bardziej. Wsparli się ramionami i szukali podniety w ich dreszczu.

Bicie serc stało się jedno.

Pieśń o czerwonym sztandarze zlatywała z ich warg zdrętwiałych i rwała się raz w raz. Co ją ze zduszonej piersi wysieпали jak obosieczny miecz – co wyrzucili strofę spomiędzy zwartych zębów, to się nagle rozsypała, jak lotny piach, w luźne wyrazy, w tony i dźwięki...

Na przedzie, o krok przed tłumem, szedł oberwany szewc, w krótkich portkach, wygniecionych kolanami, wygniłych w kroku, w smokingu, na jedwabnej ongi podszewce, spiętym

na brzuchu agrafką, i w czerwonym szaliku na szyi. Pijacka jego twarz była zsiniała, nos popielaty, oczy skostniałe z zachwycenia. Śmiał się na cały głos chichotem, od którego słuchaczom kolana drżały, śmiał się nareszcie, śmiał się raz szczerze, w zamian za całe swe sobacze życie. Wołał wymachując zzieleniałym kapeluszem ku górnym piętróm, ku widzóm z balkonów :

– Schodź, burżuaza, na dół! Pięknie do spaceru prosimy!

Kobieta idąca w środku i ręką podtrzymująca sztadar miała na twarzy wyraz spokoju, jasności, można by powiedzieć, wyraz łaski. Widać było z daleka jej twarz głupią, natchnioną i miłościwą. Podnosiła coraz wyżej rękę i coraz wyżej, pewnie odruchowo, podnosiła dziecko. A może nie, może nie odruchowo! Może w tych minutach wiedziała, co czyni. Może je namyślnie pokazywała światu podłemu. Piwniczne dziecko miało twarz posępną, blado-czarną, spojrzenie gniewne i groźne.

Czemuż je miała kryć?

Żeby się chowało w rynsztoku Ojczyzny? Żeby rosło wpośród czarnych ścian piwnicy, po których ciecze wilgoć wieczna? Żeby oddychało kwaśnym, kapuścianym powietrzem i smrodem nocnych wspólnych legowisk? Żeby żyło bez powietrza, bez światła, bez strawy ludzkiej w kącie, gdzie się tłoczy i morduje, zaraza chorobami i zbrodniami stado wdeptane w ziemię? Żeby jego światem było podwórze, gdzie powietrze – to wapienny pył i zgniły kurz, a jedyny widok – to czarne cegły? Miała czekać, aż podrośnie i stanie się zeń młodociany włóczęga, ulicznik znający od maleńkości wszystkę rozpustę wielkiego miasta i wszystkie jego tajemnicze zbrodnie? Miałaż czekać, aż pocznie zebrać po chodnikach, którymi chodzą weseli panowie i cudnie strojne panie? Miałaż patrzeć, jak go będą ścigać, łapać, trzymać w kryminałach, kuć w żelaza za jakieś nie znane jej zbrodnie? Miałaż czekać na chwilę, kiedy jedyną jego rozkoszą stanie się wódka i zarażona dziewczka? Miałaż czekać, aż wyrośnie na nożowca lub pracownika, co wysiepawszy całe ciało w fabrykach dla zysku panów, zamrze śmiercią spracowanego konia, z niewiadomej choroby, zgonem nędzniejszym od bujnego zgonu nożowca?

Któż wie? Może w onej chwili wzdychała, że woli go zanieść na krwawą ofiarę czystego ciała i ducha, istność nieskalaną, niezmazaną, świętość duszy swej wykarmioną krwią spod serca, własność jedyną na tym padole, dzieciątko jasne, zanim je świat odedrze od łona, pochwyli w szpony, strawi w szczękach swych wszechmocnych i rzuci jej pod nogi jako łachman gnijący...

Zupełna pustka stała się w ulicy. Nagie ściany domów, zamknięte okna, zatrzaśnięte drzwi i nagi bruk.

Nagi bruk...

Z poprzecznego zaułka wyszedł niespodziewanie jakoby ruchomy odłam muru. Szynele koloru skostniałej ziemi, żółtawe baszatyki niby skiby roli podoranej.

Na ten widok wyrwała się z pęt i wybuchła pieśń. Stała się okrzykiem wolności wydartym z głębin ducha wielkiego ludu. Niby z otchłani lecąca strzała, której żeleźce dymi się jeszcze od krwi, padła w pustą ulicę i w nastawiony połysk karabinów.

Popchnięty od ducha zachwytu, natchniony posłannictwem tłum zrosł się w jedną bryłę. Stał się męstwem, które śmiercią pogardza. Szedł niezachwiany, wyniosły, ślepy i głuchy, żywy pocisk, torujący drogi wolności.

R. 1906

NOKTURN

Jak posepna zstępuje noc!

Jak posepna!

Jak złowieszcze jest niebo!

Zapadło się już dawno słońce olbrzymie za proste bankiety fortu. Chmura zawisła nad rubinową zorzą wieczorną. Dogasa w tej chmurze zorza. Noc – obraz ziemi z oczu wydziera i w głębiach swych pochłania. Na rozkaz mroku – jak zorza przygasają oczy.

I w dusze spływasz, o nocy!

Berło twoje nad ziemię się ściąga. Władza twa nad duszami ludzkimi.

Daremnie, samotny człowieku, natężasz duszę swoją jako krzywy łuk i aż do zdrętwienia palców na cięciwie miotasz strzały w zbatożone konie, na których zahartowany w intrygach Rozsądek z cecorskiego taboru ucieka! Próżna jest rzecz w tym obozie dowcipnisiów i mędrków stać po nocy na czatach wysokich i niezmarszczonym okiem w śmierci patrzeć przyłbicę.

Stary to i zawsze ten sam Żółkiewskiego obóz!

Darmo wyźłabiać w duszach i wybierać w sobie cudowną, a światu wielkiemu nie znaną tajemnicę polską, w której by się młodości drapieżna siła chowała, karmiona surowym cierpieniem, w której by się palił wieczny ogień cierpliwej rozwagi, w której by rosło męstwo o sercu lwa i sztuka tajemnicy.

Każde ponadsiłne przezwyciężenie, każde westchnienie ku wielkości i na cześć wielkiego czynu szkodliwe jest na tej ziemi. Wraca się znudzony ocknieniem polski duch w wyleżane i ciepłe pielesze Samoniewoli. Gdy mu będzie nieznośnie, pójdzie starymi drogami wystawać na cudzych schodach, wzdychać pod cesarskimi progami i dla zdobycia jałmużny potrząsać łachmanem kontusza.

Z najcieńszych włókien serca ukręciłeś był powrót na siebie, samotny człowieku. Z najtkliwszych uczuć zwinąłeś pętlicę. A teraz ci ją mrok nocny skrycie na szyję zarzuca. Kruk czarny leci kędyś w pomrokach powietrza, wołając do twego serca: – Już czas twój, strudzone serce...

Dokądże mamy kroki nasze obrócić, wyrzuceni z narodu, pospołu z bracią? Do osiedla Samoniewoli, gdzie wydaje wyroki wściekłość partyjna i dziennikarskie oszczerstwo, gdzie się po pismach ścinają, mordują nożami i wieszają aż do śmierci nienawidzący się wzajem „rodacy”?

Jękniesz w głuchej minucie, że dosyć już masz zniewag, któreś zniósł w milczeniu dla tryumfu jutrzemki. Zawołasz wśród strudzenia, że nie masz już męstwa, żeby się z olbrzymem rodzimej podłości raz w raz zwierać barami. Oświadczysz w głos, że teraz będziesz patrzył w spokoju, jak się ze rdzy cynizmu i z padliny nienawiści wyroi robactwo, stanie się zaczepne,

żarłoczne, rozjątrzone i nie znające snu. Nasycisz wzgardę widokiem, jak toczyć będzie trup wielkiego marzenia. Każde westchnienie odrazy stanie ci się nareszcie jak pąk róży pachnącej.

Lecz im słodsze przez chżyłą chwilę będzie jej wątle, przejmujące tchnienie, tym bardziej, tym głębiej i aż do cna – jakby za karę i w akcie zemsty – werzną się jej kolki w strudzone twoje serce. Nie będziesz nigdy sam, jak ja, który nie byłem sam nigdy. Byłem zawsze jak dobosz, który biegnie bez tchu obok spracowanego szeregu, znany takt wybijając pałkami. Ale oto westchnąłem, że już wyjdę spomiędzy nich i zostanę nareszcie z tym jednym jedynym, co jest moje własne, co jest tylko moje, co jest samym mną. Westchnąłem, że zawrę teraz w ramionach me ukochane piękno i zostanę z nim tylko w mroku nocy. Westchnąłem, że poniosę me ukochane piękno, konającej głowę Meduzy, i ku śmierci schylone zagięcie boleści boskich ust jej odchyłę jeszcze ustami.

A skórom spomiędzy wszystkich wyszedł – pierwsze, com ujrzał, to ciebie, prosta skarpo ziemna!

Pozdrowiłaś mnie z dala.

Werznąły się w moje oczy na szkarłatnej zorzy foremne twoje stoki i ostre kąty narożne. Jak drzewce niezłomnej włóczni przeciął lotną chmurę górny brzeg ciemnego przedpiersia czworoboku zamkniętej reduty. Na jego szczycie, tu, tam i jeszcze dalej, leży dzikość czterech ziemnych bastionów. Cztery ołtarze cudzemu bogu wystawione pod krwawą zorzą. Skarpy ich spadają głucho, zlatują wspaniale, w dół, z dumą i grozą aż do głębokich fos. Na skarpy te padło ostatnie połśnienie zorzy. Krzyk był straszliwy w tym połśnieniu zorzy na stokach Cytadeli.

Nikczemną jest miękkość serca, którą kolce wonnych róż przesywają! Nikczemną jest siła wzruszenia, którą piękno dalekie pochłania! Nikczemne są wewnętrzne łzy, co się w wiersze czarowne wysączają tajemnie.

Wzdyma i chwieje wieczorny jesieni wiatr tłuszcę chwastów na stokach. Wzdyma się, kołysa, chwieje, szumi i zamiera dziki chwast. Świszczę i świszczę dziki chwast... Żołnierz pod bronią przechadza się tam i z powrotem po prostym bankiecie nasypu.

Wymiń te miejsca, wzgardzicielu, przechodniu, który niesiesz w ramionach swój ludzki skarb, ukochane piękno, konającej głowę Meduzy! Uchodź w mrok nocy lub w siedlisko kłótni, w szale swym nienasyconej!

Z ziemi najdroższej, z najświętszej, z ojczystej, z mazowieckiego gruntu usypane są ramiona tych fortów.

O hańbo!

Kości grenadierów spod Woli leżą pod chwastem w tych stokach. W głębi czworoboków, co wspaniale spod nieba grożą, krew strzelców Sowińskiego. Mężną piersią przesyta padłszy, gębami ją w ojczysty piach wyrzygali. Westchnienie ich ostatnie w ziemi tej, gdy stygli, zdeptani nogami idących pułków. W piasku tym łzy samotne wodza, gdy z latarnią szedł po nocy przez wojsko spoczywające, co bezpiecznie przed bojem ostatnim spało na łonie jego geniuszu, a on, bezsenny, wiedział, że nie zdoła zwyciężyć.

W ogrójcu usypanym z tej ziemi – duma i milczenie pokoleń, honor, chwała i sztandar wieku.

O, mężni!

O, przodkowie! Jak żałosna Samotracji Nike pozdrawiasz nas z tej ziemi, nieśmiertelne Powstanie! Głowy twojej straconej nikt z nas, których kołyska w krypcie niewoli się huśtała, nie widział. Rąk, co wysoko godła trzymały, już nie ma. Skrzydła tylko twoje połamane, poranione, dziurawe, w strzępach od ciosów oprzeczyny przed duszami naszymi w powietrzu lecą.

Na skrzydłach tych zawisła najgłębsza miłość nasza ku tobie, Sprawo, Sprawo przegrana!

Tam powstaniec Toczyski pod szubienicą w ostatnim momencie pisał do przyjaciela poślanie, zawierające słowa, które zobaczył z tamtej strony pętlicy powroza: „Ufaj, że Bóg czuwa nad światem”.

Tam czterej mężowie proletariatu, którzy po raz pierwszy w dziejach Wschodu Europy złączyli wolne ręce i spolił święty entuzjazm ludu Polski ze świętym poświęceniem ludu Rosji, a za najdostojniejszą sprawę złamania miotły i zdeptania psiego łba opryczyzny pospołu bohaterskie gardła dali. Tam nieśmiertelny Okrzeja, najpierwszy rycerz nowego Polski legionu. Jak czarowna głowa Aresa z chimera czającą się do skoku pod pióropuszem hełmu, zostanie w pamięci szlachetnych legion nowy! Za pawężą jego czynów szalonych, kiedy krótkimi mieczami niespodziewanie uderzał w pierś wroga, przyczała się pospieszna, oszalała w trudzie praca budowania Ojczyzny nowej. Kiedy legion przykłękał do nagłego ciosu, a wróg jego nagie piersi brał na cel, inni tymczasem, nie postrzeżeni, nieśli chyłkiem między lud kaganiec kultury. A tego, co z nieśmiertelnych Polski szat ludowi w dziedzictwo oddali, już nigdy, przenigdy nie odbierze wróg! Bo to zgłodniały lud pochwycił w swe ramiona i na wieki pokochał. Lecz nie kto inny, tylko legion wydzwignął z pohańbienia arkę Ojczyzny nowej. Poniósł ją po szlakach wiodących ku szubienicy, herbowi przodków. I nie umarła, i nie umrze Ojczyzna na ziemi! Po ciemku ją każdy z osobna zsuwa na barki następcy, bardziej jeno olbrzymią o wszystkie siły swojego ducha. Biada Ojczyźnie, jeśli ulżą ramionom bryły poświęcenia, a z dłoni spracowanych wypuszczą ciężar czynu. Z chwili spoczynku, z westchnienia smutku, z mgnienia wesela, z momentu zadumy korzysta sługa tyrana.

Z gołymi szyjami stali pod zorzą, patrząc w swe groby wykopane. Głowy junackie rzędem złożono. Oczy już skrzepłe. Skrwawione włosy zwisają z młodzieczych czół. Uśmiechy na ustach, otwartych do ostatniego okrzyku. Radosna bojownicza pogarda w zwiedzionych brwiach.

A teraz ziemia grubym pokładem leży na ustach, które ostatni, niepodległy, bojowy parol wydały. A teraz wszystkochłonący mazowiecki piach wysysa ledwie ostygłe rany.

Wre dokoła codzienne polskie życie. Głucho po czarnych szynach pędzą pociągi i podają hasła lokomotywy. Pałają się martwym światłem elektrycznym kule i chwieją się w mrokach podatne płomyki gazu. Biegają w ciemnościach polscy ludzie, bełkocąc zaciekle o jadle, o napitku, o ucieście cielesnej i o dzieciach. Praca daleko i blisko gotuje się na czarnej ziemi.

Zadepce praca i żywot zabiegliwy miejsce tracenia. Wzniesie interes na kałużach krwi siedlisko wygody. Umrzesz w pamięci dowcipnisiów i mędrków, utoniesz w mrokach nocy, młoda dumo i młoda miłości, któraś gestem godnym bogów żegnała życie i ziemię.

Leżą w nocy olbrzymie bryły szanćów z pryzmami bastionów na szczytach. Czernieje mazowiecka ziemia, usypana w dwuramniki, po których żołnierz defiluje tam i z powrotem. Przeciwno miastu i ojczyźnie jeży się milcząca golgota, cmentarzysko i skarbnica popiołów...

O ukochana i znieawidzona! O wizerunku najwierniejszy, najdoskonalszy obrazie polskiej duszy!

Lecz wy, o święte kości, i w tej ziemi spodłajej nie zaznajecie spokoju. Płoniecie w niej podziemnym płomieniem. Dobywa płomień z głębokich dołów, z niedostępnych szanćów głucha noc idąca na plemię. Proście się ze stoków Cytadeli do naszych niegodnych ust, o święte kości zabitych żołnierzy! Każecie czynić ze siebie muzyczne narzędzie, piszczel trwożąca, i na niej grać plemieniu polskiemu, kiedy się kładzie do swego starego snu, głos nocny – nokturn polski.

R. 1907

Z ODCZYTEM

Do jakiej granicy rozpasania oświatowego doszły niektóre lubelskie żywioty, najlepiej zaświadczy fakt, że przestał im już wystarczać odczyt, który się pocziwym, starym obyczajem, po jednorazowym skompilowaniu, obwoziło z miejsca na miejsce. Żywioty poczęły żądać...

W dniu, którego data nie jest znowu tak dalece ważną, żeby ją aż drukiem ogłaszać, otrzymuje pan Ryzio kartkę, pisaną, *mirabile dictu!* poprawną i tak ortograficzną polszczyzną, że mogłaby, i poniekąd winna, nawet w sferze renciarsko-rolnej znaleźć zastosowanie, z żądaniem odczytu na takie a takie popołudnie niedzielne – oraz z podaniem tematu.

„Potrzebny nam jest odczyt na temat „Dola chłopów polskich w końcu XVIII stulecia”, w tym rodzaju, jak to już panna Władysława itd... Prosimy najuprzejmiej itd... Furmanka o godzinie itd”.

Pan Ryzio sposepniał.

Łatwo ci jest, drobna jednostko rolna z Zagaja, napisać ortograficznie list, podać tytuł, wyrazić uprzejmości, pod swym małorolnym nazwiskiem wywinąć zakrętas, który by mógł uczynić zadość poczuciu godności posła do Dumy, ale w parę dni zbudować odczyt, znaleźć odpowiednie klisze do latarni...

– Skądże wziąć klisze? – wykrzyknął pan Ryzio. – Gdzież ja mam Kalinkę, Smoleńskiego, Korzona, gdzież mam Gorzyckiego albo jakiegokolwiek innego? Nic nie mam! Siedzę na tym pustkowiu i wyję w otchłań jak wilk za górą...

Nic wszakże nie pomogły powyższe wilcze wrzaski.

Na dzień oznaczony odczyt był gotowy („najpodlejsza w dziejach kompilacja!”). Co szczególniejsza, gotowe były klisze, co prawda pasujące do tego odczytu w takim właśnie stopniu, w jakim wszystko pasuje jedno do drugiego w tej naszej polskiej oświacie.

O naznaczonej godzinie koniska stały przed domem. Pan Ryzio zawinął w zakopiańską pelerynę swój kształt powiewny tudzież pudło z latarnią czarnoksięską i zasiadł w wasagu. Siedzenie z grubej wiązki słomy pokrywał kilim o tak żywych barwach, że można było dostać drgawek chłopomańskich. Z początku w bajorach gościńca jechało się niemal z burżuazyjnymi wygodami. Lecz po wyjeździe na płaskowzgórze, gdy zawiął późnojesienny, polny, nasz, tamtejszy wiater...

Pan Ryzio musiał pieczołowicie w jednej rączce piastować soczewkę, owiniętą w jedwabną chustkę wątpliwie japońskiego pochodzenia (dar pożegnalny panny Izabeli), w drugiej rączce pudełko z Grotgerowskimi kliszami. Wiatr tedy, stosownie do swego upodobania, poddymał pelerynę, uderzał w bezbronny brzuch, co sprawiało efekt bajecznego przenikania, jak gdyby tenże wiatr przedostawał się aż poza otrzewną, i z zastanawiającą bezwzględnością,

absolutnie taką samą jak na lubelskim polu, wzdłuż, w poprzek, tam i z powrotem, samopas jeździł po flakach.

Pomimo to wszystko pan Ryzio trwał w męstwie. Na coś się przydało zahartowanie, aczkolwiek niezupełnie własnowolne, wskutek chadzania „do figury” w sezonach arcyjesiennych oraz w uroczu marcowe przedwiośnia. Nie podobna by było zresztą nie złożyć tak drobnych przykrości, jak endosmoza wiatru poza otrzewnę, na ołtarzyku dobra kultury polskiej.

Toteż pan Ryzio składał na ołtarzyku co się dało – zaczawszy od całości języka, którą nadwierały szczękające zęby, aż do spokoju wyż wzmiankowanych flaków, które znowu od skakania wozu po ojczystych dziurach zdawały się dyndać na jakimś jednym powrózku, jak wisielec na szubienicy. Zarazem prawica i lewica zgrabiały do szczętu od piastowania narzędów kultury.

– Daleko też jeszcze do Zagaja? – zagadnął pan Ryzio powożącego włościanina, w najniewinniejszej zresztą myśli.

– Niedaleko. Zaraz za lasem.

– A gdzie ten las?

– E, las się mówi, ale lasu już dwa lata jak nie ma.

– Gdzież się podział?

– A wyciął go dziedzic ze Żydami.

– Prawda! Pamiętam, że tu był las ogromny. W lesie tym osty rosły przedziwnej piękności...

– Osty? A może były i osty. O, las stał, jednym słowem! Bo to tu, w Gruszczynie, był dziedzic taki, stary pan Łukomski się nazywał, że nikomu za nic na świecie drzewa nie sprzedał. Przyszedł do niego młynarz, pokłonił się i prosi o buka na wał do młyna. Opowiedział, jakiego chce buka, że tego, co tam a tam stoi. No, dobrze, zgodzili się na dwadzieścia pięć rubli za tego buka. Młynarz wyjął, zapłacił, poszedł.

Uszedł s e kawałek drogi, dopieroż pędzi za nim konny posłaniec, zawraca go nazad do dziedzica. Przychodzi młynarz, pyta się, o co. „A, mój bracie – mówi do niego ten stary dziedzic – widzisz, rozmyśliłem się. Nie sprzedam ja ci tego buka! Masz tu swoje dwadzieścia pięć rubli i idź z Bogiem!” Młynarz się za czuprynę: gdzież on tu teraz buka kupi. No, to ten ślachcic wyjmując jeszcze pięć rubli, dokłada mu: „Naści – powiada – idźże do mostowickich lasów. Jest tam buk stary, kupże go, zetnij, zwieź, obrób, będziesz miał, bracie, wał, a ja będę trzymał swego buka. Niechże t a stoi na miejscu.”

Pomarł ten stary dziedzic, a kat był, dziesiątą skórę zdarł z człowieka, jak mu się popadł w lesie z furą. Przyszedł drugi. A jeno przyszedł, wnet Żydów wołać. Nie obejrzelśmy się – lasu nie ma. Jeno pniaczyska stoją.

W istocie pan Ryzio dobrze wytarłszy binokle miał możliwość obserwowania zdębiałymi oczyma pniaków, z których przy każdym czterech godnych inteligentów w najwygodniejszych pozach mogłoby dyskutować o przyszłym ustroju i w miarę wzmaganą się wymyślań zażywać swobody gestów.

– Role te między pniakami dzierzawią chłopcy z Pakuł. Prosa tu mieli!... Jezusie – Maryjo!

– A jakże też czytelnia w Zagaju, rozwija się? – zagadnął pan Ryzio.

– A jest ta czytelnia. Tylko to tak... z tą czytelnią...

– No, ksiądz proboszcz?

– A ksiądz proboszcz...

– Bardzo się gniewa?

– E, żeby to tylko nasz. Ale i morzydłowski.

– I cóż takiego? Powiedźcie no...

– Kiedy to a ż e brzydtko powtórzyć...

– Nie będzie dawał rozgrzeszenia?

– Nie będzie.

- No i jakże ludzie? Nie chodzą?
- Z ludźmi to tak... W kościele, jak z ambony ponieważ, to się wszyscy okropnie boją, aże ich f y b r a ze strachu trzęsie, a jak na polu, to już o c i p k ę mniej. Baby – te to zakazują chłopakom...
- A bywa też kto w czytelnicy?
- Co młode, to szelma zaraz nieposłuszne, plebana swego nie chce słuchać i prosto z kościoła jak w dym do czytelnicy!
- Patrzajcie! No, a ten wasz teatr? Słyszałem coś...
- A i teatr zawzięły się robić. Ksiądz proboszcz na teatr bij-zabij – to o n y właśnie. Okropnie im się chce tych *Dziadów*, tylko że Konrada nie mają. Żeby Konrada mieli, toby samych kaszkieciarzy z *Dziędzielic* zakasowały, bo wszystko na pamięć umieją.
- A gdzieżby też grali?
- U Staśka Walczaka w stodole, u prezesa.
- No, a *Wesele* wyście sami, braciszku, widzieli?
- Widziałem.
- No, i jakże?
- Trudno było wszystko wyrozumieć, co ta te maskary znaczą. Dopiero jak ten młody, co był w czerwonym z dzwoneczkami, wyłożył, to lżej. Bez niego trudno by ludziom było wyrozumieć...
- Bo nie tak, nie tak! – palił pan Ryzio – nie tak to *Wesele* trzeba grać. Trzeba tak grać, żeby było prawdziwie lubelskie wesele chłopskie, z muzyką, z tańcami, ze śpiewkami, z oczeplinami, ze wszystkim, jak się patrzy. A dopiero jak się ludzie oswoją, opatrzą, żeby na to chłopskie wesele zaczęły przychodzić one zaproszone maskary, a Chochoł, a Hetman, jak to mistrz Wyspiański wyśnił i wyprowadził. Sam on kazał tak ludowi swoje *Wesele* pokazywać, sam na to dał radę i zezwolenie... A ciężką jest złożony niemocą ten najdroższy polski człowiek...
- E, jak im t a ten Gospodarz wtedy wypalił, to my wszyscy zrozumieli. Na żadnej masówce tak nie palili, jak ten Gospodarz palił!...
- No, a szkoła?
- Ze szkołą strasznie ciężką mamy biedę. Ksiądz proboszcz precz burzy starych chłopów, żeby nam koniecznie tę izbę odebrały, gdzie teraz szkoła.
- Jakże to można odebrać?
- A takim to jest sposobem, że ta chałupa należy do jednego człowieka, który w kryminale siedział i teraz jest w Sybirze. Jego kobieta poszła w służbę do miasta, a grunt i izbę wydzierżawiła. Ten dzierżawca to samo, nie jest w naszej wsi, tylko grunt obsiewa, a sam służy za fornała we dworze. To on tę izbę na szkołę wydzierżawił. Ksiądz proboszcz tego parobka wyszukał i tak go przecie zastraszył, jako w jego izbie diabelskie „Światło” siedzi, że teraz tamten od chłopca do chłopca co niedziela lata i molestuje, aby mu pomogły „Światło” diabelskie wyrzucić. A chłopów znowu ksiądz swoim porządkiem... Zaczął tak-rok gadać, że kto do „Światła” przystąpi i podpisze się na członka, to już tym samym na to swój podpis kładzie, że będzie płacił wszystkie długi, jakie ta gdzie który światłowiec zrobi, a nie będzie miał z czego oddać. Takie, prawił, są w tym „Świetle” ustawy, że za jednego, co długów narobi, wszystkie członki muszą płacić. Straszyl ludzi, żeby s e zważyli, na jaką to okropną sprawę swoje podpisy kładą. Sfantują was, sprzedadzą, gadał, skoro tylko tam gdzieś który obieżyświat długów narobi, a mało to Żydów w tym ich „Świetle”!
- Ale się ludzie opatrzyli bez ten rok, że to było troszeczkę zelgane, więc i tę szkołę naszą jak nie bądź cierpią. A i teraz takie różności potrafi zmyślać, co drugiemu człowiekowi aniby we śnie nie powstały...
- Ten wasz proboszcz pewnie musi być kanonikiem albo i zgoła dziekanem?
- Nie wiem ja tego, ale zdaje mi się, że mu chyba nie dadzą takiego urzędu...

– A patrzy mu się! Nie byle jaka to głowa. Światły duszpasterz!

Poświstywał pan Ryzio nieudolnie z tej racji, że mu wargi na nic zmroziło. Rozglądał się. A niewesoły i niepiękny miał pejzaż przed oczyma. Pustka. Pniaki po lesie wyciętym, rude role. Daleko, daleko pas nieużytków. Posępki ziemi polskiej dookoła. Oto rozdół, w nim wioska – parcelówka. Chałupięta ze starych stodół, białawą gliną pomażgane, strzechy ze słomy. Obóreczki, chlewki, studzienka. Nuda życia przyziemnego czai się za zmurszałymi węglami, kuca na stosach nawozu, okienkami wygląda. Z dala, postrzegłszy furmankę, chłopię ku drodze wybiegło. Pies-burek za nim. Czapa na tym smyku ojcowiska, jako też i buciory. Nie widzi nic w polach, tylko obłoki i role, obłoki i role...

– Nie daj, księżulu, „Światła” zakładać, dołoż wysiłku, a nie daj! – świszcze pan Ryzio, śmiejąc się diabelsko do swoich przewrotnych myśli.

Już wreszcie i Zagaje widać. Pora, bo podróżnikowi jęzor kołem stanął, a kapka u nosa w stalaktyt się zmieniać zaczęła. Wbiegły szkapki między obcięte kudłaczki wierzbisk. Już też na drodze i sam Staś Walczak czeka.

– Powitać prezesa! – wykrzykuje pan Ryzio skołowaciałym językiem. – A czy też prezes wypadkiem szklanki herbaty?...

Prezes Walczak, młody pszczeliniak, pół chłop, pół jakiś inteligent, w kurcie z grubego sukna, ale już w przypinanym kołnierzyku (*sic!*) i w butach z wyglancowanymi cholewkami. Językiem mówi poprawnym, a takie nim myśli wyraża, że nic, tylko z dziesięciu ambon piętnować.

– Herbaty?... – zatroskał, się niepomału. – A wysiadajcie! Zaraz się to zrobi!

Chaty zachodzą jedna drugiej drogę. Między nimi bajora jak się patrzy, rodzimy trakt. Wykonawszy kilkanaście szalonych skoków nad gnojówkami wkroczył prelegent przez wysoki próg do czytelnicy, umieścił ze czcią swe instrumenty i z rozkoszą zasiadł w naszym sarmackim zaduchu. Ciepło go rozprażyło i rozradowało.

Czytelnia! Portret starego wieszca! Krzywa szafa, nabyta od Judki, niegdyś serwantka na kieliszki i flaszki, obecnie spadła z etatu, dźwiga na półkach stopy książek.

Ściskając w zgrabiących dłoniach szklanice bardzo „tęgiej arbaty” przepowiadał sobie pan Ryzio mądrości, które za chwilę miał ze siebie wydębiać. Do izby poczęła ścierać publiczność: młodzież, dziewczęta. Rozpinano na dworze prześcieradło do rzucania obrazów. Walczak się przysiadł:

– Strasznie mamy książek do czytania mało!

– Gdzie! Biblioteczka, jak widzę, wcale spora.

– Ale same książki przestarzałe, gawędy z morałami. Przeróbki i przeróbki. Jak dla głuptaków albo dla dzieci. Żebyście to nam wskazali tytuły książek takich, żeby to można było duszkiem czytać. Różne, żeby niby zachwycające – żeby się połykało. Przecież są takie książki?

— A ba! Oczywiście! Rozumie się! Ja wam tytuły wymienię, tylko odtaję.

A odtajawszy odwalił pan Ryzio odczyt ku ogólnemu aplauzowi chłopstwa zgromadzonego. Obrazy ukazujące się na ekranie wzbudziły taki zachwyt, że podobna cisza panowała w Zagaju chyba przed gradobiciem.

Nawet stare chłopiska, obrosłe brudem, kudłate, podejrzliwe i gotowe do kłonicy, gapiły się gapieniem nieniezmiernym na owe cuda.

Ułagodziło ich dzikie, podszczute umiejętnie, zatrute podszeptami dusze – ciche a wiekuste, Grotgerowskie prześnienie mogilnej doli.

Po skończeniu odczytu długo pan Ryzio rajcował w czytelnicy z młodymi przyjaciółmi, jakie by to zaprenumerować pismo, żeby było bez inteligenckich wymyślań, a żeby było pismo ostre jak kosa, prawe, miłujące, wyraźne dla młodych inteligentnych chłopów.

– Bo – wykrzykiwali jeden przez drugiego – nie rozumiemy tych wymyśłów! I nie chcemy czytać wymyślań. Jak tylko z wymyślaniem, to już na nic! Nie chcemy! Ci na tych, tamci na

innych psy wieszają, szczują na się, od ostatnich się zwołują jak kłótniwe baby, a nam to każą czytać i jeszcze za to płacić. I jak my to mamy wyrozumieć, o co się swarzą? My chcemy takiego pisma, żeby się nie żarło z nikim. Niech plunie na tych, co na nie szczekają, i niech nam mówi wprost samą najrzetelniejszą prawdę, choćby ta i ostra była prawda jak brzytwa. Krótko, jasno, tak i tak, bo my na te, psia ich, sobaczenia się czasu nie mamy!

Pan Ryzio przyrzekł solennie, że namyśli się głęboko nad wyborem tytułu takiego pisma, że on im na pewno, na pewno takie pismo...

O późnej nocy siadł na wasąg, niosąc na łonie latarnię (w prawicy soczewkę, w lewicy pudełko z kliszami). Przysiadł się z boku na drabince „prezes” Walczak i podprowadził go sztuczek drogi. Głównie mu jeszcze chodziło o teatr.

– Strach – mówił – jak ludzie pożądamy takiego teatru! Ale co im tu grać? *Dziady* – dobrze, ale żeby to coś z terażniejszych czasów, żeby o tej męce – niedoli, o tym, co jest na świecie, i żeby bez tej rozpaczy. Bo teraz między nami, młodym włościanstwem, żadnej przecie rozpaczy nie ma. Zachowaj Boże! Między nami – gadał – jest siła, chęć, śmiałość, męstwo, a tu het – precz, co jeno czytać, wszystko z rozpaczą. Czy nie ma takiego teatru, żeby był w sobie wielki, a żeby to lud od jednego razu pojął, że w tym jest prawda, istotna sprawa, sama rzecz?

– Jest jeszcze, widzicie... *Lilia Weneda, Kordian, Bolesław Śmiały*...

– A d y wiem! *Kordian!* A d y przecie wiem. Ale kiedy to jeszcze i jeszcze nie to. Toć przecie człek sam by to napisał, żeby tak, jak nie umie, pisać umiał! Przecie radosne życie dookoła! Jak my s e tu na własną rękę urządzamy chłopski wykład z pokazem, rolniczy, to dookoła nas tłum chłopców ze wszystkich wiosek okolicznych. To się wszystko pali do światła, do nauki. Z nami, z młodymi chłopami, co już nie chcemy tego, psiakrew, chłopstwa, co się siepiemy z chamstwem, co chcemy być obywatelami polskimi, świat może stanąć. W naszych rękach będzie ten świat, żeby tam kije z nieba leciały! Bo my s e z wolna, z wolna wszystko rozważymy, a spamiętamy. Nie zapomnimy nic! Ale musimy mieć od w a j u, od inteligentckiego proletariatu narzędzie i sposób. Musicie nam dać teatr o tych kałużach krwi, o woli świętej i ponocnym wzdychaniu ziemi.

– Czekajcie, czekajcie! – wszystko to będzie... Tylko przecie nie od razu Kraków zbudowano... Czekajcie..

– No, czekamy!

Zeskoczył z wozu i ze słowem pożegnania znikł w nocy.

Jechał pan Ryzio przez czas pewien uroczyście, postępując na wybojach. Aż nagle wściekłość go poczęła rozdymać. Pięścią uzbrojoną w soczewkę począł wygrażać nie wiadomo komu i wykrzykiwać w duchu:

„I cóż ty na to, bando gryzipiórów literackich, kawiarnianych wielkoludów? Gdzie są twoje książki, gdzie gazety, gdzie jest twoja sztuka? Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki – otóż i cała literatura, której nota bene dotychczasowa szlagonomia narodowa nie była warta i w setnej części nie rozumiała. Teraz kolej na zrozumienie, gdy lud olbrzymi we drzwi pięściami wali. Ale i ta sztuka jest dziełem czasu rozpaczy. A gdzie jest nasz Plato, gdzie Arystofanes, gdzie Ajschylos, gdzie *Boska komedia*, gdzie *Don Kichot*, *Raj utracony*, gdzie Shelley? Gdzie jest nowa sztuka polska, sztuka siły, sztuka męstwa, sztuka dźwigania ojczyzny od fundamentu i przyciesi, sztuka wiary mocniejszej nad śmierć, a miłująca swój sen do ostatniego tchu?

Podpatrujesz, gryzipiórze, przez dziurę od klucza, co w Europie filister dla rozrywki filistra z nicości wydłubał, i przywozisz na te bajora, piachy i wydmy, żeby tutejszych filistrów i najgłupszych w Europie snobów ekscytować i bawić. Gdzie jest twój teatr? Zdajże egzamin przed swoim ludem, dramaturg!

Znowu – *Dziady, Lilia Weneda, Kordian, Wesele, Bolesław Śmiały*... A dalej co? A dalej jeszcze... Guzik.

Książki twoje gdzie, literacie? Gdzie jest, jaki ma tytuł ta książka, którą bym ja jutro posłał Walczakowi? Wymień ten tytuł, darmozjadzie! Co dasz zbudzonemu ludowi swemu, literaturę polską? Jego marzenie ocknęło twój romantyzm, bezcenną twoją wiosnę, jego dola tchnęła w złoty róg Wyspiańskiego...

Nie masz do wręczenia ludowi ani jednego tomu, ty «jedna z najbogatszych w Europie!»

Tako wył w duchu pośród ciemności lubelskich pan Ryzio, gdy wracał z odczytu w domowe, proletariackie pielesze.

R. 1907

ZEMSTA JEST MOJĄ...

Na ubogim naszym cmentarzu wśród dawno zaklętych mogił i wpośród krzyżów dawno zapomnianych panuje wyniosły pomnik z żelaza. Szerniały już jego brązowe napisy, pożarte zostały przez rdzę gżemy, kwiatony i symboliczne pochodnie płomieniami zwrócone ku ziemi. Pod patyną i pleśnią ledwie już oczy wyczytać potrafią, że to jest pamiątka wystawiona przez potomków na grobie dziedzica ongi tych pól, lasów, wzgórz, wąwozów, dróg, stawów i rzek. Krata z lanego żelaza otaczająca monument powyginała się i wypaczyła, gdyż między pomnikiem i nią wyrosły z obydwu jego stron dwie brzozy wielkie, przedziwnej piękności. Podziemne ich odnogi, głęboko, widać, zanurzone i wryte w ziemię, podważyły i popchnęły na bok sam cokół. One również rozwiązały i wywaliły żelazne ogrodzenie. Głowice ich korzeni, skręcone jak gdyby w węzeł i zatoczone na bok dla powzięcia bardziej strzelistego kształtu, gdy w pień odziomkowy przechodzą – są czarne, poryte głębokimi żłobami, spęczniałe i chropowate. A pomykając wyżej i wyżej pnie brzóz stają się białe na niebie – ni to dwie pręgi księżycowego światła na wodach. Cienka kora pęka tam w poprzek, łuszczy się i zwija ze siebie papirusy dziwnego pisania, tajemniczymi pisane znakami. Daleko, daleko, dokądkolwiek iść – z pól, z lasów, ze wzgórz, z dróg, znad stawów i rzek – zewsząd – widać wyniosłe czuby brzóz mogiłnych.

W przedwiośnia, w kwietniowe ranki, nim zstąpią na zwisie pręty listki zębate, gdy omgłą te wyniosłe korony zielone baze... Patrzy kwiecie wiosenne na zaklęso mogiły, na niskie krzyże przez siatkę nagich różg, niby oczy pozasłaniane rzesami, ciężkiego czaru i niepocieszonej pełne zadumy.

W parną noc letnią, noc tak zupełnie cichą, jak cichym jest wieczny sen tego cmentarza, gdy na konarach nieruchomych drzew ciężkie leży światło księżycy – gdy śpi pod omszałymi strzechami białościenna wieś, a w dali wabia się po pszenicach przepiórki – zaszemrzą czasami pod bezgranicznym niebem, westchną ku niemu liście brzóz.

Skoro po nocy nieskończenie długiej wstanie pogodny, błękitny przymrozek późnej jesieni – i tylko już rumiany gil wałęsa się wśród nadgrobowych jarzębin, srebrne brzozy jawią się przed znużonymi oczyma, widoma postać nigdy nie umierającej legendy. Stoją w przestworzu pod niebem zorzanym, co jak pręga szkarłatu i złota płonie nad krańcami obszaru, pytając się duszy ludzkiej: – cóż jest straszniejsze na tej ziemi – sam krótkotrwały, prędko syty grzech, czy kara wymierzona zań przez wiekiustą, nieubłaganą baśń? – krwawy uczynek, którego już nie ma – czy wyrok bez przebaczenia, zemsta śmiertelna pokoleń, zaklęta w drzewa, w żelazo, w garsteczkę ziemi cmentarnej?...

W zimowy mrok, w ciężką godzinę, kiedy wichur śródnocny tnie i śwista czarnymi polami, kiedy rwie w dal, zdzierając wiotkie śniegi ze skib skostniałych, a zaspami pęta obumarłe

drzewa i zasypuje przegniłe krzyże, kiedy głuchy jęk stęka nad siołami, miotają się w nocy rozjuszony brzozy cmentarza. Różgi ich siekają Wicher z wściekłością, ciskają się w tył i naprzód gałęzie, tną w opętaniu konary, usiłując w szale swym smagać ugór ten o zakłęsłych mogiłach, poprzekreślany od krzyżów nadgniłych.

Ten jest sekret brzóz, który wydał chłop bardzo stary:

Pod żelaznym pomnikiem leży dziedzic rozległej włości tej. Za żywota swojego ciężko ten pan bił pańszczyźniany lud brzozowymi różgami. A gdy nareszcie umarł i poszła o tym po wsiach, po drogach, po polach, ponad rzeki radosna wieść – i gdy nareszcie w oczach ludzkich przyciśnięty został w głębokiej ziemi ciężkim bardzo żelazem pomnika, spod jednej pachy wyrosła mu brzozowa różga, spod drugiej pachy wyrosła druga brzozowa różga... Bezsilne, złożone ręce dały się opasać zwojem miękkich jak len, białych korzeni, a zgniłe serce karmi drzewa sokami żywymi.

I to brzozy lecą ku górze, coraz wyżej, coraz wyżej. A strzały ich rosnać tak będą pod wiecznym niebem aż do skończenia ludzkiej niewoli.

R. 1906

NULLO

Po upływie pięćdziesięciolecia od chwili zgonu zarysowuje się przed oczyma dzisiejszych Włochów, a przede wszystkim przed oczyma dzisiejszych Polaków, szlachetna postać Franciszka Nullo, bohatera obudwu narodów. Jeżeli mówię, że imię Nulla jaśniej bardziej przed oczyma Polski, to nie chcę przez to umniejszyć znaczenia objawów czci włoskiej dla tego imienia, której wyrazem i dowodem było wzniesienie mu pomnika w Bergamo – lecz pragnę tylko uwydatnić zjawisko nie podlegające zaprzeczeniu, że Nullo dla Włoch życie narażał, a dla Polski je oddał – oraz podkreślić zjawisko drugie, że dzisiejsze włoskie pokolenie spogląda na zamierzenia, czyny i dokonania garybaldyjskie jako na własność narodu dawno zdobytą, jako na łup ze szponów przemocy przemocą wydarty i już na kartach historii spisany – podczas gdy Polacy i dziś czekają wciąż na swoją noc Tysiąca. Polska dzisiejsza – siostra zapomniana narodów szczęśliwych, której imienia już się nie wspomina przy głośnych biesiadnych stołach ani podczas rady o losach plemion, narodów, ludów – której krzywdy, ran i łachmanów już nie dostrzega nikt nawet wówczas, gdy kipi wrzawa o zniweczeniu na ziemi krzywd i łachmanów – zapomniana siostra narodów dobrze pamięta imię tego, co bez wahania rzucił się ze swojej słonecznej wyżyny „w otchłań boleści – za boleści cudze” – przyszedł na niskie pola niewoli, ażeby z nich nie odejść. Uboga siostra narodów pamięta każdego, kto w dniach jej męki palec w wodzie umoczył, ażeby zwilżyć jej wargi zeschnięte. Jakżeby miała o tym zapomnieć, co dla niej wyrzekł się widoku ziszczonego snu o Italii wolnej i potężnej, co za sprawę przegrana dał się w sztuki porąbać? Jego krew z naszą się krwią złączyła, a jego proch pośród naszych leży mogił.

Dzisiejsze Włoch pokolenie nie czuje już potrzeby – jakże szczęśliwe! – walki z najeżdżcą, strąsania ze siebie tyranii, zapasów z bezwładem wewnętrznym i gry o wszystko na jedną kartę. Może ono spokojnie rozwijać dzieło ojców odziedziczone, udoskonalać pod osłoną narodowej broni utwór Zjednoczenia, jeden z najniewiarogodniejszych cudów dziewiętnastego stulecia, na popiele prawieków nowy wskrzeszać ideał – roztrzasać najsubtelniejsze zagadnienia umysłu i tajemnice instynktu – wykrywać i ujarzmić nowe siły przyrody, od telegrafu bez drutu aż do radiobalistyki – coraz bardziej niespodzianie wskazywać objawienia sztuki, ster nawy ojczystej bezpiecznie oddając w niezawodne ręce ministrów.

Od konieczności defensywy Italia pomknęła się do ofensywnej potęgi. Może dziś o sobie powiedzieć: *faccio da me*. Strzeże czujnie swego dziedzictwa, pomnaża umiejętnie twórczość i bogactwo, zmierza w przyszłość władczą na lądzie, śni o wybrzeżach dalekich jako o „swych prowincjach rzymskich”, w upojeniu mówi ustami poety o oceanach jako o „swym morzu”, gotuje się do wypraw podstępnych po złote runo, pospołu i w zмовie z konkwistadorami kuli ziemskiej.

W Polsce – jakże inaczej!

Tutaj ojczyzna – to osaczone pole bitwy, gdzie każdy człowiek jest jednocześnie żołnierzem, pracownikiem i ministrem. Naród żyje zarazem dziś i w zmrokach swej historii. Rwie się, targa, idzie naprzód, a głowę i oczy wykręcone ma w przeszłość, gdzie jedynie dostrzega swój żywy wizerunek, stwierdzenie, że nie jest upiorem.

Niegdyś we Włoszech, za czasów lombardzkiej tyranii, robotnik Sciesa skazany na karę śmierci w roku 1851 za przytwierdzenie na rogu ulicy odezwy rewolucyjnej i prowadzony na szafot – kiedy mu ofiarowywano wolność w zamian za wydanie nazwiska współnika, który mu wręczył druk wolności, odpowiedział w narzeczu ludowym Lombardii: „*Tirem inanz!*” – to znaczy: „Chodźmy!”

I zginął na szubienicy.

Lud polski fabryczny i rolny zawsze, ilekroć jego ręce przytwierdzają manifest Sciesy, podlega temuż, co on, kuszeniu ze strony moskiewskiego tyrana i tę samą daje odpowiedź: przepędza ciałami swymi więzienia, idzie na wielką drogę Sybiru, zawisa na szubienicy. Wszelkie rodzaje przemocy, jakich dostarczyć może państwo militarne, kapitalistyczne i biurokratyczne, zużyte są przez pruską potencję do wydarcia narodowi polskiemu ziemi i praw w dzielnicy poznańskiej i do zdławienia jego kultury.

Państwo moskiewskie, nieudolny uczeń niemiecki, ciężarem swoim sto lat leży na narodzie polskim jak niezmierne pokłady gliny, które by przywalały młode drzewko brzoźowe. Ta martwa glina ssie soki z drzewa polskiego, przygniata gałęzie i zgina jego pień aż do ziemi.

Młody jest naród polski, nowy i nie znany światu. Nie uczestniczy w głośniejszej paradzie ludów i nie wydaje wieści o swym życiu w domu niewoli. Przebywa w półmroku, lecz swe rany, pracowicie dzień i noc odbudowuje domostwo zburzone przez napastników. W nieszczęściu swym nie zapomniał odwiecznej sławy, a wysnuł z niego wszystko, co się stać mogło nauką na życie nowe! Teraz milczy, pracuje i czeka na swój poranek!

Dzisiejsze jego pokolenie nie może się porozumieć z pokoleniem współczesnym żadnego z narodów – nawet za pomocą uniwersalnego języka sztuki. Tam są syci, a ono jest głodne. Tam pracują nad sztuką – kształtem, pięknym wytworem, przemysłowym wyrobem, subtelnym ornamentem. W Polsce od stu lat wszystko, aż do niezależnego tworzywa sztuki – jest dla ojczyzny. Pomiędzy drzwiami domu niewoli i między wejściem do wspaniałego pałacu, gdzie pracują, uczują i spoczywają panowie świata, młode Polski pokolenie straż trzyma i czuwa.

Ekonomiści angielscy stwierdzili, że najdoskonalsze kooperatywy i stowarzyszenia rolne na świecie znajdują się wśród włościan polskich w Poznańskiem – właśnie tam, gdzie nadobna rasa berlińska chce wytepić „narodowości niższego rzędu”. W lasach Brazylii chłopci polscy są najtęższymi, najcierpliwymi, najodporniejszymi i niezłomnymi kolonizatorami. Plemię polskie jest jednym z najbardziej rozrodczych w Europie. Jest także jednym z najbardziej uzdolnionych, gdyż w tymże Berlinie najtrudniejsze fabryczne roboty spełniają Polacy. We wszystkich dziedzinach techniki, wiedzy, sztuki Polska wydatnie pracuje.

Ten naród dwudziestodwumilionowy za to, że chce być sobą, jest prześladowany, jak nie był żaden na świecie – żyje w jarzmie niewoli gorszym, niż było austriackie w Lombardii – gorszym społecznie, niż było jarzmo Franciszka IV w Modenie i Ferdynanda II w Neapolu. Poprzez rozum tego narodu przeszły wszystkie zamysły, wszystkie przebiegłe sposoby ratunku, jakie tylko mógł wydobyć ze siebie geniusz Kamila Cavoura – ale nie dosięgły szczęśliwej mety spełnienia. Przez jego ręce przewinęły się wszystkie nici ponocnych spisków i sprysiężeń, jakie tylko motał i zaplątywał tajny duch Włoch – Mazzini nieśmiertelny – lecz żadna z nich nie doprowadziła do drzwi wyzwolenia. Na polu walk roku 1831 i 1863 bił się on z męstwem, wytrwaniem i pogardą śmierci Garibaldiego, ale nie miał tej boskiej chwili Wyswobodziciela, kiedy – jak mówi Carducci – z „wysokości Gibilrossy oglądał oczyma Palermo...”

Dziś, gdy wszystkie zamierzenia, wszystkie zabiegi, wszystkie – z sercem wywróconym na nice – podjęte usiłowania przezornych ojców zostały bez skutku – gdy z dwu stron, w Poznaniu i w Chełmszczyźnie, spod stóp narodu ziemia się usuwa – gdy na żadne układy, na żadne warunki, na żadne ustępstwa wróg się nie godzi i nie chce złamać ani jednego ogniwa łańcucha – młoda Polska generacja zatęskniła do świstu moskiewskiej kuli i do ran pruskiego bagneta. Ta generacja uczy się, ćwiczy na polu broni i z zaciśniętymi zębami czeka.

Wśród tych to szeregów imię Franciszka Nullo wymawiane jest ze czcią szczególną. Jest to imię bohatera zaprawdę – nazwa jedyna, którą Europa krwią wypisała na karcie naszego powstania.

Giuseppe Garibaldi w liście z dnia 27 maja 1863 roku pisał do matki Francesca Nullo:

„Egli è caduto da valoroso per una causa santa – e quando gli uomini capiranno tutta l’altezza del sacrificio del Vostro Francesco – oh! allora l’umanità potrà decantare senza sacrilegio – Libertà, virtù, eroismo”.

Teraz Polska nie może uczcić na swej ziemi Franciszka Nullo inaczej, jak czcząc go w głębi serca. Lecz gdy jej „*causa santa*” wyszarpie się z powrozów, jednym z pierwszych czynów Polski wolnej będzie podnieść proch Franciszka Nullo i złożyć go na miejscu należnym, w Panteonie narodu¹.

¹ Jest to tekst polski włoskiej przedmowy do książki Giuseppe Locatelli-Milesi pt. *La spedizione di Francesco Nullo in Polonia*, 1863, Roma 1913. Przedruk tej przedmowy zamieścił dwumiesięcznik rzymski „L’Eloquenza” oraz dziennik „Giornale d’Italia” i inne, 1913.

LITERATURA A ŻYCIE POLSKIE

Było życzeniem zespołu ludzi nauki i praktycznego rzeczoznawstwa, którzy zapoczątkowali wykłady ściśle gospodarcze w Zakopanem, ażeby w szeregu odczytów poświęconych zobrazowaniu potrzeb i nasuwających się zagadnień życia społecznego na chwilę najbliższą znalazł się również krótki wykład o roli literatury w tym teatrze, który się na ziemi naszej rozgrywa i ma rozgrywać w najbliższej przyszłości.

Na pierwszy rzut oka wydaje się to rzeczą wprost niezrozumiałą, żeby taki temat mógł znaleźć się w spisie referatów o ekonomice i gospodarce życia. W istocie – tylko w Polsce można spotkać podobne zestawienie. Społeczeństwa należycie zorganizowane pod względem politycznym i społecznym dawno już wyzbyły się tego rodzaju mieszanin i nigdzie zapewne na świecie nie ujrzelibyśmy na afiszu podobnego współżycia. Jako przykład, że tak jest w istocie, że życie polityczne i społeczne przedzielone tam jest od literatury i jej zakresu działania głęboką fosą, przytoczę następujący fakt, który jest może nieco za jaskrawy, ale całą sprawę dokładnie uzmysławia i charakteryzuje.

Przed paroma laty w bojowym organie włoskich futurystów pod tytułem *Lacerba*, wśród wielu awanturniczych pomysłów, dziwactw, kabotyństw i błazeństw mieszczącym nieraz utwory świetne i świadczące o znakomitych talentach (Ardengo Sofficiego, Pallazzeschiego i innych), znalazł się artykuł Giovanni Papiniego z racji-wyborów do Izby włoskiej. Gdy cały świat tamtejszy wrzał, pieniał się i gorzał od walki, podsycanej przez południowy temperament – ów antyfilozof, jak się sam mianuje – Papini – kategorycznie oświadczył – wbrew nawet własnym swoim współwyznawcom literackim – iż go ta cała wrzawa, walka, wartość kandydatów poselskich, wreszcie sam los obietnic, haseł i ideałów głoszonych nic a nic nie obchodzi. „Od spraw politycznych – pisał – jest we Włoszech minister spraw zagranicznych, od spraw społecznych – minister spraw wewnętrznych. Ja jestem od spraw literackich i tylko tymi sprawami się zajmuję. Inne mię na razie nie obchodzą albo obchodzą tylko do pewnego stopnia.”

Nie wiem, czy ów futurysta trzyma się i dziś tego swojego hasła. Jednakże stwierdzić można, że *mutatis mutandis* sprawa stosunku literatury do życia tak właśnie stoi w krajach europejskich, którym los szczęśliwy nie odmówił z jednej strony ministra spraw zagranicznych, z drugiej – ministra spraw wewnętrznych.

Życie literackie z jego prądami, zawikłaniami i burzami – narodziny, wschody, walki, przełomy, klęski i zachody rozmaitych metod tworzenia artystycznego, których dalekie odbłaski padają i w mrok naszej dziedziny – nic zazwyczaj nie mają wspólnego z walkami na arenie parlamentarnej i z przełomami w instytucjach społecznych.

Naturalizm, weryzm, parnasizm, symbolizm, dekadentyzm, unanizym – jeżeli zahaczają o życie polityczne lub społeczne, to chyba tylko dla zaczerpnięcia tam materiału lub tematu artystycznego. Kierunki te i metody tworzenia stoją na ogół pod hasłem Goethego: „*Bilde, Künstler – rede nicht!*” Mają one cel swój własny, daleki od wszelkiego doraźnego dydaktyzmu, nie strofują, nie nauczają i nie poprawiają życia, nie idą w służbę codzienności w celu wywołania w niej zmian. Sztuka pisarska, zwana literaturą, czyniąc zadość warunkom i wymaganiom gramatyki, logiki i estetyki, dąży do tego, ażeby być w zupełności jedną ze sztuk pięknych, sztuką czystą, i osiągnąć najwyższy cel tego usiłowania, przetworzenie sztuki na piękno.

Natomiast w pewnym piśmie polskim, mianowicie w *Kurierze Warszawskim*, niemal w tym samym czasie, kiedy w *Lacerbie* drukował swój edykt wspomniany Papini, można było czytać artykuł wstępny, pisany podniosło i poważnie przez pewną pisarkę i publicystkę, osobę znakomicie i gruntownie zasłużoną – o tym, jaką powinna być literatura „piękna” w Polsce. Autorka ta nakłada na piszących rozmaite obowiązki. Nie mam w danej chwili przed oczyma tego artykułu, ale sędzę, iż nie mylę się, przytaczając z pamięci jego treść zasadniczą. Wyrażono tam życzenie, ażeby dzieło sztuki powstające w naszym kraju było dla szerokich warstw dostępne i zrozumiałe, ażeby pisano rzeczy ścisłe i bezwzględnie wartościowe pod względem moralnym – ażeby się wystrzegać wszelkiej nieogłędnej erotyki, wszelkiej lekkomyślnej swobody wyrażań, gdyż książka nasza dostaje się przecie do rąk młodzieży – ażeby każda ukazująca się książka krzepiła ogół i podnosiła na duchu – ażeby broniła szerokie masy czytelników od zgnilizny, abnegacji i pesymizmu.

Mutatis mutandis cała publicystyka i krytyka polska stawia pisarzom także wymagania, za to ich głównie potępia lub nagradza. Obok wielu cenzur zewnętrznych pisarz tutejszy musi w głowie swej, już podczas samej koncepcji utworu i w czasie wykonania zamysłu, mieć ustanowiony swój własny rodzaj trybunału cenzury prewencyjnej, który rewiduje same pomysły pierwotne, chwyta za skrzydła owo „natchnienie” i odrzuca wszystko, co grzeszy erotyzmem, pesymizmem, niewiarą, smutkiem – co się nie godzi z uznanymi zasadami pedagogii, zdrowia moralnego mas i duchowej tężyzny narodu.

Tak się ukształtowało nasze życie. Taki wiatr wieje w oczy i w tej dziedzinie naszej polskiej biedzie. Mamy więc w gruncie rzeczy dwa rodzaje twórczości literackiej – europejski i polski.

Jeżeli rozejrzeć się szczegółowo po widowni literackiej, to współtowarzyszów w tym polskim sposobie tworzenia oraz w sposobie spotrzebowania owoców pracy – nie znajdziemy wielu. Jedyne może współczesne piśmiennictwo irlandzkie (np. J. M. Synge, tak podobny do Wyspiańskiego!), a w połowie ubiegłego wieku literatura włoska przedjednoczeniowa mogłaby z naszą iść w jarzmie do pary. Alfieri, Leopardi, Ugo Foscolo, Carducci – to jedyni bodaj współtowarzysze po ciernistych szlakach twórczości naszych wielkich romantyków. Cała literatura polska, odkąd się zaczęła jej wysoka estetyczna wartość – poza swym celem własnym, poza gwałtownym wysiłkiem, ażeby z pospolitej mowy urobić i wykształcić twór innego porządku i nieprzemijającej wartości – ma nadto cel drugi, wyraźnie lub niewidocznie zaznaczony, wysunięty lub cofnięty, i z artystycznym zlewający się w nierozzerwalne i doskonałe jedno. Tym celem jest wypatrywanie i wyszukiwanie w ciemnościach drogi do szczęścia dla ojczyznanego plemienia. Nie ma bodaj ani jednego dzieła wzdłuż drogi pochodzenia literackiego od chwili naszej politycznej ruiny aż do momentu obecnego – dzieła, które krytyka literacka jako wartość szacuje – które by tej nie posiadało cechy.

Rzecz charakterystyczna, że nawet literatura staropolska nosiła na sobie znamiona przeczuć o niedoli narodowej i cechy mesjanizmu.

Dość wspomnieć Długosza, Ostroroga, Skargę, Kochowskiego, Woronicza...

Tę służbę u nieszczęśliwej ojczyzny podejmuje wraz z literaturą w epoce romantyzmu i popowstaniowego tułactwa także filozofia, historia, a nawet, o ile to jest do pomyślenia – na-

uki ściśle. Dość znowu wspomnieć Hoene-Wrońskiego, Lelewela, Bronisława Trentowskiego. Ostatni najdobitniej uwydatnił to położenie w pewnym liście do Ludwika Królikowskiego, mówiąc, iż dopóki służył w wojsku, szpadą walczył o niepodległość ojczyzny, gdy zaś ojczyzna leży w upadku, a szpada z dłoni wydarta została, walczy o tę samą niepodległość za pomocą swojego systemu filozoficznego.

Kilkakrotnie sztuka polska usiłowała wyłamać się z klauzuli obowiązków, które na nią wkładała świadomość niedoli powszechnej. Chciała zbliżyć się do sztuki europejskiej, stanąć z nią w jednym szeregu, stać się twórczością czystą, wolną od jakiegokolwiek ubocznego bodźca i zabarwienia. Sam przecie romantyzm w pierwiastkowej istocie swojej i naczelnej intencji był obcym przybyszem, niczym nie związanym z ogółem – i gorzkie za to od współczesnych krytyków otrzymywał nagany.

Wkrótce jednak, zetknąwszy się z ziemią, tak dalece nasiąkł od cierpienia, od mocy i niemocy, od rozpacz i nadziei narodu, iż stał się sam na dziesiątki lat i na liczne pokolenia czynnikiem moralnego, politycznego i społecznego dydaktyzmu, skarbnicą i rozsądnikiem pewnych konkretnych idei. Za to znowu otrzymuje od współczesnych krytyków surowe nagany.

W ciągu ostatniego ćwierćwiecza ubiegłego stulecia i na początku bieżącego trzykrotnie usiłowano wydobyć sztukę polską i literaturę piękną ze społecznej pańszczyzny oraz proklamować jej europejskie prawo do swobody. Było to usiłowanie Stanisława Witkiewicza, który w tym celu założył pismo *Wędrowiec*, później – Stanisława Przybyszewskiego, który w tym celu założył pismo *Życie*, wreszcie – Zenona Przesmyckiego, który w tymże celu założył pismo *Chimerę*. Każde z tych literackich powstań wywołało wpływ jak najzbawienniejszy na twórczość i krytykę rodzimą, rozszerzyło widnokręgi, przysporzyło sztuce nowych wartości przez ich europejską uprawę – lecz każde, jak wszelkie powstania w Polsce, skończyło się porażką. Stanisław Witkiewicz, który podniósł swój ostry polemiczny oręż przeciwko głównemu przedstawicielowi supremacji pierwiastków ideowych, uczuciowych i politycznych nad walorami ściśle malarskimi – przeciwko genialnemu Janowi Matejce – skończył po latach swą pracę krytyczną wyśpiewaniem przepysznego, niedoścignionego dytyrambu właśnie na cześć twórcy „Batorego” i „Grunwaldu”.

Życie Stanisława Przybyszewskiego, które obwieszczało wszem wobec piszącym, iż „sztuka-patriotyzm nie jest prawdziwą sztuką” – stało się wnet gniazdem, w którym porastał w srebrzyste swe pióra wieszcz nowoczesny Polski, Stanisław Wyspiański. Miłość ojczyzny jest właśnie alfą i omegą, źródłem natchnienia, namaszczenia i zasadniczą cechą jego sztuki. Twórczość Wyspiańskiego jest najwyraźniejszym dowodem i wizerunkiem tej sztuki polskiej nierozzerwalnie spojonej z patriotyzmem, który przepalał i przeżerał tę imaginację tak wyjątkową. Każda teoria estetyczna, chociażby najbardziej zbawienna i wypróbowana, płonęła na zewnątrz. Sam zaś pożar wewnętrzny szybko strawił wielkie bogactwo pomysłów. W naszych oczach ta twórczość zapaliła się i zagaśła. Wreszcie i sam Stanisław Przybyszewski w późniejszych swoich utworach z goryczą odwołał hasła *Życia*.

Trzecie wreszcie usiłowanie – *Chimery* – po rozświetleniu i ogrzaniu wielu talentów blaskiem europejskiej kultury, za najważniejszy swój dorobek i tytuł do głębokiej naszej wdzięczności musi poczytywać ekshumacje Cypriana Norwida, postaci twórczej, równej trójcy wielkich romantyków – którego dzieła są znowu jaskrawym świadectwem tego zatopienia się sztuki polskiej w ojczyźnie, podsunęcia i podłożenia wiotkich a chyżych jej skrzydeł pod nieudźwigniony ciężar niedoli narodu. Sam wreszcie Zenon Przesmycki, który tyle dorobku świata przeschczepił do naszej nowizny – w końcowych zeszytach swego pisma począł troskać się o muzea, teatry ludowe, szkoły artystyczne i zawodowe, uniwersytety, czytelnice, czyli zabiegać około tej sprawy tyle ważnej, jak i sztukę w Polsce uczynić motorem społecznym.

Z tego pobieżnego przeglądu samo przez się wysuwa się pytanie: jakaż tedy jest bezwzględna i istotna wartość literatury polskiej w stosunku do literatur świata? Odpowiedź na

nie jest bardzo trudna, jeżeli ma być opinią szczerą, bez wszelkiej pychy i narodowego samochwalstwa. Dają się u nas niejednokrotnie słyszeć ryzykowne twierdzenia, iż literatura nasza jest jedną z najpierwszych na świecie – a nawet zdania takie, iż tylko z pieśniami izraelskich proroków mogą być porównywane pewne pieśni naszych wielkich poetów. Jeżeli nawet tak jest w istocie, to przecież gminnym samochwalstwem byłoby twierdzenie, że te twory geniuszu, jakie w skarbcu swym przechowuje literatura europejska, niżej stoją od twórczości naszej.

Czy możemy wywyższać Mickiewicza ponad Goethego – Słowackiego ponad wiekiuście kwitnącego Shelleya – Krasińskiego ponad Leopardiego, Norwida ponad Poëgo, Wyspiańskiego ponad Carducciego – Kasprówicza ponad Francis Jammesa albo tyle mu pokrewnego Pascoliego? O wyższości lub niższości tych walorów nie może być w ogóle mowy – prędzej o ich bliskości i oddaleniu.

Pisarze, których nazwiska tu wymieniłem: Goethe, Shelley, Leopardi, Carducci, Poë, Jammes, Pascoli – są dla nas bliscy, rodzeni, niemal ojczyści. Tymczasem nasi wielcy pisarze są dla świata dalecy i obcy, niemal tak zupełnie, jak dla europejskiego oka obcą jest twórczość japońska – narodowa i hieratyczna. Przez swą niezniszczalną i zawsze obecną cechę narodową twórczość polska ma pewien stały wyraz i styl, niby owe drzeworyty japońskie Surimona, które tylko w jednym egzemplarzu istnieją.

Są w naszej poezji, w utworach Brodzińskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Leńartowicza, Wyspiańskiego, kreacje, będące wykwitem najgłębszego uczucia i najsubtelniejszego artyzmu, które zostaną na zawsze niezrozumiałymi lub w najlepszym wypadku obojętymi dla najzyczliwszego i pełnego najlepszej woli Europejczyka.

Gdybyśmy doskonalym, jak się to mówi: „kongenialnym” przekładem oddali na jakiś język europejski wezwanie Adama Mickiewicza do Bohdana Zaleskiego:

Słowiczku mój, a leć, a piej,
Na pożegnanie piej...

cóż byśmy otrzymali? Piękny wierszyk liryczny. Tymczasem – w tych bezgranicznie prostych i kryształowo czystych wyrazach mieści się przecie błyskawiczne widzenie potwornej tragedii, brzmi echo długich dziejów tortury ducha, skomlą monosylaby męczarni przegranej, pohańbienia i beznadziei – nie tylko samego twórcy, lecz i całego plemienia. A dalej – ta pewność, ta wieść, ta euforia, ta bezgraniczna radość, godna serca archanioła, która wieje ze słów:

I tajne brzemie lat
Wydalo plód,
I stał się cud,
I rozraduje świat...

Z głębokości morza łez, z ciemnej otchłani cierpień wytoczył się ten utwór plemienny, zakrążył się i zamknął w doskonale słowa, chowając w małym kształcie swym bezgraniczną treść – jak uriańska perła. Cały zespół ludzki raduje się tutaj przed swoim Bogiem, iż znalazł jakąś złudę broni przeciwko mocy piekła. Dla cudzoziemca trzeba by chyba pisać długi traktat, wyjaśniający zawartość i wartość tych nielicznych strof, moc i doskonałość, która z wewnętrzzną treścią religijną, moralną, polityczną i społeczną spoiła się w jedno nierozzerwalne.

Podobnie rzecz się ma z Norwidowym *Bema rapsodem żalobnym*:

Czemu, Cieniu, odjeżdżasz, ręce złamawszy na pancerz,
Przy pochodniach, co skrami grają około twych kolan?
Miecz wawrzynem zielony, gromnic płakaniem dziś polan,

Rwie się sokół i koń twój podrywa stopy jak tancerz.

W tym rapsodzie, uzbrojonym w tak niezrównane onomatopeje, tętniącym, połyskliwym, szelestnym i dzwonnym od kopyt rumaka i chrzęstu oręza – jest wszystka tęsknota polska za bohaterem, wodzem, władcym orężem, walką i zwycięstwem. Utwór ten jest obrazem duszy zbiorowej, niemal dokumentem politycznym. Te jego wartości – dzieła wysokiego arcyzmu – są znowu najzupełniej niedostępne dla duszy cudzoziemca.

Mało mam czasu, ażebym mógł uwydatnić to samo znamię poezji polskiej w takich utworach, jak *Samuel Zborowski*, *Lilia Weneda*, *Dziady*, *Irydion* i tylu innych. Na jedno wszakże wypada wskazać, to jest na szczególniejsze przenikanie przeszłości przez teraźniejszość i teraźniejszości przez przeszłość. Toż *Król-Duch* nie dzieje się w czasie, lecz zawsze, dziś i wówczas. Chóry *Lilii Wenedy* w mrokach prawnie mówią do rycerzy porażonych przez oręż Paskiewicza. – Twórca *Wandy*, *Irydiona*, *Samuela Zborowskiego* przeżywa zawsze podwójność artystycznego widzenia: stawanie się mocy ojczystej – a ma zarazem świadomość tej przepaści, w której ona zgruchotana leży.

Poeci są wyrazicielami uczucia narodu, który żyje w przeszłości, jak to już gdzie indziej zaznaczyłem, mając głowę wykreconą w tył i oczy wlepione w mrok, gdzie jest jego moc, wielkość i sława. Nawzajem znając siłę tego uczucia poeci podniecają i podsycają jego boleśność. Mówią oni w sposób niezrozumiały dla świata, która to mowa tu jest prawdą dostępną dla każdego. Rzucają tajny urok – istni czarodzieje i wróżę – na stado swe zabobonne od nie-szczęść.

Oto takie zaklinalanie, z dwunastej pieśni *Beniowskiego*:

...gdy na sennych was uderzą strachy,
I gdy zbudzicie się w łożu spotniali,
I usłyszycie, że drżą wasze dachy
I tak trzaskają jak dach, gdy się pali,
Kiedy was weźmie zimna śmierć pod pachy,
Bogu pokaże i przed Nim powali,
A będzie ziemia cichą jak mogiła:
Słuchajcie, bo ten strach – to moja siła.

Kiedy nie wiedzieć skąd dziecko się małe
Rozplacze, rączki założy na głowie,
Wpatrzy się w ciemność i stanie się białe
Jak próchniejąca wilcza kość w parowie –
Gdy włoski staną mu jak zmartwychwstałe,
I przedrzy wielki strach, a nic nie powie
Lub co innego wam w uśmiechu skłamię...
To mój go porwał wiatr i moje ramię.

Boleścią moją powietrze zakłete
Stało się mocą, bronią – pełne ducha...
I czasem do was gra jak harfy święte,
A czasem waszej odpowiedzi słucha...
Wtenczas – o straszne godziny przekłete!
Siadam i strumień łez mi z oczu bucha,
I przed Bogiem się nieśmiertelnym korzę,
Że mój duch cierpi tak, a nic nie może...

Jakże to te nasze wewnętrzne sprawy, wpływy i moce ma poznać i wyrozumieć cudzoziemiec? Jakże ma u c z u ć w mierze należytej tę zarazem wysoką potęgę naszą i oplakaną niewolę?

Toteż, sędzę, nie należałoby wcale narzucać się światu. Może kiedyś narody szczęśliwe przyjdą, ażeby spoglądać w przepastne szczeliny, którymi wspinał się i wywazał z niemocy nasz duchowy rozwój. A jeżeli nawet nie przyjdą nigdy, stać nas na takie zupełne wyosobnienie. Nie ukrywa ono nędzy ducha i ubóstwa formy, lecz wartości niedostępne, zawile i głębokie. W tym mniemaniu utwierdza mię opinia Adama Mickiewicza.

Pracując przed laty jako bibliotekarz muzeum w Raperswilu, trafiłem na listy Adama Mickiewicza do Krystyna Ostrowskiego. Ostatni zamierzał tłumaczyć na język francuski utwory naszego mistrza i w tych sprawach zasięgał rady od wielkiego autora. Mickiewicz z przedziwną prostotą odradzał, prosił niemal o zaniechanie tego zamiaru, tłumacząc, że nasze piśma nie są dla Europy i że na nas jeszcze czas nie nadszedł.

Zdarza się jednak, iż na tę naszą literaturę, tak bezwzględnie ojczyźnianą, zwracają z szacunkiem oczy artyści i badacze europejscy. Znane są płytkie mniemania Brandesa, wartościowe wykłady Carduccięgo, studia Gabriela Sarrazina, opinie Czechów, Rosjan, Chorwatów. W jednym tylko wypadku mamy do czynienia ze zrozumieniem zupełnym i entuzjazmem poetyckim – ze strony mało oczekiwanej. Znany poeta rosyjski, jeden z najwybitniejszych we współczesnej literaturze, tłumacz wszystkich utworów Shelleya, znawca literatury indyjskiej, włoskiej, francuskiej i innych, Konstanty Balmont, poznawszy do gruntu nasz język i poczyniwszy nad nim niezrównane obserwacje jako nad materiałem poetyckim w stosunku do języka rosyjskiego – zapłonął do Juliusza Słowackiego tak wielkim uwielbieniem, iż zamierzał tłumaczyć wszelkie jego utwory, nie wyłączając *Króla-Ducha* i *Samuela Zborowskiego*. Gdy zaś z powodu zasług, położonych w dziedzinie poezji, kultury i rozwoju języka literackiego w Rosji, urządzono jubileusz dwudziestopięciolecia pracy Balmonta, wygłosił on w Akademii Umiejętności podczas tego obchodu mowę o poezji polskiej, a w szczególności o dziele Juliusza Słowackiego. Nie mam, niestety, pod ręką dokładnego tekstu tego wspaniałego wywodu, mogę tylko streścić jego myśl główną. Zasadzała się ona na twierdzeniu, iż kultura artystyczna i poezja rosyjska musi przejść pilnym badaniem wielką poezję polską, zgłębić jej ducha, zmierzyć arcyzm, jeżeli chce z bogacić się o cały zasób nowej mocy i o cały świat głębokości.

Tak to więc, kiedy wokoło gardzieli naszej okręcał się z furją i pasją powróż niewoli, kiedy posiepak przemocy gnębił nasze życie fizyczne, katował ducha pokoleń młodzieży, trzymał w umyślnej ciemności ogrom geniuszu lechickiego ludu – świetny dostojnik literatury rosyjskiej udowadniał elicie tego narodu, kwiatowi jego, subtelnym poetom, czujnym artystom i przenikliwym krytykom, iż winni są zapoznania się ze skutkiem niewoli – iż muszą zajrzeć głęboko w owe „czasze nalane krwią, serca rozpaczą” – umoczyć wargi w gorzkim napoju, który my pijemy od stulecia. Smak tego napoju ma ich ocucić ze snu nieświadomości, ma im dać poznać czarodziejski arcyzm narodu umęczonego przez ich państwo, ma ich ozdrowić z gnuśnej ich obłudy i z gnuśnej ich rozpacz.

Podobnie jak z literaturą piękną okresu romantycznego i jej regeneracją za naszych czasów – ma się rzecz z innym rodzajem pisarskim, mianowicie z powieścią. Tylko że walor artystyczny tego właśnie rodzaju daleko jest od poprzedniego pośledniejszy. Na Zachodzie i na Wschodzie dzięki tej okoliczności, że rozwój społeczeństw ujęty tam został przez ustroje państwowe, a życie zbiorowe zorganizowane przez instytucje społeczne wspierane przez państwa – mógł zakwitnąć romans psychologiczny.

W Polsce nie ma go prawie zupełnie. Gdy tam mógł być powstać na przykład utwór osnuty na tle przeszłości dla rozkoszowania się jej barwą, dla nasycenia głodu zbadania, jak żyli i co czuli przodkowie, dla upojenia się brawurą i awanturniczością, wytworem czasów minionych – u nas i ten porządek literacki podejmowany był „dla pokrzepienia serc”, popadających w

abnegację i zwątpienie o wszystkim pod ciężarem beznadziei, stworzonej przez wiecznie jednaki ucisk. Nauczanie terażniejszości za pomocą żywych obrazów przeszłości, oddziaływanie na „krok leniwy ognuśniałych zdarzeń” – było pobudką do tworzenia.

Tym też w znacznej mierze tłumaczy się nadmierna obfitość tego rodzaju literackiego i jego powodzenie wszędzie, gdzie tylko brzmi polska mowa.

Płody okresu zwanego romantycznym i utwory osnute na kanwie historii, jako gatunki pisarstwa, których głównym twórczym elementem jest lotna fantazja, mogły z natury rzeczy zabezpieczyć sobie daleko więcej swobody niż romans psychologiczny.

Wspomniałem już wyżej o wszelakich rodzajach cenzury przymusowej i dobrowolnej, wynikłej z powszechnej, niepisanej na nią zgody. Te ograniczenia szczególnie musiały być stosowane do powieści osnutej na tle życia współczesnego, przedstawiającej dzieje ludzkie, które płyną w oczywistym dla wszystkich łożysku terażniejszości.

Na Zachodzie dawno już przeminęły czasy, kiedy Shelley i Byron uchodzili z kraju przed pościęciem obmowy i szczuciem snobów – kiedy Gustaw Flaubert zasiadał na ławie oskarżonych za popełnienie arcydzieła *Madame Bovary* – kiedy Ibsen opuszczał ojczyznę, ażeby tworzyć w zupełnej swobodzie. U nas te obyczaje jeszcze nie przeminęły. Nikt też z piszących nie byłby – przypuszczam – w stanie pozwolić sobie na wyrzucie się z obowiązku współżycia i współcierpienia z niedolą kraju.

Toteż w dziedzinie, o której mowa, wszystko niemal bez wyjątku przesiąknięte jest na wskroś troską o byt polityczny. Powieść jawnie lub skrycie jest dydaktyczną. W sposób szczególnie wyraźny, specyficznie polski, załatwia ona sprawy, które wszędzie pełnią już instytucje życia zbiorowego, wchłaniają parlamenty, giełdy pracy, kongresy oświatowe, partie polityczne i organizacje kulturalne. Powieść w Polsce podnieca do walki lub przed nią ostrzega, maluje przepastne wiry, w które zapaść mogą różni ludzie bezdomni i ludzie podziemni – opiekuje się przemysłem wielkim lub małym albo uczy strajkować – zwalcza emigrację albo buduje placówki obronne – szerzy antysemityzm, budzi ducha wśród arystokracji czy wśród ludu – wskrzesza kult oręża lub kult organicznej pracy – zatapia się wreszcie w różne tajemnicze lochy poszukując mniemanych źródeł duszy polskiej, której w tych lochach znaleźć nie sposób – i tak bez końca. Utworów, które by miały na oku cel jedynie artystyczny, dla niego samego podjęty – które by miały za dążność swoją podchwytywanie fenomenów ducha ludzkiego, malarstwo cnót i grzechów, namiętności, szaleństw, okrucieństw, walk wewnętrznych, upadków i obłądów – u nas prawie nie ma. Nie może znaleźć u nas posłuchu rada najbardziej doświadczonego eksperta w rzeczach tworzenia – Goethego.

*Greift nur hinein in's volle Menschenleben:
Ein jeder lebt's – nicht vielen ist's bekannt,
Und wo ihr's packt – da ist's interessant...*

Toteż sztuka Poëgo, Stendhala, Flauberta, Goncourtów u nas nie wykwitła. Nie zostało w Polsce poruszone ani jedno z tych głębokich zagadnień, które dręczą duszę współczesnego człowieka. Ujawniły się u Dostojewskiego przez zużytkowanie formy powieściowej zuchwałę koncepcje „człowieka-boga” i zapłodniły jakoby genialne powzięcie Fryderyka Nietzschego o nadczłowieku. Rozsnute zostało badanie i ujawnienie w oczywistych przykładach z życia ludzi – pierwiastków, z których powstaje zbrodnia – uzewnętrznienie istoty idiotyzmu graniczącego ze świętością i najbardziej skrytych, zawilych, perwersyjnych fenomenów zmysłowej miłości – tajemniczej potęgi muzyki – geniuszu – obłąkanej żądzy panowania i tak dalej. Sztuka ta znalazła daleki oddźwięk w Europie, wywarła wpływ na najsubtelniejsze umysły krytyczne, jak to widać ze studiów Suareza (czerpanych ze znanej rozprawy Mereżkowskiego o Tolstoju i Dostojewskim).

Gdzie indziej, w Anglii, zajaśniała nadzwyczajnym blaskiem filozoficzna powieść G. K. Chestertona, za pomocą wizjonerskich obrazów i spiżowych form usiłująca uwydatnić potęgę indywiduum i zgłębić niezbadanego ducha motłochu. W Norwegii Johann Boyer ukazuje jednoźródłowość zbrodniczości i aktorstwa oraz sploty elementarnych instynktów, karmiących wiecznie zdobywcą, równą sile życia, siłą pieśni. We Francji Jammes dociera – w takiej, na przykład, historii zajączka stowarzyszonego ze świętym Franciszkiem z Assyżu – do najbardziej niedościgłych, niebiańskich wyżyn tajemnicy religii.

Nie chciałbym być zrozumiany jako zwolennik tego lub owego kierunku artystycznego czy tak zwanej sztuki dla sztuki. I to ostatnie hasło narzucałoby pewien przymus woli twórczej, zmuszałoby tę wolę do pewnego rodzaju tendencji. Mówię tylko o braku u nas możliwości zupełnej swobody tworzenia – tego powietrza, bez którego twórczość istotna bytować nie może. Toteż dla gustów cudzoziemskich nasza powieść współczesna, przepojona uczuciem patriotyzmu, nabrzmiała i przeładowana kwestiami natury społecznej, jest niezrozumiała, i co gorsza – jałowa.

Gdy w Mediolanie pewna wielka firma wydawnicza organizowała rodzaj antologii piśmiennictwa świata, we stu tomach, obejmującej literatury narodów Europy, Azji i Ameryki – dla Polski nie wydzieliła ta firma ani jednego tomu. W wielkich czytelniach stolic Zachodu nie ma naszych pisarzy. Nie przynosimy światu wiadomości artystycznej o zawilosciach duszy człowieka. Mówimy wciąż o zawilosciach duszy Polaka. Tak być musiało, gdyż inaczej być nie mogło.

Są jednak w literaturze naszej utwory, które nie wyłamując się z linii polskości, o jakiej była wyżej mowa, mogłyby być najzupełniej dostępne dla wrażliwości europejskiej, a nawet wywierać wpływ literacki. Mam na myśli *Gody życia* Adolfa Dygasińskiego – dzieje uczuć i przeżyć ptaszka mysikrólika wśród ogromu zjawisk polskiej puszczy. Nieprzebrane bogactwo mowy ludu i przygasłej mowy przeszłości, głęboka znajomość przyrody i przeniknięcie uczuciami życia głębin leśnych splata się tutaj w doskonale i czarujące jedno, które stanowi cenny diament w koronie arcydzieł świata. Otóż ten właśnie utwór jest pominięty i zapomniany tak doskonale przez naszą krytykę, jak był do niedawna pominięty i zapomniany Cyprian Norwid i całe jego dzieło.

Abnegacja literatury polskiej z praw do swobody tworzenia, zarazem przymusowa i dobrowolna, uczyniła z niej w zamian za to wprost motor życia społecznego, a nawet gospodarczego. Literatura stała się cementem spajającym rozerwane części narodu. W Ameryce, w głębiach azjatyckiej Rosji, w rozproszeniu po Europie i po lądach jest ona tym czymś, co zastępuje polski konsulat, polskiego doradcę prawnego, polską szkołę i wszelaki urząd. Dość tu wymienić nazwisko Henryka Sienkiewicza. Raif Emerson w jednym ze swoich pism nazwał Szekspira wiekuistym królem Anglików, który nad nimi przez szeregi pokoleń panuje i w jedno ich spaja.

Gdyby za czasów porozbiorowego trwania naszego wymazać i usunąć to, co zdziałała poezja polska i nowoczesna twórczość literacka, nie bylibyśmy już żyjącą i świadomą siebie rzecząpospolitą, lecz strwożonym „stadem, rozbitym przez wilki”.

W dziejach naszych jest precudna legenda, zapisana po raz pierwszy w trzynastym wieku przez pustelnika prostaczka, Wincentego z Kielc, którą później powtórzył Baszko Godziszaw, a wreszcie Długosz – o świętym Stanisławie. Mówi owo widzenie anachorety, iż gdy miecz przemocy porąbał w sztuki ciało Świętego, ptaki niebieskie przelatowały i znosiły jedno ku drugiej porozrywane i poszarpane szczątki cielesne, aż w jednolitą znowu zrosły się postać. Nie będzie przesady, jeżeli powiem, iż poezja polska, sztuka i literatura są to te wolne ptaki niebieskie, które wciąż na siłę ciągną i znoszą jedno ku drugiej poszarpane, obumierające z wytoczenia krwi części ojczyzny. Te rozniecone jednoszczepy tęsknią i drżą w bezsile, ażeby się znowu, na obraz ciała Świętego, w całość zrosnąć i zostać bytem samoistnym, o trwaniu niepokonanym aż do skończenia wieków.

Sprawa ta, od dziesiątków i dziesiątków lat tak właśnie trwająca, ma przecież cechy fatalne, szkodliwe zarówno dla sztuki polskiej, jak i dla życia.

Tak się bowiem ułożyło, iż wiele prac, wiele całkowitych dziedzin pracy narodowej załatawia – literatura. Utarto się niepisane prawo, weszło w naszą krew przeświadczenie, iż można w taki właśnie sposób wlec żywot z jednej strony fizyczny, z drugiej duchowy. Wydaje się nieraz, że skoro sprawa publicznego znaczenia poruszona została w sposób literacki, gdy literatura poczęła krzepić, dźwigać, podnosić, ożywiać i szerzyć ową „otuchę” – to już i w głębiach życia zaszło coś dodatniego, dokonała się jakaś przemiana na lepsze. Tymczasem częstokroć na tej akcji literackiej się kończy.

Z drugiej strony – literatura rozpanoszyła się w naszym życiu, nabrała pewności siebie i jakowegoś cudacznego waloru. W sprawach najbardziej zawitych, wątpliwych, spornych, trudnych, wymagających rady, współdziałania i decyzji czynników fachowych, świadomych, technicznie przygotowanych i wyszkolonych – zawsze można się doczytać oświadczenia, że ta a ta sprawa jest dobrą i pewną, ponieważ taki a taki literat jej sekunduje lub patronuje.

Należałoby zarówno w interesie życia publicznego, jak literatury dążyć do zmniejszenia wpływu ostatniej, do pozbawienia jej praw decyzji w życiu codziennym – do pozostawienia jej własnemu losowi. Niechajby piśmiennictwo polskie weszło w swoje własne kolisko, na właściwą mu arenę, jak tyle innych na świecie, i znalazło tam swobodę ruchów, prawo wyboru zagadnień i metod swej pracy.

Natomiast z całą pasją i gwałtownością trzeba by podjąć istotną pracę nad stworzeniem wspólnego narodowego i społecznego rozwoju, pracę podsycaną nie tylko przez „moc pieśni, która serce przeobraża i niewolnika przedzierzga w człowieka”, lecz przez świadomość powszechną i przez białoorlą, drapieżną, zdobywczą żądzę plemienną. Jeżeli kiedy, to dziś najjaskrawiej stanęła przed nami ta konieczność. Jest to bowiem moment, kiedy i piśmiennictwo zaskoczono, wyprzedzone o tysiąc mil przez wypadki – oniemiało i osłupiało – stało się przeważnie odruchowym, naśladowczym słowotokiem, stekiem bombastycznych wierszy i barokowej prozy. Czczność patosu bez wewnętrznego ognia, który by się palił w istocie, przelewa wyrazy w świetle pogorzeli, w huku bitw, wobec czarnych piecowisk, pół nędzy, szeregu mogił i przed rozpaczą skamieniałą w milczeniu.

Tymczasem – olbrzymia oto poezja ukazuje się jak jutrznia wschodząca nad naszą niešťczęsną ziemią. Gdy pod Tarnowem wrzała jedna z najstraszniejszych bitw tej wojny, gdy ziemia drżała od huku armat – widziano chłopą polskiego, który orał swą niwkę. Jest to prawdziwie wymowny symbol jedynej siły niezłomnej i twardej naszej ostoji. Posłuszny nakazowi nie umysłu zapewne, lecz instynktu, odziedziczonego po niezliczonych pokoleniach oraczów, ten gospodarz ziemi, dziedzic jej, żywiciel wszystkich zawsze, powzięciem wyższym ponad umysł, bo intuicją, która jest samą mocą życia, wiedział, co czyni, jak wie człowiek tonący o celowości i skuteczności swych ruchów, choć ich nie wyrozumował.

Tak samo jak przed wiekami jego przodkowie, za wojen tatarskich i szwedzkich, trwał na polu ze swym koniem i pługiem. Musiał orać. Toteż z tego potwornego chaosu, który tyle druzgoce, on jeden wyjdzie cało, wzmocniony i zasobniejszy. Na szczęście, praca jego nie jest osamotniona.

Mnożą się oznaki i z dnia na dzień ukazują zjawiska, świadczące, że ten zbawienny instynkt, wsparty wskazaniem doświadczonego i przez naukę ćwiczonego rozumu, ujmuje ster życia. Od wieków rozlegają się utyskiwania najświatlejszych umysłów na zasadnicze nasze zaniedbanie. Już w siedemnastym stuleciu skarżył się gorzko Waćław Potocki:

Nikt do nas, my na wszystkie posyłamy światy
Po trunki, po korzenie, szkiełka i bławaty!

Ten stan trwa do dnia dzisiejszego. Nie trzeba tego udowadniać, bo o tym wszyscy wiedzą, że niemal wszystko, co jest potrzebą dzisiejszego człowieka, każdy sprzęt i odzież, każdy przedmiot wygody i ozdoby, jest gdzieś daleko przez obce pracowite ręce wytworzony, a pomysły przez jakiś daleki, twórczy rozum. My zaś jesteśmy obiektem tej pracy. Wszystko – od egzotycznej *aigrette*'y na kapeluszu damy aż do pąsowego lejnika chłopca pod Krakowem, który to lejnik jest „bajecznie kolorowy” i tak radośnie bawi oko w pięknym pejzażu, zachwycając malarzy i nas patrzących na malowane pejzaże – jest obce. Bo, jak utrzymują, owe lejniki były znoszonymi mundurami wojsk angielskich, tandetą, którą Żydzi tarnowscy sprowadzali masowo i sprzedawali na okolice. Wstążki dziewcząt wiejskich, tak również „nasze” w kolorze, są wyrobione według i gwoli naszego chłopomańskiego gustu, lubującego się w barwie ludowej – ale gdzieś za siódmą górą i za dziesiątą rzeką. Cóż tu zresztą mówić – nawet odznaki narodowe, które na piersiach nosimy, symbol nieśmiertelnego trwania plemienia – również nie są wyrobem krajowym.

Skarby niezmierzone, w głębokości ziemi ukryte od prawników – sól, węgiel, żelazo, miedź, ołów, cyna, siarka, marmur, nafta, wapno – czekają na ramiona tych, co po powierzchni się wałęsają lub idą w dal na poniewierkę. Handel i przemysł stoją ukryte w zamyślach głębokich, czekają na ów motor nowoczesny – kapitał – który w olbrzymim rozmiarze trzyma po bankach zagranicznych arystokracja polska. Jeden dzień zmowy tej arystokracji – zmowy ku zniszczeniu nędzy i wskrzeszeniu tysięcy warsztatów pracy – i oto zabłysną i zaświeczą – siekiera, piła, drąg, młot, kilof. Zapuści się głęboko w grunt przemokły od krwi i łez żywicieli przyszłych pokoleń, nowoczesny pług.

Zaszumi łąn złotej pszenicy i spłowieje dorodne żyto. Zahuczy tysiąc tysięcy wozów na szynach nowych kolei. Zakipi tysiąc kotłów parowych w fabrykach i na statkach, dążących z wyrobem od braci do braci. Można w to wierzyć i nie należy wzruszać ramionami, gdyż szybkość, co więcej, gwałtowność postępu, nawet u nas, jest oczywista. Jako postronnego świadka uderzała mnie ona wielokroć w życiu. Podczas rozgwarów roku 1905 byłem obecny w małym pokoju na Chmielnej ulicy w Warszawie, gdzie czterej panowie, mniej wykwintnie ubrani, zakładali redakcję czasopisma *Spolem!* z zamiarem szerzenia w kraju ruchu kooperacyjnego.

Dzisiaj – ci sami jegomości mają poza sobą ogromne społeczne zjawisko, kilkaset zorganizowanych kooperatyw spożywczych, sklepy i składnice centralne. Mają nade wszystko zastępy fanatycznych zwolenników wśród ludu, robotników, drobnomieszczaństwa i uświadomionej inteligencji, to znaczy – nową zorganizowaną siłę narodową.

W tym samym czasie kilku innych panów zakładało Bibliotekę Publiczną w Warszawie. Razem wzięci pod względem materialnej zamożności ci szanowni panowie nie byłiby w stanie złożyć się, zapewne, na kupno jednej półeczki tanich wydawnictw, a oto dzisiaj dzięki ich inicjatywie stoi gmach ogromny, zawierający w sobie europejskiej miary instytucję.

Dźwignięta ona została nie tylko ofiarnością zapisodawców, ale również ogromem ofiarnej, bezinteresownej pracy, przede wszystkim kobiecej.

W oczach naszych powstają z niczego, z tworzącego zapału i bezimiennego trudu szeroko zakreślone towarzystwa naukowe, chlubę całemu narodowi przynoszące szpitale, muzea i szkoły. Nie będę mnożył tych przykładów, gdyż musiałbym opisać dzieje lat ostatnich. Cała dzielnica poznańska, ten istotny Piemont naszego gospodarczego odrodzenia się w zbiorowym czynie jest żywym i klasycznym przykładem tej szybkości polskiego postępu. Osiąga ona pod tym względem najwyższy rekord. Na zjeździe kooperatystów w Londynie stowarzyszenia wytwórcze włościańskie ziemi poznańskiej uznane zostały za najlepsze na świecie. Otrzymuje tamtejsza cała praca pochwałę – co prawda przypominającą podarunek Danaów – z ust profesora Bernharda, że istnieje tam samoistna chłopska rzeczpospolita, która wszystko dla siebie wytwarza i wszystkie siły ze swego czerpie koła.

Kiedyż na tę możliwość jak najszybszego postępu, na osiągalność jego rezultatów wskazywać, kiedy ją radośniej pozdrawiać, jeżeli nie dziś, kiedy w Warszawie co tchu w piersiach, co entuzjazmu w sercu, co siły w ramionach tworzą uniwersytet polski, politechnikę, szkoły średnie, miejskie, ludowe, zawodowe, sąd, skarbowość, administrację, milicję? Ileż to każdy z tych tytułów, każda z tych funkcji, każda z tych nazw wymaga ludzi – i jakiej od nich wymaga pracy! Jakiej trzeba zdolności organizacyjnej w tyle niepomysłnych warunkach! Jeżeli nawet ta praca błogosławiona i wszystek jej rezultat ma znowu w jakąś przepaść runąć, w naszą polską przepaść, która już tyle pochłonęła – to i na to nas stać! Podźwignie się ona i odrodzi znowu, o jedno umiłowanie na śmierć – mocniejsza, o jedno doświadczenie mądrzejsza. Stać było ukochaną Warszawę w czasie wojny i powszechnej biedy na złożenie w ciągu trzech dni – trzystu pięćdziesięciu dziewięciu tysięcy rubli na narodowe szkoły! W tym samym czasie wrzała tam praca inna.

Oto sucha, dziennikarska notatka podaje wykaz:

„Z informacji, jakie przynosi prasa warszawska o życiu miasta i kraju, zasługuje na uwagę sprawozdanie z ostatniego posiedzenia plenarnego Centralnego Komitetu Obywatelskiego. Okazało się, że Komitet otrzymał z dnia 31 maja 9 835 000 rubli funduszków z różnych źródeł, a wydał z tego 7 294 000 rubli. Zorganizowano za to 108 schronisk dla zbiegów wojennych na 10 000 osób. Niekiedy mieściło się w tych schroniskach do 30 000 osób. Dalej 21 schronisk dla 3 700 dzieci kosztem 20 000 rubli miesięcznie, 17 posterunków żywnościowych kosztem 20 000 rubli miesięcznie, z kuchniami ruchomymi, które kosztowały 12000 rubli miesięcznie. W naturze rozdawano zapomogi 100000 osób kosztem 100 000 rubli na miesiąc. Kuchni tanich było 28, wydawały one 800 000 porcyj miesięcznie za 45 000 rubli, nadto 217 herbaciarni wydawało 12 000 rubli miesięcznie. Wspierano w gotówce 40 do 50 tysięcy osób, wydając na to 180 000 rubli na miesiąc. Ochrony dla dzieci w liczbie 250 kosztowały 45 000 rubli miesięcznie, a mieściły 20 tysięcy dzieci. O ogromie i świetnie zorganizowanej pracy społecznej w tym zakresie przez Królestwo daje wyobrażenie także dostawa po cenie kosztu artykułów spożywczych, jak mąki pszennej, której sprzedano 1 042 000 pudów, żytniej 527 000 pudów, chleba 128 000 pudów, kaszy 34 000 pudów, cukru 140 000 pudów, soli 15 600 pudów. Drzewa na budowę domów zakupiono w lasach rządowych 60 000 dziesięcin za 100 000 rubli. Warsztaty i pracownie zatrudniały 321 mężczyzn i 2 000 szwaczek, a wydawały 185 000 rubli miesięcznie. W dziale opieki zdrowotnej zorganizowano 26 oddziałów sanitarnych, 16 posterunków szpitalnych. Ogółem Centralny Komitet Obywatelski udziela pomocy w naturze przeszło 170 000 ludzi miesięcznie, zaś w gotówce przeszło 100 000 osób!

Z tych cyfr wieje ku nam potężny wicher poezji. Gdyby na tej ziemi żył jeszcze wielki poeta, nie potrzebowałby błogosławić wiatrów i posyłać ich w dalekie, bezechowe pustkowia, lecz patrzyłby na żywe ziszczenie, jak jego „boleścią powietrze zakłęte stało się mocą, bronią – pełne ducha...”

Nie od razu to przyszło. Tamtejsi ludzie długo się do swojej dzisiejszej pracy przygotowywali.

Od najpospolitszego, najbardziej nieefektownego kłopotarstwa w sklepiku stowarzyszenia spożywczego, gdzie wypadło przeważać pieprz, cukier i przeliczać paczki ordynarnego tytoniu, a zarazem umieć za pomocą wykładu przekonać i uspołecznic ciemne zespoły – od nauczania w szkółce ludowej, gdzie dzieci pisały litery i cyfry węglem na białej, nie pomalowanej desce, gdyż na czarną tablicę nie starczyło publicznego funduszu – od mozolnej krzątani-ny w czytelni bezpłatnej – od tych najelementarniejszych komórek i załączków życia kulturalnego – przechodzili zmaganiem się, doskonaleniem metody i doświadczeniem aż do tworzenia rozległych organizacji wielkich ruchomych bibliotek, rozwijających dziesiątki tysięcy tomów po stacjach kolejowych, do prób wdrożenia powszechnej, przymusowej oświaty, do

fundowania doniosłych instytucji społecznych. Poznali oni wszystkie tajniki i przespiegi istoty życia w najpotworniejszych warunkach ucisku, nauczyli się korzystać z lichych, nie dostrzeżonych przez szpiega zuchelków możliwości działania i wyciskać tę możliwość aż do ostatniej granicy. Co dało się wykonać, wykonane było dobrze. Żywoty całe dostojnych, pierwszorzędných ludzi upływały w pracach niewiarogodnie pospolitych, które gdzie indziej budziłyby uśmiech politowania, w zabiegach stale rozszarpywanych i niszczonych.

Ani jednego z tych bezimiennych nie czekał fotel dostojności, nikomu nie przyświecała nadzieja kariery. Zawsze ten sam cierpliwy kryminal był emeryturą za najbardziej wydatną i długoletnią zasługę. Nie wdaję się tutaj w ocenę niczyich mniemań, nie wyrażam żadnego poglądu na narodową sprawę, nie schlebiam żadnej zasadzie. Wspominam tylko z głębokim szacunkiem niepospolite charaktery, przypatruję się typom kultury prawdziwie dostojnym.

Nie chcę wymieniać nazwisk, gdyż na tamtejszym terenie nie jest to we zwyczaju. Usiłowania tych ludzi potrzebowały niegdyś poparcia ze strony literatury. Dziś już nie przyjmą, na szczęście, od niej pomocy, tym mniej – wyreki. Toteż jeżeli kiedy, to dziś może ona odejść do dziedziny swej własnej – z mowy codziennej, z gwar dalekich, z podań, legend, z nieprzebranej mnogości wydarzeń, z krynic cierpienia i radości kształtować swój twór i język wysoki, zbogacony niewysłowieniem przez twórców-praojców. Może ona już teraz zapuszczać się w tajne głębie ducha ludzkiego czy plemiennego, uciekać od świata w kraje tajemniczy i zmyślenia, lub, jeżeli jej wola, żyć w gwarze walk i prac, wśród rozpacz i śmiechu. Swoboda nada jej cechę i piętno sztuki samoistnej, indywidualnej, charakterystycznej, a więc narodowej.

Z większym już teraz spokojem, choć może z mniejszą emfazą, jakiś krajowy Papini będzie mógł wręczyć całe dziedziny spraw politycznych i społecznych w powołane, wyciągnięte, ręce, w ręce takie lub inne, byleby czyste, mocne i nareszcie rozwiązane².

² Odczyt wygłoszony dnia 28 sierpnia 1915 roku w Zakopanem, w serii wykładów zorganizowanych przez prof. Franciszka Bujaka pt. „Zadania i potrzeby gospodarcze”.

SEN O CHLEBIE

Pas publicznego traktu przecinał okolicę, ciągnąc się po falistych pagórkach i rozplaszczonych nizinach. Gdzieniedzie stały przy nim szeregi obłamanych topól albo wieloletnie lipy, samotnice, zaniedbane przez nieszczędną siekierę. Kobieta, zdążająca w dal ponad zakurzonym rowem, miała wciąż przed oczyma nieskończony gościniec albo domyślała się jego kierunku po szeregu drzew, gdy się za wyniosłościami gruntu ukrywał. Wymijała bez przerwy łańcuch wozów wojskowego trenu ciągnący na jej spotkanie i, choć spieszyła ze wszech sił, nie mogła dotrzeć do jego końca. Wychudłe, stare szkapy lub konięta ledwie dźwigające uprząż – ciężkie wozy i rozsiadli na ich przodkach ludzie zdrożeni, senni, z oczyma bez wyrazu jak woda przydrożnej kałuży – hurgot, szcęk żelaziwa, okrzyki popędzające sprzężaj – bez końca były te same. Z odległości ten ruchomy, wlokący się tabor podobny był do rzeki szarej i chropowatej. Podróżna biegła co żywo, choć nogi jej ledwie mogły udźwignąć ciężar ciała.

Tumany kurzu, podrywane przez suchy wiatr letni spod kopyt końskich i obręczy kół, siekły jej oczy, wgryzały się w nozdrza, wargi i gardło. Słońce przypalało ramiona. Pot oblewał plecy. Toteż pożądliwie witała każdy cień drzewa. Nie zważając na upał kryła twarz pod chustkę narzuconą na głowę, żeby umknąć wzroku męskiego. Na każdym wzgórzu przystawała szukając swojej miejsciny – celu podróży.

Lecz pagórki rozchodziły się w przestwór, niziny ciągnęły wszcz w dalekość przyćmioną od mgieł, a znajomych kształtów budowli nie było widać. Po każdym z takich przeświadczeń ciężkie westchnienie wydierało się z jej spieczonych warg, a oczy bezsenne od długiego szeregu nocy zakrwawiały się na nowo. Gdy droga szła pod górę, osłabione nogi gięły się zaplatając jedna na drugą, a tętna tłukły w kości głowy jak młotki dwustronne. Skoro zaś poziom szczęśliwie zniżał się ku nowym rozłogom, samotnica w cwał biegła.

Wracała z powiatowego miasta od krewnych męża, którzy przytulili byli jej córeczkę. Przed dwoma tygodniami dano znać, że dziecko jest bardzo słabe. Udało się dostać przepustkę i przybyć w porę. Stanęła na miejscu w sam czas, żeby zobaczyć, jak umiera... Zmarło.

Przynajmniej na jej rękach. Pochowała. Teraz powraca do chłopca, starszego od nieboszczki, który prawie bez opieki, na łasce ludzkiej w domu pozostał.

W domu... Miasto od czasu wielkiej bitwy leżało w ruinie, a „dom” – było to schronisko w zgruchotanych murach, kąt między ścianami bez dachu. Nakryła go przy pomocy życzliwych sąsiadów wystawą z opalonych krokwi i pościąganych zewsząd desek, gliną oblepiła piecowisko i gotowała, co się gdzie dało uzganiać. Mąż jej, zabrany przez nieprzyjaciela, od szeregu miesięcy przepadł bez śladu i wieści. Przywykła już była do nędzy, głodowania, do poniewierki, trwogi, krzywd, zniewag, potrażeń – do wszystkiego. Lecz przydarzyło się oto coś,

czego nie mogła w samej sobie pokonać. Było ponad nią, jako wszechmocna władza, wciąż żywe, wciąż nowe, jakby coraz bardziej nienasycone w swym okrucieństwie, odradzające się i napastliwe coraz zajadlej – bez początku i bez końca. A taka przy tym zwyczajna rzecz, taki widok codzienny, tak pospolite nic!

Dziecko zachorowało na krosty w gardle i umarło. Jak setki innych... Tysiąc tysięcy razy chciała już przecie zapomnieć, nie myśleć daremnie o oczach, co je piasek zasypał i wyjada – oczach trzyletnich, przez które patrzy stara, jakby stuletnia rozpacz... Usiłowała zapomnieć o rączkach tak małych, tak drobnych, wyciągających się spod nieudźwignionego ciężaru, zwalzonego na piersi, tak przecie szczuplutkie. Usiłowała zapomnieć, a o tym tylko jednym pamiętała. Bo uśmiechały się do niej w mrokach bóleści różane usteczka szepcząc niestrzymany rozkaz: „Już mnie zapomnij...” Szara głowina dźwigała się z barłogu, oczy szukały czegoś poprzez nocny mrok i zachryły głoseczek brzmiał na wieki. Opuszczona matka zasuwiała palce między palce i wykrzywiła je aż do złamania, żeby wydrzeć i wytracić w sobie wiadomość o tym, jak to ona tam sama jedna leży w ziemi. Ale się tylko od tych wewnętrznych mocy i przemocy cielesnie zataczała jak pijana. Jęk wymykał się z jej ust, choć zaciskała zęby i garścią dusiła gardło.

Jedyne, co ją wciąż od nowa podcinało, to jakby czyjeś nad uchem ciekawe zapytania: Czy też chłopiec żyje? Czy i jego nie opadły te same krosty? Czy go zastanie? Głębokie, sekretne modlitwy, błąkające się w splotach uczuć – tajne układy, porachunki, wypomnienia, obietnice, upadłe i na śmierć zaprzysięgłe śluby przelewały się samochcąc w podmuchy ślepego buntu, w bezgłośnie krzyki zdziczałej i wściekłej rozpaczy.

Gdy się dowlokła na jedno ze wzgórz, ujrzała w znacznym oddaleniu okolice znajomą, a w nikłej mgłę widnokregu zarysy miasteczka, do którego dążyła.

Nareszcie!

Była już do ostatka wyczerpana.

Wymijając w pędzie szeregi wozów, przemknął z hukiem i porykiwaniem samochod, pełen oficerów w okularach podróźnych. Śwąd benzyny i widok schylonych głów w urzędowych czapkach rzucił w duszę wędrującej kobiety zgoła inny gatunek wzruszeń.

Wspomnienie ohydne, lecz przesiąknięte zarazem zmysłową chucią, jak płomień zdradzieckiego pożaru wionęło wszystkimi jej żyłami. Łoskot kroków w głowie, echo sprężystych stapań, pogłos piosenki:

A wiedz o tym, mój kochanku,
Że ja czekam na ciebie...

Śledziła oczyma spod spuszczonej powiek pojazd szybko niknący, mrużąc do siebie z myślą o mężu:

– Będziesz się miał czym pocieszyć – czekaj! – jak wrócisz... Powiem ci, żebyś wiedział...

Daleko, sunąc z dołu w górę huczał drugi automobil. Za nim trzeci i czwarty. Widok ten napelnił dreszczem ciało pątnicy. Nie miała siły stać ani iść dalej. Bezwładne, upadłe spojrzenie szukało jakiegokolwiek miejsca, gdzieby można spocząć, choć przez chwilę. Lecz wszędzie były ciekawie spoglądające chłopcy. Śmiertelna do ich spojrzeń odraza wytrąciła ją z obranego kierunku.

Myśli głupie, ni to pierzchliwe nietoperze śmigały tam – nazad w ciemnym sklepieniu czaszki, tłukąc się i łopocąc o jej ściany pękające od cierpień.

Żyła przecie tylko z mężem, broniła się wszelkiej najprzyjemniejszej pokusie, a w nagrodę za tę psią wierność, za dobrowolne przystanie na przygasłą już spowszedniała z nim radość – sześciu, siedmiu czy ośmiu ruskich żołdatów – bo już liczby dokładnie wiedzieć nie mogła – zabawiało się nią, jeden po drugim, w tamte noc...

– Jakże to może być – szeptała. – Cóż jest dobre, co jest sprawiedliwe? To czy tamto? Czemu na mnie padł taki los? Któż za to będzie odpowiadał?

Z tych pytań wysuwało się jeszcze jedno najnatrętniejsze, które ją w ostatnich czasach wciąż znieca podchwytywało, wszystkiemu, co się tylko przydarzyło, stojąc na poprzek:

– Co też ja tu robię? Czemu ja jestem na świecie? Po co ja jestem naprawdę potrzebna?

Zsunęła się w rów, pełen grubego pyłu, i brnęła jego głębią, chustkę naciągnawszy na oczy. W jakimś miejscu rów stał się płytszy i wywiódł ją niejako w suche pastwiska porośnięte gęstym jałowcem.

Błąkała się wśród krzaków nie wiedząc, dokąd idzie. Pewnej doświadczyła ulgi, gdy już nie czuła na sobie wzroku mężczyzn, ukryta między zagajami.

Szła długo, mijając kolczaste kępy, aż do miedzy, zarzuconej głazami i obrośniętej tarniną. Dalej stał szeroki, łagodnie rozkołysany łąn żyta. Przystanęła przed nim, zaskoczona miękkością ruchu zboża i nie wiedząc, dokąd dalej wlec nogi. W pobliżu zobaczyła na wygonie rozwidloną gruszę polną. Samotne drzewo pozwalało ją ku sobie głębookością zieleni i cieniem korony, nisko zasłanym. Gdy się w jego przyjaznym kręgu znalazła, siadła na stosie kamieni, wsparła plecyma o pień i wytchnęła z głębi po wielkim trudzie.

Cicho, ledwie dosłyszalnym głosem szeleściły liście. Przywodziły na pamięć dawną, prawną śpiewankę dzieciństwa, niemądrą i niewiadomą, jak niewiadome było szczęście życia za młodu. Sennie szumiące listki nie mogły przecie wydać słów ani melodii, a jednak tę to znajomą ludzką piosenkę tały w swej mowie.

Płasek w ciepłym powietrzu, drżeniem od zetknięć jednych z drugimi odślaniały pachnący ranek – widok kwiatów na zboczach pagórka – brzozy w lasie wśród pól. Jękiem zerwanym zaszczołały piersi do tego obrazu.

Brzozy moje, brzozy!...

Ptaszek mały, sikorka boża, przyleciał z lasu odległego i spoczął między rosochatymi gałęziami. Wtulił głowę w lśniące swoje pióra i podejrzliwym wejrzeniem przypatrywał się światu. Ale oto i on przeciągłym poświstem zaczął wspominać ten sam, w niepamięci zagubiony widok. Samotnica usiłowała objąć ów świat przepadły myślami stałymi, przygarnąć do swego serca odbiegłego – ale się wymknął, jak po ocknieniu pierzchający sen... Nie chciało już przystać do serca szczęście, które ongi miało w nim swoje siedlisko. Wodziła tylko wewnętrznym wzrokiem po jego szlakach niedostrzegalnych – drogach motyla w powietrzu, który już na zawsze odleciał. Niejasno wspominała, błąkając się jakoby gość przygodny w znikomym kole oczarowania, zgasłe swoje tęsknoty za pięknymi chłopcami – martwe już, a tak niegdyś płomienne żądze dziewczynskiego serca, żądze spojrzeń rozkochanych, uśmiechów radosnych i nie dającą się najsroźszymi groźbami wyniszczyć rozkosz czekania. Przewinęły się i same słowa śpiewki z tamtych lat. Westchnęły wszystkimi zapachy owocnych łąk, tamtejszych kwiatów, zalśniły rosą poranków – przejęły piersi niewysłowionym żalem, drżeniem miłosnym tamtych – ciemnych – głuchych nocy – i przepadły jako ten wiatr w polu.

Podniosła oczy w górę ku ptaszкови leśnemu. Pytanie z dna duszy podźwignęło się przed jego cichą piosenką, która tak wszystko wiedziała.

– Czy jest na tej ziemi gdzie jaka sprawiedliwość? Czy jest gdzie miara na łzy i waga na krzywdy? Czy się gdzie wszystkie spisuje i czy są oczy, co to przeczytają?

Milczał w głębokiej pograżony zadumie ptaszeczek boży. Aliści podniósł głowinę i z cicha, a przecie z donośną nad miarę żarliwością wyświstał po swojemu dźwięk odmowny, zaprzeczny.

Strzał, który by na wylot piersi przebódl, nie wymierzyłby takiego ciosu, jak to przeciągłe, zimne odtrącenie.

Podniosła oczy w górę i śledziła wzrokiem białe, letnie obłoki, unoszące się popławem niepostrzeżonym w upalnym błękitcie. Łzy żalości gorzkiej wysączyły się z błękitów oczu i zasłoniły obłoki. Spalone usta szeptały wyrazami bez związku i sensu do tych niebiańskich

aniołów te same zaklęcia i pytania, prosząc się o sąd i odpowiedź. Białe obłoki, jak gdyby wstrzymane w swojej wysokiej podróży nad głębokością niedoli, zdawały się czujnie słuchać szlochów tulących się w dźwięki poszarpane, w biedne ludzkie wyrazy, tak bezładne jak czynny rodu człowieczego na ziemi. Na zbożu i na dalekich łąkach stały głębokie cienie.

Wstrzymane na wysokościach obłoki i podobizny ich na ziemi upiększały się nawzajem z zielenią przestworu, strojąc się i ozdabiając w coraz to inne kolory. Sposobem tajnym, a skutecznym doskonale, uzupełniały swe kształty i rozmiary. Te ciemne pawłoki, subtelne tkani-ny, przepływające w jasnej zieleni, przedziwnie były dla oczu przychylnie. Jak gdyby chusty dobrotliwe przytykały się do źrenic i do tych miejsc z powiekami, skąd płyną łzy na wyczerpaniu i gdzie są same gołe rany. Przelotna ulga, tym głębsza, im krótsza, zstąpiła w serce strudzone.

Lecz wtedy wiatr z nizinnych powiatów lecący rozkołysał żyto za miedzą. Poszum, szelest, rozgwar przeszedł po zbożu. Przewinęło się między kłosami ciężkie westchnienie. Nozdrza wciągnęły powiew i uczuły oddech wiadomy. Smród trupów tysięcy zastrzelonych żołnierzy, ledwie po bitwie przytrzaśniętych ziemią i śniegiem, obmierźle uderzył jestestwo. Tam w dole – teraz sobie przypominała – leżały ich całe szeregi w pospólnym rowie. Szczyty ich hełmów, znaki ich rodu, połyskiwały jaskrawo w słońcu, które wszystko dostrzega, o wszystkim pamięta, wszystko na części rozdziela i co się komu należy – oddaje.

Odór, płynący z odległych gmin, zniszczył krótką pociechę. Serce wróciło do jaskini uci-sku i na drogi swego szaleństwa.

Zapach śmierci...

Pod spuszczonej powiekami odłoniła się znowu biedna izba – ukazał tapczan okryty przepoconą kołdrą i zajaśniała głowa najmilszego dziecka, taczająca się po wezgielciu w prawo i w lewo. Zajrzało w źrenice spojrzenie konającego gołębia – i ta mgła, ta mgła prze-rażliwa, co je w sobie z wolna pochłania.

Mściwy wróg duszy zawrócił znowu i postawił przed oczy tę chwilę, gdy głowa osnuta prześlicznymi włosami schyla się ciężko, jakby z wychudłej szyi odpadła, a mały nosek na oślep utknął w poduszkę.

Oszalałe ręce matki zapuściły się teraz w skudłane włosy i zaczęły z boku na bok przewa-lać zgłupiałą i jak kamień bezwładną czaszkę, żeby z niej oczywistość wspomnienia wygonić.

Lecz niemożona i nienasycona zemsta miłości trzymała pamięć zdarzenia, jak rozdarcie rany trzyma w sobie głęboko wbity nóż zbója. Oszalałe ręce objęły odziomek drzewa, a upa-dająca w niemocy swej nędza cielesna szukała poratunku i pociechy u niemego pnia.

Oczy podniosły się na gałęzie i liście, zebrząc o odpoczynek. Ale wtedy przypomniawszy się sekretne, szeptane ludzkie podanie o zhańbionym drzewie.

– Może to jest to samo przeklęte drzewo? – z niedobrym uśmiechem spytała samej siebie.

Ogarnęła spojrzeniem grube konary i szelestne liście. Pytała ich się o prawdę, czy to nie tutaj zwisały owoce, na których wspomnienie ludzie truchleli? Czy to nie tu właśnie kołysały się za wolą wiatru te jakieś ta szpieg! ?

W dalekich, niejasnych kształtach zarysowały się zdarzenia związane z tym przewiskiem. Trwoga nowa, obca, cudza zionęła z wystających gałęzi. Ręce odpadły od pnia i załamały się na piersiach, w których głośny, nieludzki śmiech zaszczekał.

Sfrunął mądry, przyjacielski ptaszek i uciekł w przestwór swój, w wolne niebiosy. Podmu-chy swobodnych wiatrów niosły falami trupi fetor.

Szumiało niemiłosiernym rozkołysaniem żytnie pole. Myśli mściwe i niszczycielskie wy-suwać się poczęły z mroków jaskini katuszy – myśli niezłomne i zimne, dokładne i proste, niby nieprzemierzone i nieubłagane pochody wojsk. Ponad nimi także rozciągać się poczęła śmiertelna odraza i najgłębsze znużenie.

Po tyłu nocach bez przymknięcia powieki, po męce i zdrożeniu – zwinęła się teraz w kłę-bek na ziemi i z głową wspartą o kamień – jak ów kamień zasnęła.

Długo trwało szczęście niebytu, łaska zapomnienia o ziemi i życiu. Lecz z mroku poczęło wysuwać się widowisko, znowu ukazali się ludzie i dalszy ciąg szkarady dziejów duszy. Nie był wiadomy początek tych wydarzeń, w których przebiegu śpiąca była główną osobą. Stała pośrodku natłoku mężczyzn i kobiet w głębi nawy, a raczej w ostatnim skrzyżowaniu wielu naw niezmiernego podziemia.

Była to jaskinia wysoka i przestronna, która się licznymi wnękami, siecią krucht i chodników w rozmaite rozciągała strony. Zwisające stropy, czarne lub ciemnozielone, jakby z rudy lub z nie wytopionego surowca, były nad głowami tłumu. Światło, nie wiedzieć skąd padające, uwydatniało tu i tam ciężkie bryły i sople skał. Od środkowego sklepienia dzielił kaplicę uboczną szereg filarów niezdatnych, ledwie wyrąbanych z litej skaliny, jak bywa w kopalniach. Lecz nie było tam ciasno, jak bywa w kopalniach, nie było duszno ani cicho.

Z kogo składał się natłok człowieczy, zbity w masę, w pospólstwo ośleple i zdziczałe od paniki u wejścia do najmroczniejszej z jaskiń? Ani jednej twarzy nie mogła rozeznaczyć, choć patrzyła przecie na tych ludzi – i ani jednej z twarzy nowo spostrzeżonych nie była w stanie zapamiętać. Czuła przecież, że w tym zespole byli życzliwi ze świata, dusze waleczne i pełne dobra na nic nikomu nieprzydatnego. Gdzie światło ich działania miała dokoła siebie? W uśmiechach, które za dni dzieciństwa widziała była – we łzach, które płynęły czasu bitwy, ucieczek, wędrówek przy odgłosie huku armat za dni głodu i dzielenia się najostatniejszym zuchelkiem chleba?

Wizerunek jednej postaci, jakby śniady cień obłoku, co niedawno płynął nad głową – jakby przez gęstą mgłę zasłonę, uprzytomniła sobie. Ale gdy i tej imię mogło być omyłką i złudzeniem, jak wszystko wśród tylu zawodów – pozostało ledwie powzięte z niebytu, a twarz i kształt zginęły w bezimiennej czerni. Uciekali wszyscy, kurcząc się, tuląc, zginając, płaszcząc jak zbiegowisko w ulicach miasta na widok powietrznego latawca, który rzuca na bruk śmiertelne wybuchy. Zdawało się, że w skałę wielowiorstowej grubości wwiercą się, wdrapią pazurami i zapadną – spostrzegając figurę tego, co u wejścia do swej własnej poprzecznej komory straszliwie – nad wszelkie słowo straszliwiej – niestrudzony pracował. Schylał się raz w raz i wtedy jego długie, czarne włosy spadały, jak obłuzowana przyłbica, na twarz pooraną, pełną szram i blizn, chropawą, jakby była utworzona z tej samej rudy, co skały jego podziemia. Z lochu, który miał za plecyma, wynosił wciąż, z pośpiechem nie słabnącym ani na chwilę, bochenki chleba płaskie a tak ogromne, że się od własnego ciężaru wpół przełamywały. Rozdzierał te chleby rękami, które drżały od trudu – rozrywał połowice na złomy większe lub mniejsze i ledwie mając przelotną chwilę na zmierzenie okiem miejsca i liczby zgłodniałych – ciskał tej lub owej wylekłej gromadzie.

W nieruchomym osłupieniu swoim widziała wciąż chleb latający skroś powietrza, ponad głowami, chleb potargany, pełen wewnętrznych rozdarć, zagłębień, obrywków, w których to gzygzakach – zapewne tylko dla oczu patrzącej – malowała się niewysłowiona bolesć zjawiska. Wyciągnięte ręce cieniów chwyciły w locie półbochny i ćwierćbochenki, skiby i ułomki. Czarne ciasto, ciężko padające w dłonie to tu, to tam, wydawało dźwięk lepki i mlaskający, jakby głos żarcia czy ćpania.

Wędownica sama stała na uboczu.

Samotność duchowa, samotność istotna i zupełna, która jej dolą była zawsze – w tej godzinie stała się wypędzeniem i wyświeceniem odszczepieńczyym.

Wyrwało się z piersi żalodne pytanie, czemu i ona nie jest jako ci wszyscy? Czemu jej losem było i jest czuć za wszystkich, czuć to samo, co tamci, co ogromny tłum a zarazem czuć odrażającą, bezdenną swoją i ich wszystkich – nicość? Czemu oni wszyscy nie widzą w sobie tej samej nicości, która by się stać mogła mocą niezłamaną? Czymże są ci ludzie? I ostatnie, ze wszystkich innych wypływające, zawsze to samo pytanie:

– Co też ja tu robię? Czemu ja jestem na świecie? Po co ja tu jestem potrzebna?

W jakiejś minucie zmagają się wewnętrznych i jej wyciągnięte ręce pochwyciły ciężką bryłę półbochna, którą szatan strudzony w tę stronę cisnął z daleka. Trzymając go oburącz patrzyła na ten chleb płaski, wewnątrz jak gruba masa podarty.

Czuła głód i z utęsknieniem łaknęła chleba – smaku już niemal zapomnianego, który zna tylko młodość zdrowa i żarłoczna.

Poprzez tyle lat przypomniał się bardziej niż żywo – jak bywa tylko we śnie – zapach chleba z dziecińczych lat, chleba w rodzinnym domu.

Któż to więc uczynił?

Czy serce nie znające prawa innego okrom własnych uniesień, czy niewiedzący umysł, który tylko to zatwierdza, co mu tajemniczy instynkt podpowie?

Gwałtownym zamachem, rzutem, który może pycha, rozrośnięta na dziedzicznym ongi po ojcach dostatku, rozpętała w ramieniu, cisnęła ów złom chleba prosto w ślepie pracownikowi ciemności. Nie patrząc chwycił go dłonią w powietrzu, w locie.

Nim upłynęło mgnienie żrenicy, odfrygnał w inne z olbrzymiej ludzkiej gromady wyciągnięte ręce. W przerwie jednomomentowej, krótszej niż myśl jakakolwiek, niż spojrzenie, którym pochod cieniów liczył i przemierzał – od niechcienia i mimochodem ni to odsapnięcie w pracy, tonem, który był wolny nawet od pozoru wzgardy i akcentu mściwości, rzucił jej z oddali słowo potępienia:

– Nigdy już więcej chleba nie dostaniesz.

Usłyszawszy ten wyrok stwierdziła dla siebie samej jego nieodwołalność rozważaniem i dokładnym wnioskiem rozumu. Była nim na wskroś do dna duszy porażona. Wodziła oczyma po masie zbitej w kupy i bandy, która uchodziła jednym wylotem jaskini, gdy ze strony przeciwnej nadciągała inna, ze swym pośpiechem, jękiem, szlochem i chargotem. Tu i tam przelotne, ciekawe spojrzenia, skierowane na buntownicę, wyrażały to samo: kamienną obojętność lub bezpłodny żal. Wiedziała, jak tylekroć już w życiu, że te badawcze, szpiegujące spojrzenia oznaczają – potępienie.

Mściwa zmowa lub lękliwy lament ich zbiorowej nędzy, ich hańby pospólnej skazywały na to samo, co tamten: zatwierdzały wyrok. Gdzie były przyjacielskie dusze, których uczucie bliskości miała w sobie tak niedawno? Samotne krople zginęły w odmęcie trwogi. Zapytała tedy samej siebie w tchórzostwie, które wiało z motłochu jak wiatr zgniły, a jej ramiona zimnym potem okryło :

– Cóżem ja zrobiła, nieszczęśliwa?

Przed oczyma wkopanymi w ziemię stanął ten, który jeszcze chłopcem nie był, z dzieciństwa dopiero przedzierając się do wieku wyrostków, i nie mógł jeszcze swojej własnej rozpocząć walki o chleb i honor.

Zatrzęsło się serce niewieście od myśli, że to jemu przecie wydarła chleb na zawsze; „Już go nigdy nie dostanie” – za winę matki. Patrzyła na winę swoją i na las wyciągniętych rąk tłumu.

Mierzyła grzech swój ogromem żądy ludzkiej i żądy swojej – bezdennego strachu ludzi wpatrzonych w księcia ciemności – i miarą trwogi swojego serca. Stała przed oczyma ta, której usteczka szeptały tak niedawno: „Już mnie zapomnij...” W błędniku myśli przewinęło się pocieszne wyrachowanie, że już dla tych ust chleb jest niepotrzebny. O tyle kromek mniej go potrzeba, ile razy by o nim natrętnie szczebiotały.

Cicha trucizna-ulga jako uśmiech siadła w kątach warg. Mgła cierpień zakryła wyciągnięte ręce zbiorowiska i obraz zbydlęcenia, spadkobiercy głodu. Dała się uczuć pod sercem próżnia przedziwna, próżnia po córeczce, którą była na świat wydała, po córeczce, która z kolei w próżnię się znowu zamieniła.

W tej wewnętrznej komorze boleści przemknął się uśmiech, który był gościł na wargach. I on to w sposób niedościgły dla myśli stał się płodem tajemnym. Poruszyło się w piersiach coś

nieznane i wielkie jak tamta jaskinia, potężniejsze niż straszliwa władza szatana: samotne męstwo macierzyńskie.

Głębokie to natchnienie zrodziło jedną myśl, która sama w sobie była już dokonany czynem.

– Zabiję!

Senne natchnienie wetknęło w rękę ostry nóż – i ukryło go w zanadrzu. Zimnymi oczyma czyhającej hieny śledziła poruszenia szatana i, jak ten ostrożny zwierz, przyczajęła się w załamaniach pieczary, pełzała po ziemi, ażeby mu śmiertelne pchnięcie zadać zdradziecko.

Ale wtedy sen spłynął z jej oczu. Uchyliły się ciężkie powieki. Zobaczyła znowu żytnią niwę. Płowe, jeszcze niedojrzałe kłosa, łagodnie szumiące, naginały się za wiatrem, a wysmukłe szypułki tam i na powrót chyliły rytmami zgodnymi. W ich melodyjnym rozkołysaniu pokazało się oczom szczęście życia. Wstała ze swego legowiska i ociężałym krokiem bliżej podeszła. Nie wiedząc, co czyni, wyciągnęła ręce i osaczyła dłońmi młodociane kłosa. Głaszała je miłościwą pieczęcią – nabożnym błogosławieniem nieszczęśliwego człowieka.

W sercu jej od zetknięcia rąk z cichym zbożem rozległa się archanielska pieśń, niepojętym powinowactwem uczuć wyrastająca z szumu badyłów i z nim jednaka. Samotne oczy poniosły się znowu ku dalekim obłokom i wielbiły ich pracę, których człowiek, uczeń szatana, nie zdołał zniweczyć ani splugawić. Czciły głębokim zachwyceniem tajemnicę bytu zboża, moc niezbadaną jego poczęcia i rozrostu, jego spółki ze słońcem, ziemią i deszczem obłoków – której człowiek nie umie dotąd przekazać i narzucić natury swojej, wzorującej się na żądzach pantery i świni. W tej minucie głębokiego zachwyty ujrzała nagle pod spuszczone powiekami obraz tak bliski, jakby się stawał o parę od niej kroków, tak wyraźny, jakby to było na jawie. Miała oto w oczach zaułek między na poły zburzonymi domami miściny swojej. Na ścianie, która zamyka wylot błotnistej ulicy, wisi uboga, prostacka kapliczka drewniana, z wierzchu rudą, w głębi niebieskawą pomalowana farbą. Wewnątrz tej szafki, nakrytej małym dachem, widnieje Chrystus ukrzyżowany między dwoma niewiściami kształtami. Znała tę kapliczkę od wielu lat, wiszącą nade drogą, lecz nigdy na nią szczególniejszej nie zwracała uwagi.

Skądże teraz?...

Patrzała na drewnianą ławę przystawioną do sąsiedniej ściany, na obmokły mur, z którego placami poodpadało wapno.

Wtem zadrżała wszystka, od stóp do głów.

Syn jej wyszedł z przyległego dziedzińca i ze zwieszoną głową włókł się przed obraz. Stał przed nim zgarbiony, blady jak stary człowiek, którego poraziło nieszczęście. Kolana jego bezwładnie przyklekły na ławie. Ręce splotły się i zacisnęły kurczem gwałtownym. Przyciskał te małe złożone pięści do piersi – i tak mały człowieczek sam ze siebie modlił się w samotności za nią, za matkę. Powzięła wszystkę wiadomość o treści jego modlitwy, usłyszała wewnątrz siebie zajakliwe słowa, które wymawiał nie umiejąc złożyć ich w całość. Dostrzegła jego zgagę, nieobecne, niewidzące z rozpaczy, puste oczy, wzniesione ku drewnianemu ołtarzykowi, i skurcz żaloszny zsiniałych warg...

Miłość jak błyskawica zamigotała w niej i wzniosła się aż do granicy radosnego zachwyty. Matka uderzyła w dłonie i wydała z piersi krzyk ku niemu, patrząc się na tę tajemną modlitwę.

Strudzone jej ciało nie było już sobą – nędzą – nicością – lecz przeistoczyło się w substancję inną, która była samym duchem.

Nie czuła ani znoju, ani bólu, ani wspomnień. Stała się zdrowa i zdolna do biegu jak sarna młoda. Stała się lekka, jakby ją wielkie skrzydła anioła niosły nad ziemią.

Skoczyła wprost przed siebie, z oczyma utkwionymi w daleki widok miściny. Nie było na ziemi siły, która by ją teraz powstrzymać mogła.

R. 1915

ECHA LEŚNE

Pan generał Rozłucki siedział uroczyście na stołku składanym. Stołek ów (własność przenośna geometry Knopfa) mieścił się w samym środku dywanu zdjętego znad łóżka mojej matki. Po drugiej stronie ogniska, na pniaku z wzorową starannością zasłanym pledem, w gumowym płaszczu do samej ziemi, niby w ruchomym namiocie, kurczył się i wykrzywił wzmiankowany wyżej geometra Knopf. Obok niego w rosochatych gałęziach wykrota przyniesionego przez strzelca niewygodnie tkwił podleśny Guńkiewicz piastując z pieczołowitością szklaneczkę araku z dodanymi dla pozoru dwiema łyżeczkami herbaty. Pisarz gminny Olszakowski i stary wójt Gała z miedziakiem za „u ś m i e r i e n i e p o l s k i e g o m i a t i e ż a” na rudej sukmanie – siedzieli obok siebie. Ojciec mój, przywykły na polowaniach do lasu, w pół leżał na ziemi, a niżej podpisany, zaszczycony właśnie p r o m o r ą z klasy drugiej do trzeciej, był wszędzie, gdzie go nie posieli.

Dymisjonowany generał Rozłucki, plenipotent jednego z najbardziej sownie obdarowanych donatariuszów, zjechał był właśnie do folwarku od dawien dawna dzierżawionego przez mego ojca, ażeby wskutek wynikłych z u k a z u zamian gruntów, przyłączyć z lasów rządowych do obszaru dworskiego znaczny płat boru.

Odcięcie trójkąta leśnego już się prawie dokonało. Geometra Knopf, który od tygodnia „bawił” w domu naszym ku śmiertelnemu wszystkim udręczeniu, wyciął nareszcie „linię”, a wynajęci drwale już ją od dawna rąbali w starym, ciemnym lesie. Plenipotent, który również gościł już od trzech dni na folwarku, miał zamiar co prędzej oddać ojcu mojemu w obecności władz miejscowych las przyłączony. Dwie partie chłopów rąbały linię, zbliżając się ku sobie ze stron przeciwległych. Sądono, że uda się sprawę załatwić przed zachodem słońca. Tymczasem noc głucha zapadła, a linia nie była jeszcze doszczętnie wycięta. Generał postanowił bądź co bądź nazajutrz wyjechać. Urzędnicy pragnęli również ukończyć czynność. Zgodzono się tedy, żeby prowadzić robotę nocą, choćby do rana.

Tuż pod lasem rozłożono ognisko. Ze dworu odległego o jakie dwie wiorsty przyniesiono kolację – i oto czekaliśmy na ścięcie kilkudziesięciu pozostałych jodeł, bawiąc się w miarę możliwości.

Wszyscy byli w nienajgorszych humorach. Pocziwy Guńkiewicz z resztką „pożyczki” na skroniach i brodziną uczernioną tanim czernidłem wychlipał już był co najmniej dziewięć szklanek herbaty z arakiem, obawiając się tkliwie, gdym mu nową podawał, czy też aby nie będzie za wiele, „boć to, zdaje się, już trzecia”... Zapewniałem go ze stanowczością osoby,

która nabyła właśnie wielkiej biegłości w arytmetyce aż do ułamków dziesiętnych, że „bynajmniej” – więc poddawał się oczywiście, ulegał z pokorą światłu wiedzy i przyjmował nową porcyjkę araku.

Pisarz gminny Olszakowski, znawca wszelkiego rodzaju spraw człowieczych, osobiwie zaś powiatowo-gminnych sposobów piorunującego robienia majątku (za co nawet „cierpiał” już był przez czas pewien w kieleckim kryminale), geniusz niewątpliwy, który mógłby z powodzeniem piastować urząd ministra spraw wewnętrznych czy zewnętrznych, a nawet bez żadnego wysiłku te obiedwie godności, notoryczny łapownik, zdzierca chłopów, wyzyskiwacz Żydów, najznakomitszy wymijacz prawa i grassant parafialny, pił mało ze względu na obecność generała i awansował się bardziej w kierunku jadła. Ponieważ jednak w swej wszechwiedzy nic sobie z tego generała nie robił, nie skąpił tedy zebrany pogodnego wesela ducha.

Wójt Gała chrupał zuchwami i łykał chyłkiem, co mu się podsunęło, pił zaś bez wstrętu, a pomrukiwał wesoło. Widać było, że chętnym i ochotnym sercem spełnia tę służbę państwową na pobrzeżu leśnym oraz że chwali sobie na ogół dzisiejszą czynność.

Nawet Knopf, chodzący katar żołądka (tudzież kiszek), zeschły neurastenik, istota jadająca tylko rzeczy niektóre, lekkostrawne, niekwaśne, suche, i to takie właśnie, jakich na wsi zapadłej, a osobiwie w Górach Świętokrzyskich, nikt nigdy, jak świat światem, nie tylko nie jadł, nie widział, ale nawet nie znał z nazwiska – nudziarz nie sypiający po nocach, nie znośzący piania kogutów, szczekania psów, bełkotu indorów, gęgania gąsiorów, a nawet gdakania kur – istna plaga egipska dla ludzi zdrowych, silnych, gospodarujących w miejscu, gdzie się kochano w psiarni, gdzie kundle, ogary, wyżły, jamniki i w ogóle „pieski” najrozmaitszego wieku i gatunku nie tylko szczekały i wyły po całych nocach, ale nadto wylegiwały się po kanapach i sofach – gdzie koguty piałły bez przerwy, a gdy nie piałły, to je za to natychmiast zarzynano – nawet, mówię, Knopf byt w niezłym tego dnia usposobieniu. Opowiedział zebrany jakąś anegdotkę kwaskowato-dowcipną o swej astrolabii, którą według opinii złośliwych ubierał we własne kalosze, spodnie, marynarkę i kapelusz dla ochrony przed deszczem... Puente anegdoty zepsuł co prawda podleśny Guńkiewicz przedwczesnym wybuchem śmiechu w miejscu akurat nie zawierającym nic dowcipnego – mimo to jednak Knopf się uśmiechał, co było istnym fenomenem na przestrzeni trzech guberni i w ciągu kilku lat.

Generał, r a m o l c i o nieźle zakonserwowany, trzymał się z właściwą powagą. Pisarza i wójta przy tej improwizowanej wieczerzy prawie nie dostrzegł, znosił jednak bez protestu ich obecność i nic nie miał przeciwko temu, żeby spożywali z apetytem kurczęta, płaty pieczenia na zimno takiej i owakiej, żeby przymknawszy oczy „spuszczali” kielichy „bretnalówki”, „zagryzali” rzeczony kielichy szklanicami piwa, a „rozgrzewali się” herbatą z arakiem. Guńkiewicza zaszczycił od czasu do czasu słowem generalskim, z Knopfem – rozmawiał. Sam jadł z wolna i popijał herbatę.

Generał był Polakiem i ostentacyjnie zawsze mówił po polsku, nawet w urzędach. Znać było w jego wymowie pewne zacięcie i akcent rosyjski, ale ów akcent pasował jakoś do jego wyniosłej figury, do grubej kurty szczególnego kroju, okrągłej czapki z czerwonym lampasem i niebywałej wielkości daszkiem, do sukiennych kamaszów i siwych podkręconych wąsów.

Ogień buchał podsycany przez strzelca. Suchy jałowiec palił się z wesołym trzaskiem. Z lasu leciał po rosie wieczornej łoskot siekier. Łoskot uderzał w lasy, w ogromne świętokrzyskie bory jodłowe, w puszcze wilgotną, senną, niemą, głuchą. Echa ciosów mknęły od góry do góry, od kniei do kniei, w dal czarną, w noc, we mgłę. Odbite, wypędzone, dalekie głosy drżały kędyś za światem i zza świata wołały. Przelekle, niewymowne wracały z dali, z moczarów, gdzie nikt nie chodził, gdzie „straszy”. Co pewien czas rozlegał się wśród stuku siekier jadowity trzask lecącego drzewa, szum i łomot obszaru jego gałęzi, potężny, głuchy grzmot upadku wielkiego pnia. Echo porywało ten głos i niosło w ciemnonocną dalekość wieść coraz

głuchszą, o tym ciosie przejmujące zwiastowanie... Wszystek las łamał się i rozpadał, huczał wszystkimi drzewami świadectwo niezapomniane i żywym głosem z ciemności wzywał...

Wypląnął z zasłon leśnych olbrzymi, czerwony księżyc i wolno szedł wśród ciemnych obłoków. Towarzystwo zebrane przy ognisku zamilkło. Chłód powiał. Mój wierzchowiec (siwa szkapa folwarczna, jasnokoścista pół-emerytka, której po przyjeździe na wakacje obcięciem był ogon i grzywę, którą torturowałem popręgami starej kułbaki i zmuszałem do zabójczych galopów) stał w pobliżu ogniska. Widać było pocziwy łeb i przednie łopatki, kopyta na emeryturze, a nade wszystko oczy, przedziwnie rozmyślające o płonącym ognisku i o nas, ludziach tam zebranych...

Generał od dawna postawił szklanę na tacy i siedział wyprostowany, z nogą zgrabnie odstawioną a piersią wysuniętą. Czasami oglądał się na las. Słuchał, jak echa grają, i znowu ustawiał głowę we właściwej formie.

Rzekł zwracając się do Guńkiewicza:

– Panie podleśny, a jak daleko z tego oto miejsca do Suchedniowa?

Guńkiewicz postawił szklanę i z należytych pochylem zamaskowanej łysiny oświadczył, że na prostaki nie będzie dziesięciu wiorst.

– A pan tu drogi wszystkie zna?

Guńkiewicz uśmiechnął się z dumą czy politowaniem. Nie znajdował słowa zbyt dosadnego na wyrażenie swych znajomości tamtejszych wertepów: od lat dwudziestu kilku był podleśnym.

– Tak... – bąknął generał w zamyśleniu. – A pan taką drogę zna: od Zagnańska ku Wzdółowi? Była tam przy tej drodze karczma w szczerym lesie...

– Zagoździe – jakże! Stoi.

– Jedna korzenista droga szła stamtąd w kierunku Suchedniowa, a druga, lepsza na Wzdół, na Bodzentyn.

– Tak jest, panie generale.

– Więc karczma, pan mówisz, stoi?

– Stoi. Najgłówniejsza złodziejska przystań i ucieczka. Z całej Korony Polskiej koniokrady tam się właśnie schodzą.

– Przed tą karczmą, za drogą, po drugiej stronie był wydmuch piasku. Duży, żółty... Na tym wydmuchu rosło kilka brzóz...

– A to generał pamięta doskonale! Z tych tam brzóz tylko jedna została. A były już brzozy – ba –ba! Karczmarz łajdak je wyciął. Jedna z tych brzóz została, i to dlatego, że o nią krzyż oparty. Już, szelma, tej tknąć nie śmiał.

– Co za krzyż? Skąd tam krzyż?? – żywo spytał Rozłucki.

– A tam krzyż stoi... w tym miejscu...

– Z jakiej racji krzyż w tym miejscu – a?

– Jak to krzyż, panie generale... Ludzie postawią, drudzy czapki uchylają – i tak s e t a stoi. Już też i spróchniał od dołu, podparło go się tam z boku dwoma „pasierbami”...

– Kto postawił? – nalegał generał.

– Prawdę powiedziawszy... – mruknął niewyraźnie Guńkiewicz, uśmiechając się nieśmiało – prawdę powiedziawszy, to ja ten krzyż postawiłem. Drzewa tu mamy w bród. Wzięło się jodłę zdrową, jędrną, wystąpiła. Obrobił ją do kantu a nawet tu obecny cieśla, a nasz teraz pan wójt...

– E, nie ma ta o czym, co ta... – opędzał się niechętnie wójt Gała.

– Wpuściło się drzewo w ten piach głęboko, głęboko...

– A dlaczegoż w tym właśnie miejscu?

– Dlatego, proszę łaski pana generała, że w tym miejscu leży człowiek pochowany, tam w tej wydmie.

– Człowiek pochowany... – powtórzył generał – A pan tego człowieka znałeś może, co?

– Ano... Juścić go znałem, bo na takim leśnictwie jak moje trudno było nie znać... Lasy wokolusieńko milami. Kto już w te lasy wlaźł, to mojego węgła, a nawet mojego łózka pewno nie ominał.

Generał zwiesił głowę i przez czas dość długi siedział w milczeniu. Wyjął wreszcie z bocznej kieszeni srebrną papierośnicę, otworzył ją niepewnymi palcami.

– A wiesz pan – mówił z zinnym uśmiechem – że ów człowiek, co tam pochowany leży, to mój rodzony bratanek...

Geometra Knopf, który dotąd siedział bez ruchu, zapatrzony w płomień ogniska z takim zacięciem ust, jakby miał przed sobą coś obmierzonego, rzucił na generała gwałtowne spojrzenie:

– Rymwid?! – zawołał.

Generał zwrócił się ku niemu:

– To właśnie, Rymwid... A i pan coś o nim wiesz... Knopf wykonał ustami szereg wykrzywień, jakby przed chwilą pił czysty sok cytrynowy, kiwał chudą ręką w rozmaitych kierunkach, mrugał białymi powiekami. Wreszcie wśród najnieznośniejszych dla oka a obłudnych uśmiechów mruknął:

– No tak... Rymwid... Rozumie się...

– Rymwid! – powtórzył generał z zaciekłością i szyderstwem. – On, porucznik mojego pułku – Rymwid! „Kapitan”! No i dograł się...

– Więc to rodzony bratanek... – z trwogą szeptał Guńkiewicz wybałuszając ogłupiałe oczy.

– Rodzonego brata drugi z rzędu syn, Jan – mówił generał w zadumie. – Brat mój w sewastopolskiej wojnie pod Małachowym Kurhanem sławnie zginął. Generał-major, mikołajewskich czasów człowiek. Za węgierską kampanię nagrodzony stopniem, orderami, majątkiem w penzeńskiej guberni. Na polu bitwy umierając mnie tych dwóch synów swoich polecił. Jam mu braterskie i żołnierskie słowo dał, że ich na ludzi wychowam, w świat wyprowadzę. No i dochowałem słowa. I dochowałem... Starszy na Kaukazie służył i tam z cholery umarł w randze sztabkapitana. Piotr, bezżenny. Młodszy, Jan, przy mnie w pułku służył po skończeniu korpusu. Ożenił się młodo z Polką, Płazianką, synka małego miał, kiedy to podłe powstanie przyszło. Przyszło to podłe powstanie, moi panowie; odkomenderowali... Ja wtedy byłem w randze podpułkownika. Poszliśmy w Opoczyńskie.

Generał zamyślił się głęboko. Knopf skręcił w palcach misternie równego papierosa, wsunął go ostrożnie do cygarniczki i szukał pracowicie węgielka, od którego mógłby zapalić. Generał czekał, zdawało się, na chwilę, kiedy nareszcie zapali, a gdy Knopf zaciągnął się dymem, rzekł:

– No tak. Ten mój bratanek – zdradził. Tylko co rozlokowaliśmy się na leżach, uszedł nocą do bandy. Rano jednego dnia raportuje mi kapitan Szczukin, że tak i tak: Jana nie ma. W kwaterze, gdzieśmy stali, w Sielpi, znaleziono kartę na stole z zawiadomieniem mnie, jako dowódcy naówczas trzech batalionów, „że wierny obowiązkowi dla swej ojczyzny” – i tym podobne brednie. Mnie, swego przełożonego i stryja, wzywa, żebym także splamił swój oficerski honor, złamał przysięgę i uciekał za nim do bandy, do lasu. Tak to, moi panowie.

Knopf ćmił swego papierosa uważnie, powoli. Puszczzał matematycznie dokładne kółka dymu i śledził je oczyma. Guńkiewicz nie chciał już pić herbaty. Siedział oszołomiony, patrząc w mowę jak w tęczę...

– Doszły mi wieści – ciągnął generał – że nasz uciekinier jest szefem sztabu w jednej z band. No, dobrze... Po to – mówi do mnie kapitan Szczukin, dowódca rot, pod którym mój bratanek służył – po to poszedł. W wojsku służba twarda, ciężka, niewdzięczna, a w bandach służba lżejsza. Tam nasz praporszczyk byłby bez trudu i zachodu kapitanem... O co jak o co, mówi, ale o awans w tych wojskach polskich nie trudno.

Knopf skończył swego papierosa i śmiał się z dowcipu kapitana Szczukina. Generał mówił:

– Szliśmy wciąż obławami to za taką partią, to za inną. Co wyjdziem od Końskich w suchedniowskie lasy, to oni ujdą w głąb ku Bodzentynowi. My się wrócimy, to ci za nami. Jeden szczególnie wódz, pułkownik czy kapitan, nazwiskiem „Walter”, najbardziej nas zwodził. Palił nocą szerokie ogniska, niby to obóz, a sam usuwał się od takiego miejsca dosyć daleko i nocował bez ognia. My ciągniemy obławą, otaczamy cichaczem owe ognie dalekie, napadamy wreszcie nocą – pustka. A on tymczasem na uczyniony hałas podchodzi jak rabuś, strzela w naszych żołnierzy pod blask ognisk i umyka w knieje. Miał i chłopów zbałamuconych, którzy nas nocą prowadzili na te fałszywe obozy.

Pisarz spojrział na wójta Gałę spode łba i uśmiechnął się niezdrowym śmiechem. Wójt siedział wyprostowany, z oczami wlepionymi w generała.

– Tak było wielokroć w Samsonowskiem...

– Pod Gozdem... – dorzucił Guńkiewicz.

– A i pod Gozdem...

– Pod Klonowem... – mruknął Knopf.

– Ale przerwała się zabawa – wtrącił generał. – Na raz, na dwa, na trzy wreszcie się sztuka uda, ale nie na zawsze. Zdarzyło się, że szedłem ja na czele kilku rot od Zagnańska ku Wzdolowi – ot, tą drogą na karczmę. Zanocowałem w karczmie, a Szczukina posłałem z rotą na *poiski* tego Waltera. Do bitwy „gałgan” nie idzie, leży tygodniami w bagnie koło Klonowa, w Bukowej Górze – musimy go szukać.

Ledwiej tej nocy zasnął, budzi mnie adiutant, młody człowiek: strzały gęste w lasach. Ocknąłem się. Las rzeczywiście huczy... Ot, jak teraz. Żal... Serce boli. Posłałem ja drugą rotę na wsparcie Szczukinowi. Nie upłynęło więcej nad dwie godziny, nadciągnęli. Wprowadził ich chłop na obozowisko, ale już teraz prawdziwe. Kiedy ich ogarnięto i uderzono bagnetem, większość wybiła się i pierzchła w las, sporo zginęło na miejscu. Szczukin przyprowadził wziętego w *rukopasznom boju*, krótko mówiąc, nie kogo innego tylko mego bratanka, „Rymwida”. Miałem ja rozkaz nieodwołalny od mego generała brygady – lasy aż po Bodzentyn oczyścić za wszelką cenę – z prawem życia i śmierci. Nie było czasu na wysłanie jeńców do więzienia w Kielcach, a i siły miałem szczupłe. Oficerowie wzburzeni. We mnie, jako w krewnego surowym, pytającym wzrokiem patrzą.

Kazałem złożyć sąd polowy, i to natychmiast, bo trzeba było bandę ścigać bez zwłoki. Ja prezydujący, kapitan Szczukin i kapitan Fiedotow z prawej strony, porucznik von Tauwetter i feldfebel Jewsiejenko – z lewej strony. Zasiadliśmy natychmiast w wielkiej izbie tej karczmy. Łojowa świeca paliła się w lichtarzu...

Generał mówił coraz szybciej, niezrozumiałej, coraz częściej wtrącał rosyjskie wyrazy, zwroty, zdania. Poprawił się na krześle i ciągnął:

– Przyprowadzili. Sześciu żołnierzy, on w środku. Mały, wychudły, czarny, *oborwaniec*. Włosy *wzjeroszeny*. Ledwie poznać... Spojrzę ja na niego: Jaś, rodzonego brata ulubiony syn... Na kolanach wyhodowałem... Jakieś na nim gałgany... Twarz przez całą szerokość rozetrwana bagnetem, sina, zapuchnięta. Jak wprowadzili, tak i stanął przy drzwiach. Czeka. A ty, sędzio, sądzi!

No – tam pytanie urzędowe, formalne: – kto jest?

Milczy. Patrzymy w niego wszyscy. Towarzysz dobry, kolega kochany, dusza-człowiek, oficer pierwszorzędny. Twarz jego zrobiła się harda, zastygła, skrzywiona od jakiegoś uśmiechu, co tę twarz miłą, dobrą i miękką wykrzywił, podobnie – ot, jak kowal weźmie i wykrzywi w ogniu raz na zawsze miękkie żelazo w krzywy hak.

Ci żołnierze, co go strzegli, to byli zarazem świadkowie. Zeznają, że go pojмали w lesie, nocą, bijącego się z nimi pierś w pierś, zeznają, że on i jest ten sam, ich własny porucznik, Rozłucki. Sprawa jasna, cóż tu więcej? Głosować...

Wtedy zwraca się do mnie sędzia z prawej strony, kapitan Szczukin, i powiada, że chce jeszcze podsądnemu pytania zadawać. Cóż – zadawaj. Wstał Szczukin ze swego miejsca, ku-

łakami oparł się z całej mocy, na ostatek przechylił się przez ten stół ku niemu. Żył mu na czoło wylazły, twarz szerniała jak ziemia. Oczy wlepił w winowajcę. Czekamy wszyscy, o co go jeszcze będzie badał. Tymczasem ten słowa wypowiedzieć nie może, bo człowiek był twardy, nieuczony. Nozdrza mu drgają, brwi się zeszyły. Zaczął wreszcie walić kulakiem w stół i wołać ku podsądnemu:

– Rozłucki! ty nie śmiejesz tu przed nami hardo stać! Nie śmiejesz w nas patrzeć takimi oczami! Tyś zaprzysięgał czy nie? Coś robił z twoją przysięgą? Odpowiadaj! Przysięgałeś czy nie?

– Przysięgałem – rzekł.

– Przysięgałeś – jął znowu krzyzczeć Szczukin na całą karczmę, gniotąc stół pięściami – a z tą świętą przysięgą to coś zrobił? – Tyś z szeregu uciekł do wroga! To prawda czy nie?

– To prawda.

– Razem z innymi zdrajcami swego panującego napadłeś na jego wojsko z zasadzki. Prowadziłeś zdrajców, dawałeś im najzgubniejsze wskazówki, uczyłeś ich, gdzie i jak uderzać. Ja sam widziałem cię dzisiejszej nocy w bitwie z żołnierzami twojej własnej rotacji. Ja tu świadczę, że widziałem, jak żołnierz Deniszczuk zranił cię bagnietem. To prawda czy nie?

– To prawda.

– Jeżeli to wszystko prawda, to ty nam, żołnierzom prawym i wiernym, w oczy tu mężnym wzrokiem patrzeć nie śmiejesz! Stoisz przed obliczem sprawiedliwego sądu. Twój własny stryj sąd nad tobą sprawuje. Spuść oczy i zniż się, bo ty jesteś zdrajca i nędznik!

On na to rzekł:

– Ja stoję przed sądem Boga. A ty mnie sądz według swojego sądu, jak chcesz. Szczukin siadł.

Głosowanie. Dwa głosy padły za karą natychmiastową, Szczukina i von Tauwettera, dwa za odesłaniem pod konwojem do Kielc. Mnie tedy przyszło przechylić szalę. No, i przechyliłem... – mówił cicho, kiwając głową.

– Mieli wyprowadzić. Jewsiejenko wniósł, że może ostatnie ma życzenie. Dałem głos. Spojrzał tedy na mnie tymi pieczarami oczu, wlepił je we mnie. Staliśmy wszyscy za stołem. On podszedł blisko. Patrzył mi w oczy, ja w jego. Jakby dwie lufy pistoletowe przystawił... Pamiętam surowe słowa:

– Rozkazuję przed śmiercią i to jest moja niewzruszona, ostatnia wola, żeby mój mały, sześciolatek syn, Piotr, był wychowany jako Polak, taki sam jak ja. Rozkazuję, żeby go uczyć, choćby to było przeciwne sumieniu wychowawcy, jak jego ojciec zrobił wszystko, aż do samego końca. Rozkazuję mu głosem głuchym, żeby pracował dla swej ojczyzny i żeby, jeśli zajdzie potrzeba, umierał dla niej bez jednego drgnienia strachu, bez jednego westchnienia żalu, tak samo jak ja. No, i wszystko.

Oddał nam cześć po wojskowemu.

Wyprowadzili.

Zaczął się budzić dzień. Poszedłem do alkierza, gdzie tej nocy miał spać. Otworłem okno. Brzask dnia już się zaczynał. Ranek. Po drugiej stronie drogi sześciu żołnierzy szybko wybierało łopatami dół w piasku. Odszedłem w głąb izby. Odwróciłem się twarzą do ściany. Boże mój!...

Było już jasno, kiedy wróciłem do okna. Mogłem już widzieć spokojnie. Na kupie piasku, pod strażą dwunastu żołnierzy z karabinami u nogi, bokiem do mnie zwrócony siedział spokojnie. Zdjęto mu już kurtkę powstańczą. Był w koszuli i tę koszulę miał rozerwaną na piersiach. W rękach ściśniętych trzymał między kolanami fotografijkę syna, Piotrusia. Głowa zwieszona, włosy spadły na czoło, oczy w tej fotografii utopione.

Zaszedł pluton żołnierzy należący do jego własnej rotacji, zza węgła karczmy. Stał ten pluton naprzeciwko. Von Tauwetter prowadził. Żołnierze – broń u nogi. Stoją. Minęła chwila, druga, trzecia... Czekam. Czekam, żeby Tauwetter dał komendę. Nic, cisza. Nic, cisza. Nie może dać komendy. Tamten siedział wciąż z oczami w swoim obrazku. Miałem złudzenie, że

może już, tak siedząc, umarł. Przez chwilę miałem tę ulgę. Czeką. Aż oto podniósł głowę jak ciężar tysiãcpudowy. Stał na kupie piasku. Nogi mu się zarobiły w sypkiej ziemi, więc się poprawił raz i drugi. Obejrzał się poza siebie, odgarnął włosy z czoła i spojrział w żołnierzy. No, chwała Bogu, wróciło nań to wykrzywienie twarzy, ta pogarda, co ją miał w sobie na sądzie. Widziałem, jak powoli obejmowała mu twarz, oczy, czoło. Byłem szczęśliwy, że to tak, że tak właśnie, z dumą... Że Rozłucki... Czuję, jak wielką swoją wolą zmieniał się w nieczułego trupa, jak się przeistoczył w coś innego. Rzekł:

– *Zdrowo, rebiata!*

– *Zdrawia żelajem waszemu błagorodju!* – zawrzasnęli żołnierze plutonu jak jeden człowiek.

Podszedł Jewsiejenko, żeby mu oczy zawiązać. Odepchnął go oczami. Feldfebel odszedł. Przycisnął tedy do serca ową małą fotografię, zamknął oczy. Uchyliły mu się usta od wyższego pięknego uśmiechu. Zamknąłem i ja oczy... Przypadłem piersiami do ściany. Czekam, czekam, czekam. Nareszcie – t a r r a c h !

Geometra Knopf zdjął czapkę i coś tam suchymi wargami do siebie szeptał. Guńkiewicz grzebał patykiem w popiele ogniska, jakby pragnął pozakopywać sowite, pijackie łzy kapiące z jego oczu.

Zapanowała cisza. Wołały się echa po leśnych górach...

Wtem pisarz gminny zwrócił się do generała z pytaniem:

– Proszę też łaski pana generała, a gdzie na przykład jest teraz ten mały syneček, ów wtedy sześćioletni Piotruś?

– A tobie to na co wiedzieć, gdzie on? – grubiańsko i twardo odpowiedział generał.

– Ciekawość mię wzięła wiedzieć, czy się też spełniła ostatnia wola i rozkaz onego powstańca?

– Nie twoja to rzecz, i ty o takie rzeczy nie śmieję mnie pytać – słyszysz?

– Ja się też od razu dorozumiałem – odrzekł pisarz, patrząc swymi szelmowskimi oczami, z beczelną drwiną, prosto w oczy starego generała – ja się też od razu dorozumiałem, że z tej twojej ostatniej woli, mój ty „kapitanie Rymwidzie”, tego się diabeł musiał uśmieć...

WSZYSTKO I NIC
(„POPIOŁÓW” SPRAWA DRUGA)
Fragment

Ledwie się drzwi zamknęły i dwaj Olbromscy – Rafał i syn jego Hubert – stanęli na ganku, wichura poczęła ich szarpać na wsze strony. Zadęty był cały ganek i pół sieni. Ciemność, choć oko wykol, niezglębiona była wokoło. Mały Hubert brnął po zaspach, po czymś niby dachy, i nie mógł wyjść z podziwu, że jest na znajomej drodze, wygradzonej z dwu stron parkanem do motkowskiego dworu. Z okien dworskich padały rześiste smugi światła. Dojrzał w jednym promieniu ogromnego parobka w grubym kozuchu i baraniej czapie, na której osiadła druga czapa śniegowa – jak trzymał u pyska Łyskę. Grzywa Łyski fruwała, a ogon niosło w bok za wiatrem. Namacali obadwaj z ojcem saneczki, dwa w nich siedzenia ze snopków kłóci okrytych kilimkami. Wszystko było śniegiem grubo zadęte. Na tylnym siedzeniu już się nawet usadowiła spora zaspą, gość nieproszony. Łyska chrapała, biła kopytami.

Wysoko w ciemnym pustkowiu nocnego nieba huczały wielkie topole i lipy otaczające dwór oraz zabudowania motkowskie. Ten głos był tak złowrogi, że lęk niepojęty serce dziecka ogarnął. Widziało się, że to jakowaś dzika moc niesie się wśród poświstów górą, niewidokiem, ponad cichą, przyziemną siedzibę, że się z pustki polnej wywiera przeciwko światłom jej okien. Huk ciągły, jednostajny wznosił się kiedy niekiedy do niedosiętej wyżyny. Małe serce mdlało i truchlało poddane temu nieubłaganemu głosowi. Parobek Walenty uspokajał kobyłkę przemawiając do niej słowami, których drukować niesposób. Wsunął wreszcie lejce w ręce pana Rafała Olbromskiego, gdy poznał, że się ten już umieścił na przednim siedzeniu – i znikł wnet w nocy, przepadł w ciemności, stał się niczym, jak sama ciemność. Z ganku zabrzmiał w wichrze pożegnalny głos motkowskiego dziedzica, ale słów już nie można było rozeznaczyć. Wiatr je z warg porwał, uniósł w noc i jakby w śnieg cisnął.

Pomknęli z miejsca. Łyska, zmarznięta, schłostana od wiatru, susami wypadła z podwórza, minęła pierwszy zakręt na prawo za bramą, po chwili drugi na lewo... Sanice zatoczyły okrągły kształt dwu brzuśców litery S i pomknęły na szeroki wygon drogi ku Wyrwom. Huk drzew przycichał, wnet ustał, jakby się w ziemię zapadł. Olbromski-ojciec orientował się co do wiatru. Wiatr bił z prawego boku od lasów i wyraźnie świstał między żerdziami obustron-

nego płotu tej drogi. Między tymi płotami leżały zasy niewiarygodnej wysokości. Klaczka wnet się wysiepała, kopiąc się w śniegach, choć saneczki były najlżejsze, jakie być mogły, bose, obciążone tylko dwiema z boków deskami i parą siedzeń. Dla przebycia zasp trzeba było torować szlak w śniegu sytkim jak pył najlżejszy, ale głębokim na chłopa. Szukając drogi sposobniejszej Łyska szła to w prawo, to w lewo, szarpała sanie, aż dyszel trzeszczał, i skręcała na miejscu, gdy jej nozdrza i oczy raziła zadymka, tnąca ostrymi pyłami.

Obadwaj podróżni pamiętali, że są w opłotkach, i co chwila radzili z cicha, czy jeszcze nie wymięli wygonu. W pewnej chwili wątpliwość nasunęła się aż nazbyt wyraźnie. Pan Rafał Olbromski zatrzymał kobyłkę w miejscu, kazał Hubertowi wsiąść, iść na prawo i zbadać, czy na płot trafi. Mały Hub wyskoczył w śnieg, szedł jakiś czas we wskazanym kierunku, brocząc w zaspie, ale płotu nie znalazł i poprzedniego świstu między żerdziami nie słyszał. Ruszyli teraz wolniej, noga za nogą, pustkowiec, gwarząc o ciemności i wietrze i dopytując się raz w raz nawzajem, czy im nie zimno i czy nogi nie przeziębły. Mały Hub miał dopiero lat jedenaście, ale te miejsca znał jak najstarszy ze starych. Między rodzinnymi Wyrwami a folwarkiem sąsiadów na Motku było niecałe dwie wiorsty odległości. Obiedwie habendy dzieliła rzeka, płynąca w nizinach, oraz przestrzeń nieużytków po wyciętych i wykarczowanych lasach, pełna wykrotów i pniaków, dołów i wywożonych kamieni.

W pustkowiec tym stały jeszcze tam i sam nasienne drzewa, przeważnie wielkie jodły. Każde z tych drzew Hub znał jak swoją kieszeń. Na szczycie każdego z nich był, pod każdym na coś czatował, chronił się od deszczu albo upału. Toteż teraz wbijał oczy w ciemność usiłując dostrzec znajome kształty jedli lub świerka, żeby ojca zakasować w znajomości terenu, żeby pierwszy dać znać o jarząbie z pasyjką albo o jodle podpalonej. Lecz czas mijał, saneczki sunęły w śniegach jak łódź po wzburzonych bałwanach, a przewidywanych znaków nie było w mrokach ani śladu.

Podmuchy wiatru ciskały na sanki istne fale. Sypało jak z wora miękkimi płatami albo ciął w oczy i uszy grad ziarnisty, zacinający aż do krwi. Sanie już to chyliły się na bok, już uderzały w jakoweś twarde przedmioty podśnieżne. Międzyłesna pustkowiana burza stawała się coraz dzikszą. W nieprzejrzanym dali ryczały przeraźliwe głosy, istne wycia leśnych diabłów. Las-li to huczał, czy się walały wody z upustów na Motku? Łyska chrapała niecierpliwie. To się zrywała do biegu susami, to znowu z trwożnym prychaniem stawała w miejscu. Podróżni spostrzegli, że mają wiatr za plecami. Jechali tedy w złym kierunku.

- Wiatr ją w nozdrza bije i, szelma, kręci mi się w rękach... – rzekł pan Rafał do syna.
- Niech ją tatko od siebie i ostro, batem po nogach!
- Ba! – żebym to wiedział!... Od siebie, mówisz?
- Musimy pod wiatr, bośmy tak wyjechali.

Wzięto się pod wiatr, mimo Łyski oporu. Jechali teraz ostro, wprost w paszczę nawalnicy. Przejmujące zimno ozionęło ich jak lodowatą wodą. Huk się wzmógł. Ze wszech stron wirem pędziły kłęby kurzawy.

- Zakryj się! Skul się i owiń kilimkiem! – wołał na syna Olbromski.

Słowa te leciały porwanymi sylabami, jakby płatami, na obraz śniegu. Obiły się tępo o dziwnie przytłumiony słuch.

- Mnie ciepło! – odskrzyknął mały.

Zwinął się w sobie, ręce zasunął w rękawy bekieszy, głowę wtulił w ramiona i cieszył się z wichury, ciemności i jazdy, głównie zaś tą pewnością, że to jest jeszcze dziś, nie dzień jutrzejszy, nie ten ohydny, fatalny, ostatni dzień Godnych Świąt, po którym trzeba wracać z umiłowanej strony, z domu i ukochanych rozłogów – do szkoły. W pewnej chwili ojciec zatrzymał Łyskę. Medytował w milczeniu.

- A co, tatku? – zagadnął Hubert.

– Co u licha! Nie wiem, gdzie jestem... Niby Motki – tam. Wyrwy – tak jakby tu... Ale w takim razie powinien by już być rozdół, rzeka, most. Tymczasem tu jakby wciąż pod górę...

– To prawda. My wciąż jedziemy pod górę... Olbromski przez czas pewien rozmyślał bezradnie. Wicher chłostał go po twarzy nie tylko garściami śniegu, lecz i włosiem ogona kobyły, który jak bat świstał na strony. Zimno przejmowało do kości. Ze wstydu i w pasji zaciął kilkakroć batem ciemny kształt koński. Łyska skoczyła przed się, targnęła sanie i pomknęła pod wiatr znowu. Pędzili galopem na oślep przez czas długi – tak dalece długi, że można było znakomicie przejechać z folwarku do folwarku. Sanki magały się z boku na bok, leciały w jakoweś doły i wyrwy i uderzały swymi nosami w zagony. Gdy znowu przystanąły, nie słychać było nic prócz huku lecącego górą i świstu między sanicami.

– Pole, do stu diabłów! – unosił się Rafał Olbromski. – Jesteśmy na jakimś polu... Cóż to za rola? Zleż no, synku, i popatrz, w którą stronę idą zagony... Może co z tego wymiarkuję...

Hub ochotnie poskoczył, deptał tu i tam grzbiety zagonów, aż wreszcie stanowczo, niemal z tryumfem oświadczył, że zagony idą tak i tak. Nie na wiele się to przydało. Po długim zastanowieniu zdecydowano, że skoro wiatr ciągnie stąd, a zagony idą tak, więc trzeba jechać w takim oto kierunku. Pojechali. Z zagonów sanie przemknęły na nieużytki i znowu poczęły przewalać się z boku na bok. Trafili w jakieś krzaki zupełnie nieznanymi, w miejsca najzupełniej obce, nie istniejące w jakimkolwiek wspomnieniu. Zdumienie ogarnęło obudwu. Za tymi zaroślami były jakoweś kamieniste wertepy, niemożliwe do przebycia i również nieznanne.

Poczęło to Olbromskiego doprowadzać do rozpaczliwej pasji. Stosując się do rady ojca Hub wysiadł, ujął Łyskę za uzdę u pyska i jał ją prowadzić pod wiatr, żeby nie zbaczała z obranego ku domowi kierunku. Rafał Olbromski, siedząc teraz beczynnym, nasłuchiwał, czy się w którejkolwiek stronie nie odezwie naszczekiwanie psów. Powinna była być w stronie, dokąd dążyli, wieś jedna i druga, powinny były być na uboczu kolonie czynszownicze, samotne chaty na odludziu... Nigdzie, nikąd odgłosu życia!

Hub z miłością głąskał pysk klaczy, szeptał jej do ucha sekretnie słodkie słowa i odmierzał pieszczotki. Wkrótce, brnąc pod wiatr w zaspach, zdyszał się i spocił doskonale. Sprawilo mu to szczerą rozkosz. Czuł się na równi z ojcem mężczyzną, doznającym niepowodzenia, a nawet niebezpieczeństwa. Zresztą to, co się działo, było dobrym, bo dzieliło i wciąż jeszcze trzymało w oddali od fatalnego jutra. Pod nogami w głębiach śniegu czuł pustkowie i rad był, że to jest wciąż jeszcze pustkowie, a więc miejsce dalekie od Wyrw i od Motka. Rad by był iść tak przez całą tę ziemię i przez całą noc, wzniosłą w swej świszczącej potędze, piękną w nieprzeniknionym mroku i radosną nad wszelkie słowo w swej rozpasanej dzikości. Och, rad by był iść tak obok ukochanej, najmilszej Łyski na kraj świata!

Inaczej w tym pustkowie czuł się ojciec. Wstyd go prosty palił i ogarniała wściekłość. Wąlewał się oto po przestworze znanym jak własna izba, po dziedzinie, którą od tyłu już lat zamieszkiwał, zimą i latem po tysiącokroć przebył we wszystkich kierunkach... Było to zarazem śmieszne i głupie błąkać się w polu między Wyrwami i Motkami, gdzie z zawiązanymi oczyma każde dziecko trafi do wymienionego punktu.

W trakcie pochodu przez zasy Hub posłyszał przed sobą szczególny szum. Zrozumiał, że to huczy w wichrze wielkie drzewo. Skierował natychmiast ku niemu Łyskę i wnet mokre, grubo śniegiem obwalone gałęzie jodły jak łapy potworne ogarnęły go z prawej i z lewej strony. Przystanął. Ojciec zsunął się z sanek na ziemię i zbliżył do drzewa. Oglądali je obadwaj z synem, obeszlą dookoła i... po szczegółowym badaniu przyszli do jednomyślnego wniosku, że jest to jakieś drzewo zgoła nieznanne, jakby nie tamtejsze...

Stojąc obok tego drzewa, które huczało swą wzniosłą i niepojętą pieśń, Rafał Olbromski przenikniony został nagle a niespodziewanie przez dawny, zapomniany lęk... ohydne wspomnienie przeszliźnęło się wskroś jego duszy. Obawa o dziecko ścisnęła mu serce. Kazał chłopcu wejść na sanki, owinać przemoczone nogi kilimem – a sam stał w zamyśleniu bezradnym obok konia. Postanowił jedno: nie oddalać się od spotkanego drzewa. Ale czekać do rana na swym czy sąsiedzkim polu!... Było coś obrzydłe śmiesznego w samym zarodku tego posta-

nowienia. Wyjechali byli ze dworu na Motku zaraz po kolacji, więc na jakie dwie z górą godziny przed północą. Mieli tedy przed sobą do świtu dziesiątek godzin. Wahając się, co zrobić, starszy pan ujął klacz za uzdę i wprowadził za drzewo, zasłaniając ją tym sposobem od fali wiatru. Wziął chłopca z sanek na ręce i przeniósł go dla rozgrzewki na grzbiet kobyły. Hub siadł oklep na Łysce z radością i czule ją zaraz objął rękami za szyję. Klaczka wraz głucho a z cicha westchnęła – nie wiedzieć, z radości czy ze smutku – i poddała się losowi. Ciepła para dymiała się z niej obficie.

– Nasłuchujmy, synku, szczekania psów!... – rzekł ojciec.

Słuchali tedy pilnie – pilnie. Objęły się o ich uszy z dala lecące poświsty i przyziemny huk, gdy wichur głucho polami gnał w międzyleśne szyje, na zamrznęte smugi i przydęte pastwiska, w doliny wśródgórskie. Głęboka do nich mówiła, samoistna moc i groźny urok obejmował dusze. Obadwaj byli zasypiani śniegiem, zgrzani i wzburzeni. Nim się spostrzegli, już ich poczęło zadymać, a sąsiedk śniegowy rósł stale dokoła nóg końskich i przed saniami. Drzewo powiewało gałęzmi. Od chwili do chwili, po krótkich przerwach ciszy, działo się w nim jak gdyby taniec przedziwny, pełen pochutnego kłapania. Hub wbijał oczy w ciemność, z przestachem i zdumieniem spostrzegając, jak wielkie łapy jodłowe, obleczone w grube, białe rękawice ze śniegu, klaszczą raz w raz jedną w drugą – „kosia – kosia – kosiana”...

Zdało mu się widzieć zawrota czubem pijanego, głupio-ślepego – „da dyna”...

Dalsze spływy drzewne, szerokie i obwisłe, zamieć podgarniała wysoko, jakoby podół olbrzymiej spódnicy, i wiewała nimi dookoła pnia. Wewnątrz włochatych gałęzi pień głucho i ponuro stękał.

Aczkolwiek jodła osłaniała od wiatru, zimno się wzmagało. Stojących bez ruchu wichur przejmował w ramionach i plecach do szpiku kości. Nogi od wielkich palców poczynęły kluczyć szpilkami. Śnieg stawał się coraz bardziej gęsty, sypki i zaciekły.

Pan Rafał okrył plecy chłopca kilimem, obiedwie jego nogi obrócił w jedną stronę z końskiego boku, sam przytulił się do tego boku i grzał dziecko sobą. Stopy swe w śniegu otulił drugim kilimem i tak objawszy się, grzejąc konia i nawzajem przezeń ogrzewany, pod zasłoną drzewa przetrwać postanowił burzę. Tymczasem zadymka wciąż potężniała, a wiatr się do istotnego szału rozpętał. Ojciec raz w raz upominał synka, żeby zaś nie drzemał.

Ale malcowi, właśnie jakby na przekór, śnić się poczynęły różności, głowa jak kowadło ciężka, a oczy zlepiły się niby pod nawałą lotnych płatków śniegu. Wielka jodła śmiała się z niego niemylą chichotem, magał się w mroku potworny jej kadłub jakoby obraz grubego i sprośnego chama, gdy, spity do zbydlęcenia, w czarnym karczmissku tańczy sam ze sobą w próżni i szaleństwie. Chwilami ów taniec przeistaczał się w groźne zawrota. Objęcia gałęzi schylały się nisko, coraz niżej. Długie pazury, wysunięte z kosmatych białych osłon, sięgały po głowę...

Pan Rafał w półdrzemaniu czuwał wciąż nad jednym wspomnieniem. Miał w wyobraźni stada wilcze. Zaniedbał być wziąć bronie ze sobą, a wilki w tej leśnej stronie nie były rzadkością. Zimową porą stada ich zaglądały na podwórza folwarków. Teraz żywiej niż kiedy indziej miał w pamięci zdarzenie, gdy w noc księżycową, na skutek zajadłego szczekania kundysów pod dworem wyjrząwszy oknem, zobaczył ogromnego wilka tuż pod gankiem. Przypomniały mu się najżywiej wszystkie afekty i gdy naciągnawszy buty na bosa nogi i narzucając na ramiona tylko lisiurę, wyszedł na ganek i strzelił do napastnika. Pamiętał, jak pojedynk uskoczył za bramę i jak to on sam jeden – z ostatnim nabojem w lufie dwururki – pędził za nim wygradzoną drogą aż poza stodoły. Przeszedł wspomnieniem kolejno każde wrażenie, gdy tak naprzeciwko siebie stali w jaskrawym świetle księżycy: wilk w polu, o kilkanaście kroków oddalony, i on sam pod wysokim parkanem za folwarcznymi stodołami. Oto śni się, że jak wtedy zmierzył do zwierza i trzyma kolbę przy policzku... Oto wilk nagłym, piorunowym susem skoczył ku niemu i runął mu u nóg, gryząc krwawym pyskiem zamrznęte zagony, gdy go nieomylnym strzałem powalił.

Mrowie tamtego wspomnienia nie chciało z ramion odejść. Tkwiły wciąż w nieświadomej pamięci nieznośne obrazy bezrozumnej walki z potworem za dawnych dni młodych... Postanowił czekać choćby do rana i nie oddalać się od drzewa, ostatniej obrony w razie napadu wilczej czeredy. Nie było to zaiste rozumowanie, lecz gorzkie czucie – na pół jasnowidzenie czegoś groźnego, co w pobliżu czyha pod zasłoną tej ciemnej nocy.

Hub coś sennie gwarzył. Głównie oparł na ojcowskim ramieniu. Wszyscy troje, nie wyłączając Łyski, cierpliwie nasłuchiwali, raz w raz podnosząc głowy i nastawiając uszy. Gdy wiatr się z nagłą wzmacniał na obraz szaleństwa tego całego obszaru, a noc huczała – pan Rafał otulał szczelniej derą dziecko, sam się doń przyciskał i czekał z bijącym sercem.

I oto z nagłą, jak gdyby wyczarowane z nicości przez niepojęte uczucie – kędyś w nocy, daleko – daleko błysły i zgasły dwa światełka. Wnet znowu błysły – i przygasty.

„Wilcze ślepiea... Czy sen?” – zmagął się w sobie Olbromski.

Wlepił w próżną noc oczy... Oto znowu: – zabłysło – przygasto!... Porwał dziecko w ramiona – przekonany, że to nie złuda – nie mówiąc ani słowa otulił je w derę i chwilę jeszcze czekał, nim się rzucił i drapać po gałęziach na szczyt jodły. Głucha wewnętrzna modlitwa snuła mu się po wargach.

Dwa światełka znowu zaświeciły i zgasły. Lecz razem w podmuchu wiatru dopadł ucha tęskny, błogi dźwięk.

– Tatus! – Dzwonek!... – porwał się mały.

– Tak jakby prawda... Dzwonek... – wyszeptał ojciec.

Wpatrzyli się w przestrzeń. Wsłuchali w wicher. Dojrzeli przeciągle błyszczące dwa światła. Ujrzeli wyraźnie ich kołysanie miarowe. Usłyszeli daleki – daleki pogłos... Serca uderzyły z radości. Zaszepotali do siebie bez sensu i związku. Połysk i głos zbliżały się bardzo powoli. Czekali cierpliwie, w milczeniu. Nareszcie gdy w ciągu kilku chwil obaj widzieli wyraźne migotanie i słyszeli daleki klangor jednotonnej melodii dzwonka, rzucili się do sanek i pojechali co tchu na spotkanie światła. Łyska, skostniała z zimna, w cwał pobiegła.

– Kto też to tędy może jechać ze światłem i dzwonkiem? – głośno rozmyślał Olbromski.

– Może to nas Michcik szuka?

– Ale gdzie! W najgorszym razie przypuściłby, że nocujemy w motkowskim dworze.

Coraz wyraźniej widzieli dwa kręgi światła latarni i odróżniali każde uderzenie podróznego dzwonka. Wreszcie pan Rafał okrzyknął z dala zbliżający się pojazd. Światła w miejscu stanęły. Podjechał blisko – i spostrzegł w światłach padających od latami zady dymiące, nogi i uprzęż pary koni.

– Kto woła? – spytano od świateł.

– Ludzie zbłąkani w polu. A kto to jedzie? Nie odpowiedziano na to pytanie. Olbromski podciął Łyskę i zbliżył się do samych sanek. Oddał wodze w ręce Huba, a sam wysiadł i poszedł poza latarnie.

– Któż to jedzie? – pytał powtórnie.

– Z poczty jedziemy...

– Tędy z poczty?

– No, tędy.

– A kto jesteście, człowieku?

– Ja pocztylion. Pana przejeźdnego wiozę na sandomierski trakt.

– Skądże wam do głowy przyjść mogło tędy lasami jechać na sandomierski trakt?

– No, ja jadę, jak każą. Dziś pan przyjechał skądś z daleka, pocztę najął i kazał jechać na sandomierski trakt. A wyście co za jedni, ludzie?

– Ja tutejszy, z Wyrw dziedzic – alem, do diabła! w powrocie do domu pobłądził. Pocztarek, wiesz ty może, w której stronie będą Wyrwy?

– Dy my stamtąd, z Wyrw jedziemy.

– Jakim sposobem?

– Zjechaliśmy tam, jak się ta zadma z samego wieczora zawzięła. Pan się bał puszczać na taki czas. Ale dziedzica nie było, sługa nas ta stary nie chciał przyjąć na nocleg, powiedział, że nie bierze na swoją odpowiedzialność, bo pana nie ma, a my nieznajomi, no i musieliśmy puścić się dalej na całą noc. Tak jedziemy noga za nogą. To samo nie wiemy, gdzie my są teraz.

– Most na rzece przejechaliście?

– No dopiero co!

– Ludzie! wróćcie się ze mną do Wyrw. Przenocujecie we dworze, a nam latarnią poświęcicie, żebyśmy mogli do domu trafić,

– A wyście to sam pan dziedzic z Wyrw? – dopytywał się pocztarek.

– Sam, Olbromski.

– Nie wiem, jako pan?... – zwrócił się woźnica do swego pasażera.

Rafał Olbromski postąpił kilka kroków dalej i zbliżył się do ciemnej figury siedzącej w saniach. Z bezwiednym ruchem skłonił się i rzekł:

– Jestem Olbromski. Z kimże mam zaszczyt spotkać się w tak ciężkiej okoliczności?

Macał rękoma w ciemności i dotknął futra, które otulało siedzącego podróżnika. Pocztalion wstawił w latarnie nowe łożówki i wtedy nieco blasku padło na pasażera. Olbromski dostrzegł futro niedźwiedzie, osypane śniegiem. Gdy tak dłonią szukał w ciemności, z nagłą jego palce trafiły na rękę milczącego dotąd człowieka. Ręka tamta ujęła dłoń Rafała i na zewnętrznej powierzchni tej dłoni postawiła mocnym i długotrwałym uciśnieniem trzy środkowe rozstawione palce. Po chwili te zimne, zgrabiałe i twarde palce oderwały się i znów wgniotły w rękę, ale teraz były skupione w jedno. Całe ciało Rafała Olbromskiego od tych dwu dotknięć zadrżało jak gdyby na nowo przeszyte mrozem. Zrozumiał tajemnicze pozdrowienie, sekretny znak, wyrażający dwa wielkie pojęcia: „W s z y s t k o” i „N i c”.

Nie wiedział, z kim się przed chwilą w polu zetknął i kto go powitał, ale natychmiast, bez dalszych pytań zarządził, ażeby pocztarek nawrócił i w kierunku Wyrw jechał przodem po swych własnych śladach. Wnet sanie przejezdnych ruszyły naprzód, świecąc latarniami. Olbromski z synem zdążył tuż za nimi po świeżo przetorowanych, lecz już przydętych śladach.

Zsunęli się wnet z płaskowzgórza w rozdół rzeczny, dziwiąc się niepomalu, jakim sposobem nie mogli byli trafić w to miejsce, rozumiało jak na dłoni. Za mostem ruszyli ostro i przed upływem pół godziny byli za bramą dworską w Wyrwach. Zajądło szczekanie mnóstwa psów obudziło służbę, błysnęły w oknach światła. Zaskrzyptały drzwi ganku i ktoś wyszedł z latarnią.

– Michcik! – wołał Olbromski – dawaj mi tu latarnię! – Gość wysiadł ze swych sani i, nie mówiąc ani słowa, pośpiesznie wszedł do sieni. Postępując tuż za nim pan Rafał znalazł się w pierwszym pokoju, zanim jeszcze służący wkroczył z latarnią. Zablęsty wnet woskowe świece w lichtarzach. Przybysz ociężałymi ruchy usiłował rozwiązać szal, którym był omotany kołnierz jego futra w taki sposób, że twarzy nie było widać. Dopiero gdy Olbromski wydał służącemu polecenie, ażeby przyjezdny pocztalion postawił swe konie przy dworskim żłobie, sanie wtoczył do wozowni, sam dostał posiłek i poślanie – i gdy ów Michcik ze swą latarnią wyszedł z pokoju – przybysz otrząsnął z futra nawiane śniegi, odsunął kołnierz i zrzucił z ramion krótkie futro. Ujrzawszy jego twarz gospodarz domu wydał cichy, a do cna przerażony okrzyk. W milczeniu patrzył w twarz tego gościa. Tamten krótkim gestem nakazał mu sekret. Obejrzał się uważnie po pokojach, po zamarzniętych szybach okien... Uśmiechnął się.

– Nie spodziewałeś się, bracie, że mnie tu zobaczysz... – rzekł głosem dźwięcznym, przyjemnym, cichym, lecz zdradzającym wewnętrzną siłę.

– W istocie...

– Czy ten służący przyjdzie tu jeszcze?

– Chciałbym, żeby przyniósł pościel na tę sofę.

– Pościel sami przyniesiemy. Nie chcę, żeby mię widział.

–To wierny, rodzony człowiek. Żołnierz, sługa i przyjaciel jeszcze nieboszczyka brata.

Po wargach gościa prześliznął się zimny, przeczący uśmiech. Poruszył głową na znak, że nie wierzy nikomu.

– Przyniosę sam... – rzekł posłusznie gospodarz.

– A mały?

Hub siedział w kącie, w ciemnym kącie, do którego nie docierały płomienie świec, i w istocie przez sen przypatrywał się nieznajomemu. Gdy z wichury chłoszczącej go tak długo wszedł do ciepłego pokoju, zrobiło mu się nadzwyczaj gorąco w policzki. Uszy mu się paliły, a oczy jakby zasypane piaskiem zamykały wbrew woli.

Gość był wzrostu więcej niż średniego, prosty, szeroki w barkach, silnie zbudowany, choć szczupły z pozoru. Twarz jego była prześliczna, pociągła, niemal chuda. Duże, niebieskie, przezroczyste, iście jastrzębie oczy zimno patrzyły na wszystko z uwagą, z medytacją i zastanowieniem wewnętrznym, jak gdyby z rachunkiem nieustającym. Nos był jak wyrzeźbiony w kamei, nieco wydatny, chrząstkowaty, pociągły. Mały wąs ledwie-ledwie przysłaniał foremne usta. Na owalu twarzy i na brodzie znać było śniady ton po ogoleniu zarostu. Ciemne i gęste, ale już siwiejące włosy były krótko przystrzyżone i zaczesane na bok od przedziału na lewej stronie czaszki. Człowiek ten mógł mieć lat czterdzieści pięć lub sześć, ale młodość jeszcze nie znikła z tej twarzy i postaci. Wszystko w nim było harmonijne i jakby dopasowane w sposób wysoce doskonały. Ruchy swobodne, naturalne i niewymownie zgrabne nadawały się do rysów twarzy i jej wyrazu. Każde spojrzenie i każdy gest były szczególnie, można by powiedzieć, nieodwołalnie, kategorycznie piękne i stanowiące ostatni wyraz tego, co być powinno w danych okolicznościach, chwili i miejscu. Coś niepospolitego, nakazującego bezwzględne posłuszeństwo, władcze, było w każdym uśmiechu, spojrzeniu, ruchu równych, skrzydlatych brwi, w każdym skinieniu ślicznej ręki i cichym słowie. Widać to było od rzutu oka, że pod osłoną tych kształtów, tak zastanawiające doskonałych, istniał i działał niezłomny rozum, a same rysy oblicza były tylko zewnętrznymi doskonałościami jego symbolami. – Lecz w tym pięknie twarzy widać było również łamanie się uniesień, milczenie pasyj, zatajenie, opanowanie, zastygnięcie w lodowaty spokój tortur duszy. W błysku przejrzystych oczu, w badawczym, inkwizytorskim ich spojrzeniu strzelała niekiedy wewnętrzna furia, która jednak niezwłocznie nakazowi czegoś wyższego stawała się uległą.

Mały Hub nie widział oczywiście tych cech nieznajomego pana. Przez swoją senność z upodobaniem na niego patrzył. Wszystko w nim bardzo mu się podobało: krótkie futro z pończobkami – podspodnia kurta, szara, prosta, jakby myśliwska czy wojenna – grube buty, takie same, jakie były w szafie u ojca, szanowane i czyszczone ze starannością „napoleońskie”, o których stary Michcik wyrażał się ze szczególnym nabożeństwem jako o tych, co się dobrze zasłużyły w pochodzie na Moskwę.

Gość rzekł:

– Trzeba zaraz położyć spać małego.

Olbromski z posłuszeństwem rozebrał Huba i położył na łóżku, niegdyś matczynym, w sąsiedniej stancji. Łóżko stało na progu drzwi, więc Hub, otulony już kołdrą, widział ze swego miejsca, jak gość zostawszy sam na sam z ojcem naraz zbliżył się do ostatniego i objął go ramionami. Mały jeszcze przez chwilę postrzegał, jak ojciec nachyla się i z pokorą usiłuje pocałować rękę przyjeźdnego pana. Lecz oto kamienna senność ogarnęła dziecięce jego ciało – światło zgasło i roztoczył się przed oczyma świat zgoła inny, pełen widziadeł.

Tymczasem gość, Kazimierz Machnicki, usiadł przy stole i nachylony do Olbromskiego rzekł:

– Przyjechałem specjalnie do ciebie.

– A czemuż kazałeś jechać stąd na sandomierski trakt?

– Dla niepoznaki. Miałem zamiar tam zanocować w jakiegokolwiek wiosce, a nazajutrz wyjść o świcie i lasami dostać się znowu do ciebie.

- Czemuż to taka ostrożność?
- Ostrożność, i kwita. Złe stoi nasza sprawa.
- Kiedy wyszedłeś z więzienia?
- Rok temu, ale jestem pod dozorem szpiegów.
- Jakżeś im się wymknął?
- Wymknąłem się. Zmyliłem ich czujność udając chorego obłożnie. Przekradłem się, żeby ci dać znać. Miej się na baczności!
- Czemu? – pytał Olbromski mrużąc oczy i wpatrując się w gościa.
- Stało się coś niewarygodnego, coś, co zaprzeczyło wszystkiemu na ziemi... – mówił Machnicki spokojnym szeptem. Obejrzał się znowu na zamrażnięte okna, na zamknięte drzwi. Słuchał uważnie, jak wiatr śwista wokół domu. Począł mówić z cicha, bez jakiegokolwiek wzruszenia:
- Jeden człowiek, za którego dałbym był rękę prawą – nie! – dałbym był gardło – i to nie!
- dałbym był głowę – ten człowiek nas wydał.
- Kto? – spytał z jękiem gospodarz.
- Nie powiem imienia.
- Skądże wiesz?
- Z aresztów i połączeń widzę, że tylko ten człowiek mógł takie rzeczy wiedzieć i wydać.
- Popadł w zadumę. Uśmiech pogardliwy przewinał się na zimnych, zaciętych jego wargach, gdy mówił niemal do siebie, patrząc w drgający płomień świecy:
- Jakie katusze musiał przeżyć ten człowiek, co przenieść, co ujrzeć wokół siebie, jeżeli wydał, jeżeli on wydał! Była to granitowa prawość, nieustraszone męstwo, święta wierność, zaklęty honor. Przypatrzyłem się wszelkiej podłości – prostej jak u Nagórskiego, złożonej, judaszowej jak u Karskiego, wymyśliłem się we wszelkie szelmstwo szpiegów, w tchórzostwo idące do drzwi zdrady – i zdało mi się w pysze mojej, że już wszystko widział. Teraz przyszedł na mnie sztych – nie miecza, nie szpady, nie topora, nie noża...
- Nic cię nie rozumiem... – mruknął Olbromski.
- Mało mam czasu. Wiedz, że albo musisz uchodzić co tchu za granicę, albo przygotuj się na porwanie lada dzień.
- Taka to wieść... – westchnął Rafał.
- Lecz przed jakąkolwiek twoją decyzją ja cię jeszcze chciałem wziąć w służbę dzieła. Cóż postanowisz?
- Olbromski powiódł dłońmi po obrzęklej z nagła twarzy, do której krew napłynęła, po nabrzmiąłych jak strąki żyłach skroni. Pokaszując, rzekł z wolna:
- Za granicę... w każdym razie... nie, nie ujdę. Dokądże to mam iść? Tu mam oto... dom...
- Po chwili w zamyśleniu bezdźwięcznie poruszył wargami, Machnicki posłyszał to nie wypowiedziane słowo:
- Hub...
- Mówił, przeczekawszy chwilę:
- Ty jesteś jeden, tyś tylko jeszcze został na wolności z dawnego braterstwa mularskiego. Reszta w więzieniu albo w rozproszeniu. Musisz, zanim cię wezmą, to znaczy jutro rano,jechać w drogę aż na Wołyń i przestrzec całe Narodowe Patriotyczne Towarzystwo, jeżeli jeszcze jest na wolności tamten odłam.
- Jutro rano? – pytał Olbromski z twardym posłuszeństwem.
- Sam widzisz. Jeżeli utworzyli nowe związki, niechże je od siebie co tchu odetną, wyznaczyszy zarząd. Niech papiery palą, nici przecinają i czekają na uwięzienie. Sam wszystko, co tylko masz pisanego u siebie, masz zaraz zniszczyć. Ja ci pomogę.
- Niewiele tu mam. Wszystkie papiery trzymam zakopane w pewnej skrzynce, w ogrodzie.
- A nikt nie widział miejsca?
- Nikt. To jest... Nikt prócz tego starego sługi. Machnicki roześmiał się szyderczo.

- Ten człowiek nie powie... – zauważył Olbromski.
- Nie ma takiego, który by nie powiedział.
- Ten człowiek...
- Jeżeli wydał tamten, on – posłuchaj – brat... „Likurg”.
- Likurg... – wyszeptał Olbromski cofając się z przerażeniem.

Machnicki siedział z głową podpartą na ręce. Twarz jego stawała się sztywna, niemiłosierna, wreszcie sroga aż do okrucieństwa. Począł mówić:

– Nie wierz nikomu! Nie wierz nawet sobie, bo możesz popaść w obłąd – i w obłądnie wydać. Ażeby być panem swego umysłu i nawet w obłądnie nie wydać, trzeba w swój umysł za dnia i w nocy wbijać jedno jakoweś hasło, które by przetrwało wszystko, sam rozum, a nawet śmierć.

Rafał nachylił się i słuchał, gdy tamten mówił.

– Dla mnie takim hasłem było zdanie, które mówiłem i pisałem na wszystkie pytania dawane mi ustnie i na piśmie przez dwa lata.

– Jakież to zdanie?

– „Albo wiem i nie chcę powiedzieć, albo nie wiem i w takim razie nie mogę powiedzieć”. Idź teraz sam do ogrodu, wykop swą skrzynkę i przynieś tutaj.

Olbromski namyślał się.

– Wstań i wykonaj, com powiedział! – rzekł gość. Gospodarz podniósł się ociężale, wyszedł do izby, gdzie spał Hub, i długo tam czegoś szukał. Zamykał i otwierał szafy, przesuwał wewnątrz kufrów. Wreszcie wyszedł niosąc w ręku małą siekierkę i gracę na długim stylisku. Nie rzekłszy słowa wyszedł z pokoju.

W domu nastała cisza. Wiatr wzdychał u węglów i huczał na poddaszu. Machnicki siedział z głową podpartą na ręku, zatopiony w myślach. Z wolna jego twarz stawała się mniej sztywną, łagodniała. Powiódł oczyma po bielonych ścianach dworu, po starych-prastarych meblach, dawnych sprzętach, po wizerunkach marszałków napoleońskich wiszących tam i sam, po szerniałych podobiznach Kościuszki i księcia Józefa... Wstał z miejsca i więziennym obyczajem, wskutek odruchu nieświadomości, począł na palcach chodzić z kąta w kąt izby gościnniej. Od ruchu jego postaci płomienie świec chwiały się w różne strony, a cień wałęsał się po ścianach, powale i kątach.

W jednej chwili, dla samego siebie niespodzianie, ujął w rękę świecę i tak samo na palcach, cichaczem wszedł do sypialni sąsiedniej. Przysłonił dłonią płomień i patrzył na uśpionego chłopczyka. Hub chrapał, w twardym śnie pogrążony. Ręce jego były rozrzucone, bezwładna głowa wbiła się w głębinę poduszki. Pod zwichrzoną czupryną widać było czoło białe jak płatek śnieżystej róży. Policzki i uszy były pąsowe, tryskające zdrowiem. Rozchylone usta przypominały pąk kwiatu, co się pod słońcem rozwija. Nocny gość oparł się piersiami o krawędź łóżka i przypatrywał się śpiącemu dziecku. Myśli jego stawały się radosne, piękne, pełne świętego uniesienia jak ten uśpiony cud życia – płynęły przez duszę jak sen na jawie. Ominęły wszelkie kryjówki żalu, skrytości mściwych wyrzutów, odeszły – odeszły ode złego i stały się czyste. Ukochane oczy kobiece, słodycz głosu, rozkosz marzenia – wszystko szczęście było nisko, daleko... Myśl się wzniosła nad niziną opuszczoną jak gdyby anioł wszystko widzący. Lecz nagle wicher nieubłagany uderzył w jej skrzydła, wyłamał je ku dołowi, zwichrzył i potargał. Patrzając na uśpionego chłopca gość myślał:

„Przyszedłem, żeby ci zabrać ojca... Mój mały, mój mały!... Kiedyż ja ci go zwrócę? Czy ci go zwrócę?”

Wpatrzył się uparcie, pilnie, przenikliwie, jakby chciał zobaczyć oczyma sny tej małej istoty, a może przyszłe życie człowieka, który z niej wyrośnie. Skupił w jedno wszystkie siły swej duszy i błogosławił temu dalekiemu życiu.

Dał się słyszeć szczeł kłamki. Rafał Olbromski wracał zaśnieżony, ze skostniałymi rękami. Niósł skrzynkę okutą blachą. Postawił ją na stole i siekierką podważył wieko. Zagrzawszy

nad ogniem ręce, wyjmował stare druki i pisma. Wszystko, cokolwiek tyczyło się Wielkiego Wschodu Narodowego, Wolnomularstwa Narodowego, dawne okólniki kapituły i listy z poszczególnych łóż, wszelkie papiery pochodzące od komisji naczelnej Towarzystwa Patriotycznego odkładał pośpiesznie na bok. Machnicki zbliżył się i obadwaj przeglądali nawet listy prywatne, rachunki i rejestry.

Jeżeli znaleźli cokolwiek niebezpiecznego, odkładali na stronę. Gdy cała szkatułka zbadana została do samego dna, Olbromski przejrzał jeszcze swe papiery najbardziej osobiste i część z nich znowu włożył do wnętrza. Wszystkie inne papiery zanieśli obadwaj do komina, który się wysuwał aż na środek izby. Gospodarz wydobył z popieliska rozżarzone węgle drzewa i podłożył je pod papiery. Buchnął wnet płomień i pożarł wszystko. Patrzyli obadwaj w posepnym milczeniu na płomień, dopóki nie zamienił tego stosu na górkę fioletowej perzyny, po której złote iskry błądziły. Wówczas zabito znowu skrzynkę i Olbromski miał ją odnieść na dawne miejsce w ogrodzie. Przed wyjściem odezwał się:

– Czemuś to kazał spalić? Szkoda mi! Miałby być chłopiec po mnie pamiątkę, gdy dorosnie. I tak by jej nikt nie znalazł, bo Michcik, ten sługa, który o skrzynce wiedział, skonałby pod kijami, a nie wydał miejsca, gdzie skrzynka leżała...

– Wydałby czy nie, tego nie wiesz. Skoro jeden człowiek wiedział, należało zniszczyć. Nie miałeś prawa trzymać tych papierów. Amatorowie bazgranin! Niech syn twój żyje sam, nie w historii ojca myślami się wałęsa. Odnieś skrzynkę i zakop w innym miejscu!

Rafał wyszedł. Machnicki wziął krzesło i usiadł przed kominem, gdyż świece już dogasały. Myśli tego człowieka stały się teraz zaćmione cierpieniem. Użał się przed tą tlejącą perzyną, która strawiła owoc tyłu wysiłków, prac i uniesień w dziedzinie idei – że nie ma sam kąta, domu, noclegu, schronienia w ojczyźnie, lecz jest poszturhańcem pana, własnością na postronku, którą kara pędzi z miejsca na miejsce. Uczuł, że nie tylko sam jest taki, lecz nadto musi wydierać dom i schronienie tym najlepszym, którzy je jeszcze posiadają, a nie wydierać nie może. Wspominał na pogastych śmiercią samobójczą w więzieniu, mocnych i niepokornych, dębowe pnie zrębu ojczyzny, Dobrzyckiego i Koszuckiego – przeliczył w pamięci słabych i struchlałych, podłych, nikczemników i łotrów. Równy oddech śpiącego dziecka, który słyhać było z sąsiedniej izby, popychać się zdawał jego myśli wyżej i dalej. Moc niewiadoma rozpętywała się w nim. Poczuł w sobie znowu dawną, tylekroć przetrąconą siłę, rozkosz i przekleństwo swej duszy. Rozeznał ją w sobie, harpię woli, potężne swe zdrowie, które jak kość w goleni było żelaznym drągiem przełamane. Patrzył znowu na jawie w dobro zamknięte w mózgu, w pomysły i formy doskonałości obrobione aż do najdrobniejszych szczegółów – w przeciągu samotnych lat nauki i doświadczenia, na wojnie i w pokoju, w słońcu swobody i czasu mroków więzienia zważone i zmierzone – jak stały się śmieciem zagłady.

Rozumiał, że się w nim rozpała przygasły więzienny gniew, że poczyna kipieć jak lawa w wulkanie. Znał go, ten straszliwy, niewidzialny, skryty i niemy, bezdenny gniew, który siłą woli w ciągu lat ścisłała i skupiała w szczelinach szaleństwa duszy. Wiedział, że z jego tajników wybucha piorun, nad którego strzeleniem nie panuje rozkazanie umysłu, i że nieopisany grzmot rozpaczy wstrząsa wtedy posady rozumu. Uzbroidł się przeciwko sobie i zdusił wszelkie uniesienie. Wola wyniosła się ponad wszystko i stała znowu zimna, spokojna i przemałdrzała. Myśl wróciła z przepaści na ścieżki wykute w skałach, wyżłobione w kamieniu bezsensną ducha robotą.

Świece zgasły. Gdy Olbromski powrócił, wyszukał świece nowe i zapalił. Wówczas znowu zasiedli przy stole. Machnicki zaczął dyktować marszrutę podróży. Olbromski miał jechać niezwłocznie, nazajutrz, miał jechać wciąż, nigdzie się dłużej nie zatrzymując, na Opatów, Zawichost, Lublin. Miał się następnie udać w „obwód” wołyński, podolski i kijowski, dotrzeć do Związku Templariuszów, zobaczyć wskazanych ludzi.

Późno w nocy skończona została narada, gospodarz przyniósł pościel. Gość położył się w pierwszym pokoju na sofie. Nim usnął, słyszał, że Olbromski chodzi z latarnią po domu, zbiera i składa rzeczy, otwiera i zamyka szafy, kufry, skrzynie, znosi skądś stare skórzane wojskowe juki i tłumoki.

Był jeszcze zupełny mrok, gdy go obudziło trzaskanie ognia. Wysoki, chudy i żyłasty chłop znosił naręcza ośnieżonego drzewa i kładł je do komina. Śliczny ogień buzował w czeluści głębokiej i strzelał na izbę iskrami. Machnicki przypatrywał się palaczowi zakrywając swą twarz i udając, że jeszcze drzemie. Chłop był w krótkim do kolan kozuchu i w grubych juchtowych butach. Z jego wyprostowanej figury i sprawnych ruchów znać było, że to dawny żołnierz. Oblicze jego było gładko wygolone, z pozostawieniem na górnej wardze krótko przyciętego wąsa. Włosy siwe były nisko przystrzyżone. Twarz i postać surowa. Palacz kładł polana w komin i klęcząc przed ogniem grzał od czasu do czasu zgrabiałe ręce. Po krótkim, lecz twardym śnie Machnicki doświadczył uczucia rozkoszy. Cieszyła go myśl, że jest z dala od więzień i miast. Podobał mu się ów człowiek, klęczący przed ogniem. Pomyślał:

„To jest pewnikiem ów Michta czy Michcik, «wierny sługa».”

W pewnej chwili wszedł do pokoju Olbromski. Sługa wstał z kolan i zwrócił się sprawnie twarzą do dziedzica. Olbromski dał mu znak, żeby mówić po cichu, wskazując postanie gościa. Machnicki słyszał rozmowę:

– Wyjeżdżam na polowanie w dalekie strony. Michcik podniósł brwi i bez zdumienia, lecz ciekawie patrzył w oczy pana. Blask ognia padał na jego twarz spokojną i rozumną.

– Zajmiesz się tu sam wszystkim. Bydłu w porę zadawać, ludzi w czas budzić, młocki z uwagą pilnować, omłot dobrze mierzyć, zamykać pilnie spichlerz, obory i stajnię.

– Długo to będzie onego polowania? – wykrztusił Michcik jękając się zajadle.

– Długo.

– Tydzień, dwa? – Zapewne dłużej.

– Niby jak?

– Cóż ci do tego? Tak będzie, jak ci mówię! Chłopca mi dzisiaj odwieziesz do szkół, oddasz w ręce tej pani, gdzie był przed świętami. Będiesz na niego baczył. Oka nie spuścisz. Gdybym zaś bardzo długo nie wracał...

– Jakoż długo?... – warknął Michcik.

– Może tak być, że i bardzo długo!... – zaperzył się szlachcic.

Stary żołnierz pokiwał głową.

– Twoja rzecz – ciągnął Olbromski – baczyć na chłopca. Gdybym, mówię, nad miarę długo, co już własnym rozumem zmiarkujesz, nie wracał, zaczniesz po kolei sprzedawać jałówki co młodsze, naprzód Latoszkę, Siwą, tę knapińską, a za stancję chłopca będziesz pilnie, na termin płacił, wszystko porządnie i za kwitami. Bieliznę mu co tydzień posyłać czystą przez umyślnego i co się da z pieczywa, wędliny, powidel, orzechów... Będziesz sam wiedział, co dać i ile. Gdyby zaś – słyszysz? – i owo zgoła nie starczyło gotówki, wyprowadzisz parę cugową, gniadego wałacha i Oskę, na jarmark i sprzedasz sam własnym rozumieniem. A przeciw mi, do kaduka! baczyć, żeby takich koni nie marnować!

Michcik pilnie panu w oczy patrząc przybladł. Wyprostował się jeszcze bardziej, ręce po sobie.

– Gniadego i Oskę na jarmarku sprzedać? – rzekł po długich wysiłkach, jakby chcąc wbić sobie w pamięć ten rozkaz niewiarygodny.

– Pieniądze schowasz w trzos, ten, com go na Moskwie miał. Ten ci zaś już dziś darowuję. Zważ, co za dar, i oceń! Wprost z jarmarku pojedziesz do miasta. Żeby cię zaś nie napadli gdzie pod Wygodą, skoro się zwiedzą. Toteż króćcie obie wziąć za pas, a w sekrecie, nie pokazać po sobie, że się broń ma. Za wszystko stricte płacić gotowym pieniądzem. Ubranie co wtorek opatrzysz mu własnym okiem, buty, koszule, majtki, czapkę, kurtkę, płaszcz wyczyścić, a jeśli dziury, zaraz naprawić. Jeżeli na nic – Zelika zaraz wołać i szyć z nowego sukna

za gotowy pieniądz. Napominać moim imieniem, żeby się dobrze uczył, sprawował. Pilnuj, doradź, naganiaj! Gdyby zaś, czego Boże broń! – zachorował, tam przy nim dzień i noc masz spać w podole, a pielęgnować! Jeżeliby kto krzywdził, srogo bronić. Żołnierską w nim duszę krzepić, twardość hartować po naszymu... Sam wiesz...

Michcik milczał, coraz bardziej w miarę przemowy znieruchomiały. Gdy Olbromski zamilkł i patrzył w ogień, sługa wyjąknął:

– Jakoż to?

– Dosyć!

– Czy się ta znowu, znowu... – zaniósło?

– O tym milczeć!

Ale stary nie milczał. Zapytał sekretnym sposobem:

– Z Niemcami, czy zaś z Moskwą?

– Kiedyś się dowiesz.

– Jakoż obcym powiadać?

– Na polowanie pojechał w dalekie lasy. Lada dzień wróci. A więcej nic nie wiadomo.

– Gniadego i Oskę na jarmark...

– Teraz idź mi obroki zasypać, a szcudrze, trzem parom. Jedna para pójdzie do miasta z tobą i małym – ta zaraz z południa. Druga, cugowa, kutymi saniami pójdzie w inną stronę, na odwieczerz. Trzecia pójdzie żółtymi saneczkami siwą fornalką. Ta ze mną, całkiem na noc. Idź mi sanie ładować! Wicek ze mną pojedzie. Ty do miasta. Stasiński kutymi saniami.

– A Stasiński w którą stronę?

– O tym milczeć.

Michcik wyszedł.

Skoro tylko drzwi się za nim zamknęły, Machnicki porwał się z posłania, umył i odział co prędzej. Już słaby brzask dnia zaglądał przez szyby zamrażone i do połowy okien grubo zasypane śniegiem. Gdy poczęli rozmawiać z gospodarzem domu, z sąsiedniego pokoju dał się słyszeć głos młodszego pana Olbromskiego. Junior wstawał z pośpiechem, wdziewał buty i ubranie. Ojciec począł mu w tym pomagać ze szczególną, iście koleżeńską pieczołowitością. Gwarzyli o czymś swoim, o snach, wczorajszym błędzeniu i przygodach tej nocy. Wnet mały licealista wyszedł do pierwszego pokoju i w sposób przepisany szastną nogą w kierunku nieznanego gościa. Gość witał go z niewymowną serdecznością. Trzymał jego małą rękę w swej dłoni i nie mógł jej jakoś żadną miarą wypuścić. Przyglądał się a przyglądał jego twarzy. Mały był czerstwy i urodziwy, tęgi i zażywny. Włosy, zmoczone wodą, jeżyły się szcztokowało na jego głowie – wypucowana twarz miała kolor czerwonego jabłka.

Wnet wszedł Michcik niosąc imbryki i farfury zawierające kawę i śmietankę na starej tacy. Wszyscy trzej zasiedli do śniadania. Rafał Olbromski pił i jadł ociężale. Myśli jego przerzywały się przez istny chaos, nawał i ogrom wzruszeń. Wszystko spadło nań nagle w ciągu tej jednej nocy. Toteż zgoła nie mógł mówić, pochłonięty przez zwichrzone myśli. Hub przypartywał się gościowi spod oka. Mierzył go, oglądał, spuszczał oczy i znowu wracał do badań.

Machnicki szybko załatwił się ze śniadaniem i zapragnął wyjrzeć na świat, zwłaszcza że dzień się już zrobił zupełny. Prosił jednak o umożliwienie mu wyjścia w sposób taki, żeby go najmniej ludzi widziało. Wobec tego, że Rafał Olbromski był nadzwyczaj zajęty, Hub podjął się przewodnictwa po Wyrwach.

Ruszyli tedy przez boczne drzwi. Zamieć zimowa już ustała – choć podmuchy wiatru jeszcze od czasu do czasu przeciągały. Wówczas z czubów i przełęcz zasp dymiły się lotne, ła-two zwiewne pyły śniegowe. Słońce weszło za lasami, za borami i błękitna jasność niewysłowionego wdzięku napełniała wszystek przestwór. Powietrze było przeczyste, nieskalane. Dalekie góry i ciemne lasy były ośnieżone do cna, pokryte jasną oponą. Po nocnym huku ranna cichość miała w sobie wartość niewymownego ukojenia. Zaspy były tak wielkie i tak mon-strualnych postaci, że te ich kształty wskazywały dowodnie, jak potężna była nocna burza. Od

wielkiego modrzewia, którego śliczna postać o kolorze delikatnej rdzy rzucała się w oczy po wyjściu za drzwi domu, zwisały z gałęzi i łączyły się z ziemią chusty śniegowe tak cienkie i zaopatrzone w strzępy i zęby, że były namacalnym obrazem polotności i zadymki. – Wszystkie gałęzie drzew i drzewek pouginały się pod ciężarem czystego puchu. Na płotach i po sztachetach snuł się wełnisty baranek białopuchy. Ostrza balas powdzywały ogromne i czubate czapy. W dali zagaja, krzaki, chrusty znikły pod jednolitą śniadobiałą powłoką.

Machnicki ujął swego towarzysza za rękę i zeszedł z nim w śniegi. Brodzili w nadobnym, zwiewnym puchu ciesząc się na równi każdym obrazem i każdym szelestem. Nikogo nie było w ogrodzie i pozapłociu dworskiego obejścia, nikogo w polu i na horyzoncie. Gościniec zadęło krzyżowymi sąsiekami zasp – ścieżki poznikały, furtki ogrodowe ledwo było widać. Poszli tedy przez tę, która była przed burzą otwarta, a teraz miała zaspę wysoką na wrotni. Śmiały się do przechodniów ogrodowe drzewka, niedawno posadzone, w swych słomianych chochołach z plecionej kłóci. Nagimi prętami kiwały dwie stare wierzby pod płotem, rzucając tym ruchem w serce małego Huba mętą boleść nie do zniesienia.

Tam to, niżej, obok ścieżki wysadzonej agrestowymi i porzeczkowymi krzewy, których tylko najwyższe czubki wyglądały ku słońcu, tuliły się pomiędzy sobą i gile i szczygły, mocno cienkimi łapkami obejmując zimne pręty. Pędy porzeczkowe zwisały ku ziemi pod ciężarem szczyglim, a puch śniegowy sypał się spod nastroszonych podgardzieli i brzusków. Szczygły przekrzywiały głowy i wypukłymi oczyma przyglądały się intruzom, powierzając sobie o nich jakieś krytyczne uwagi. Młodszego intruza znały dobrze, gdyż sypał im zawsze siemię lniane. Dziś nie przynosił siemienia, toteż gile i szczygły poczęły uskarżać się na niego swą niepojętą a nieprzychylną dnia tego gwarą proletariacką. Gdy się zbliżał, coś w ich stronę pokrzykując w swej gwarze chłopczyńskiej, zrywały się z miejsca, nie tyle – z przestachu, ile z chwalebnej przezorności. Siadały wnet na różgach sąsiedniej krzewiny, żywo dyskutując o całym zajściu, nie bez gestykulacji ogonkami. Czerwone gile sfruwały również ze swych stanowisk, lecz jeszcze bardziej ociążały niż pobratymcy. – Świergot szczygli był po swojemu radosny, ale jego natarczywość świadczyła o wielkim apetycie. Ptaszki przekrzywiały główki, a dzioby ich, osadzone jak gdyby w czerwonych piastach, skrzydełka muskane jasnożółtymi smużkami tworzyły w białości powszechnej prześliczne zabarwienie. Podmuchy wiatru podwiewały ich wzorzyste sukienki, na które – tak się widzom zdawało – zorza niewidoczna spłynęła pierwiej niż na błękit i białość śniegów.

Hub przeprosił gościa, dość co prawda niezrozumiale – że go na chwilę opuści. Pobiegł, śnieg na wsze strony rozpryskując, i wkrótce wrócił z sakwą uczynioną z worka, jakiego się używa do wyciskania sera. Na widok tej sakwy wszczął się niemały rozruch, tumult i gwałt w społeczeństwie szczyglim i gilim – świadczący o dobrych stosunkach potomka rodu Olbromskich z wymienionymi zespołami ptasimi za tych odległych czasów, które tu przyszło nam opisywać. Hub rozwiązał swą sakwę z powagą, uroczyście i wśród pewnego rodzaju perory. Powtórzyć dosłownie tę przemowę stanowiłoby po upływie tylu lat, w tej chwili, trudność nie do przewyciężenia, toteż ją, jako szczegół mniej ważny, opuszczamy. Udeptał następnie obcasami i podeszwami w punkcie, którego topografię znał, oczywiście, lepiej niż jego milczący towarzysz, pewien rodzaj klepiska. Śnieg nie stawiał oporu, poddawał się łatwo podeszwom i obcasom, zwłaszcza że Hub wykonywał pracę podstępnie, żywo a jakby w p r y s i u d y. Ruchy jego niespodziane zlewały się w jakiś taniec, który należałoby nazwać ptasim. Machnicki pomagał w przedsięwzięciu swymi wojskowymi butami, ale na krańcach tylko terenu i nieśmiało, gdyż nie był świadom ani właściwej metody p r y s i u d ó w, jakie w danym przypadku czynić należało w tych obcych dlań krajach, a nadto wątpił, czy jego inicjatywa dobrze będzie widziana i przyjęta. Miejsce dobrze ubite zajaśniało równą powierzchnią w zagłębiu i Hub wyłożył pierwszą emisję ziarna w tym Prytaneum.

Zarówno szczygły, jak gile rzuciły się na plac z ordynarnym zapalem, wydając okrzyki częstotliwe, świadczące o niezmiernej smakowitości konopnego siemienia. Wielkie, szybkie i

zaciekle powstało zajadanie, nie przepuszczające ani jednemu ziarnku. Aliści z dalekich stron, od czarnego młyna i wielkich olch, nadleciały istne tabuny wróbli. Czarniawa tego pospólstwa obsiadła czuby płotu-pleciaka okalającego ogród, rozmiotła na wsze strony mnóstwo pyłu śniegowego i ze swarem rzuciła się na resztki pastwy. Hub jako samowładny, ale oświecony władca rzucił między te szare skrzydełka, czerwone podgardla i nakrapiane brzuszki nowe garście, jedne i drugą. Ale dobroczynność despotów, choćby i najbardziej oświeconych, szybko się wyczerpuje, zwłaszcza jeśli w worku braknie naprawdę siemienia. Hub wysypał wszystko, co było, do ostatniego ziarenka, przewrócił worek na nice i wewnętrzny spiczasty róg okazał zgromadzeniu... Ale ani zawiązanie worka w węzeł, ani inne prawdę głoszące gesty nie wywarły dobrego wrażenia. Przeciwnie, wszystko przyjęte zostało z oziębłą nieufnością, a nawet z niedowierzająco-drwiącym szczebiotem – jak to bywa u zgłodniałego tłumu.

Hub odszedł z tego miejsca ptasiej żarłoczni niosąc pod pachą worek, a w sobie poczucie spełnionego obowiązku. Niósł jeszcze coś, z czym wydać się nie chciał przed nieznanym panem: żal za gilami, żal za szczygłami, których barwy wielorakie wiły mu się pod powiekami, tworząc zaiste czerwone i żółte łzy.

Biegł tedy w dół ogrodu po zadętych ścieżkach, pełnych teraz takiego wdzięku, jakiego nigdy nie widział na ziemi – chyba w snach, które się czasem śnią w dzieciństwie. Na dole obadwaj z Machnickim rozgarnęli nogami zwiewną zaspę, która zajmowała otwór furtki, i wyszli nad staw rozciągający się tuż pod płotem ogrodu. Teraz nie było go wcale widać. O jego istnieniu świadczyła tylko nadzwyczajnie równa powierzchnia i dwie ciemne przereble obłożone wokół grubymi bryłami wydobytego lodu. Na prawo był młyn czarny, ogromny, posępny, skryty za pogródkami i groblą. Nawisły jego dach siedział na tak niskim kadłubie, utopionym zresztą w zaspach, że się wydawało, jakoby stał wprost na ziemi. Okap tego dachu, spoidła pogródek, przecznice koła wodnego obwieszane były teraz mnóstwem najcudniejszych sopli lodowych. Wśród ich lśnienia, migotań, niewymownie delikatnych barw obracało się powoli tajemnicze, wielkie czarne koło – doskonały i potężny obraz wiecznego nawrotu pracy wioskowej, przetwarzania się jej bez końca, i tożsamości, która wciąż idzie tam, skąd wyszła – piękna podobizna i wyraz życia wsi, wiecznego postępu i wiecznego stania w miejscu. Na końcu stawu złociły się takroczone trzciny, których przydęte kity uwydatniało ranne słońce.

Tuż za pogródkami był na grobli wzgórek, stanowiący, widać, odwieczną, naturalną ostoję, w którą z dwu stron grobla wrosła, zatamowując bieg strumieni. Ten wzgórek obrośnięty był wielkimi olchami. Wśród grubych pniów, ze strony burzy ośnieżonych srebrzyście, stała drewniana figura jakiegoś świętka. Hub nazwał go przed Machnickim świętym Janem. Kloc ten z drzewa, rzeźbiony prostacką ręką snycerza, był już zmurszały i popękany. Śniegi go teraz zadęły do połowy, na ramiona i na piersi wdziały mu nową, przezrystą komżę, na głowę mitrę tajemniczego kształtu. Machnicki zbliżył się do figury i tam przystanął. Hub na widok lodu i ślizgawki, prawdę powiedziawszy, zapomniał o gościu i obowiązkach przewodnika. Rozpędzał się siarczyście po gładkim śniegu i ślizgał daleko w wyszorowanej podeszwami czarnej smudze szczerzego lodu. Gdy biegł, lód dźwięczał pod jego obcasami. Buzia chłopca zaczerwieniła się jak rumiane jabłuszko...

Machnicki stał śród olch, na wzgórkach, patrząc się pilnie w ów świat przed oczyma roztozony, tak nieopisanie piękny – i w postać wyrzeźbioną z drzewa. O czymś swoim, najbardziej własnym, czym z nikim na ziemi nie byłby się w stanie podzielić, o duchu swoim wewnętrznym rozmawiał z biednym świętkiem wioskowym. Był to bowiem jakby obraz widomy jego własnej mocy, która jest bardziej wieczna niż świat, i niedoli bardziej głębokiej niż słabość kunsztu snycerza, który wykonał to dzieło. Zdało mu się widzieć na spękanej drzewnej twarzy pod zasnućm śniegowym uśmiech szczęścia, który jego własne serce przenikał, zapalenie się duszy ku świętości. Myśli jego stały się niejasne i nie dające się wytłumaczyć na mowę. Rozgorzałymi oczyma patrzył na ten obraz świętej woli, która przecie nie zginęła i

ostała się w ludzkiej pamięci, na tę pamiątkę jakowegoś męczeństwa, które serca ludzkie na wieki wchłonęły. Śnieg omotał ten symbol świętości swymi zasłonami i wdział nań swoją powłokę, przypominającą jakoby wizerunek samego wichru utrwalony w materiale. Ten śnieg przywołał przed oczy duszy potęgę wichru, lecącego w ludzkim sercu nad jego nieudolną świętością.

Przychodzień skarżył się świętemu, jak nie może przenijaką miarą dać sobie rady z zewnętrzną przemocą świata i jak nie może dać sobie rady ze złamaniami, szczerbami i pęknięciami swej duszy. Wskazał oczami na młyńskie koło, obraz pracy świętego polskiego ludu, który tyle wycierpiał, a nijak nie może wyjść na swoje. Wyjawiał, że o męce tego ludu nie może przenigdy zapomnieć i że musi bronić dobra, które jest w nim zawarte, martwe, skazane na to, żeby bezpłodnie marniało. Wzdychał z głębin o tym, jak wola duszy prawej targa się w Polsce bez ustanku tam i sam, niby serce dzwonu bijące wiekuiście w spiz przeszkody. Przeklinał, że nic, jeno głos skargi wypada z zamachów jego zacieklej mocy, z zawziętego wytrwania i z bezdennej boleści uderzeń. Wyznawał, że kto nie może złamać berła mocy krótkim narzędziem woli i kto nie może poradzić swej duszy, żeby się uległa jak pies u jakowegoś proga czekając na kość jałmużny, ten musi jak ów świętek zaiste zwrócić oczy w niebiosy i szukać w nich oczu współczujących i współwidzących.

Na nowo czuł w sercu wolność, której dotykalne wyobrażenie w długim więzieniu był stracił. Na nowo czuł w żyłach siłę i żądzę szczęścia. Pogarnęły się ku jego oczom wdzięczne lasy, daleko rozpostarte po wyniosłych górach – położyły się przed jego władczyim wzrokiem dalekie – dalekie rozpadliny, samotniska, pola, uwrocia i ugory jeszcze nie tknięte pługiem. Mówiły doń dzieje swego życia wąwozy zarosłe chrustami i zamiecione głęboką zawieją. Nawzajem on im rzucał jakoby ziarno nasienne wieść o wielkim pochodzie, o największym, jaki świat widział – za nic podjętym – o największym wodzu. Patrzył w marzeniu na zapomniane widziadło nieprzeliczonych wojsk idących przez nieprzebyte ruskie śniegi. Wielkie bitwy, marsze, bezprzykładne szarże, zwycięstwa, klęski – Dubienka, Uściług, Zamość...

Wspomniał na drugą wojnę, którą był moskiewskiemu mocarstwu wydał sam, kiedy on, niezwyciężony Napoleon, runął i znikł – na spisek przemądrzały i na straszliwą zdradę z braterskiego serca wyduszoną. Z uśmiechem zimnej a bezdennej radosnej rozkoszy spoglądał w jedyną pocieszycielkę po utracie wszystkiego, w myśl swą, w swoją formułę: „Albo rzecz, o którą jestem pytany, jest mi wiadomą, albo – nie. W pierwszym przypadku postanowiłem nic nie wyjawić – w drugim nic wyjawić nie mogę”. Spojrzył jeszcze raz a na nowo w tę myśl jakoby w głębinę nieskończonego długo szlifowanego kryształu i znalazł, że ta formuła jest w istocie matematycznie doskonałą. Była tak wytoczona z ducha, zdrowa, niepołomna i radosna jak obszar zimowy zasłany śniegami, jak czysty błękit niebieski i jak wschodzące zza gór niewidzialne słońce. Uśmiechnął się do tej myśli swej, pociechy jedynej, którą był wydrążył z nicości, z okrucieństwa doli, z hańby i uczynił syntezą matematyki ducha polskich ludzi, którzy na tej ziemi są i będą kiedykolwiek w boju, w walce, w męczarni upadku.

Hub wreszcie spostrzegł, że rola gospodarza inne nakłada obowiązki niż zażywanie ślizgawki w chwili, gdy gość nie wie, w którą stronę podążyć. Zbliżył się tedy z zawstydzeniem i wyjąknął, że grobla prowadzi na temten brzeg doliny. Machnicki chętnie poddał się woli swego przewodnika i szedł po jego małych śladach. Stąpali po przydętym lodzie, czarnym pod zewnętrzną powłoką. Hub się ośmielił. Opowiadał tedy o głębokości wód, szczególnie w zakręcie rzeczonym, gdzie nurt wpada do stawu – o kolosalnych kłodach rosochatych drzew, które leżą w tych głębiach – o wielkim szczupaku, zjadającym młode kaczęta, gdy się je nieopatrznie puści na wodę – o przywarach okoni łowionych na wędkę i o swych własnych przygodach podczas połowu linów w włocierze... Krążyli po tafli stawu gwarząc o sprawach żywota okolicy.

Wyszli na brzeg przeciwległy i puścili się w górę. Krzyż stojący między jałowcami wskazywał, w którą stronę dąży droga. Opłotki z żerdzi były teraz jak szkielet, na którym zawisła

urocza cielesność śniegowa. Jałowce z prawej i lewej strony, zaniezione do cna, przeistoczyły się w czarodziejstwo kształtów najfantastyczniejszych pod słońcem. Jaskinie i przejścia podspodnie, kopce i szczyty strzeliste, przedziwne doliny, kopuły i wnęki... Jakże się stało wesole! Oto z krzykiem porwały się stadem kwiczoły żerujące w zaciszu na jałowcowych gałęziach. Z dzwonnym pokrzykiem poniosły się w modrą dal. Został po nich w uchu dźwięczny klangor, a w oku lotny połysk. Na drzewie jarzębiny, widzialnym w odległości, jemioluchy ćwierkały, jakby trzęsąc się z zimna. Hub miotał się wśród zasp, opowiadając gościowi nie stworzone historie o jemioluchach i kwiczołach. Ale oto z nagłą zagadnął:

– A jegomość pan jest wojskowy?

– Nie, kochaneczku.

– A jegomość pan był wojskowy tak jak tatko?

– Byłem dawniej.

– A w jakich jegomości służył?

– Et... w różnych...

– To i na Moskwę jegomość chodził?

– Na Moskwę chodziłem.

– Razem z moim tatusiem?

– Niekoniecznie razem. Twój tatuś był jeździec, a ja piechur.

– To jakież jegomości jest – pan pułkownik czy pan kapitan?

– Tylko major.

– A kiedy tatuś, słyszałem, mówił do jegomości: „Kochany szefie”.

– Byłem swego czasu pomocnikiem szefa sztabu w dywizji jednej pod generałem nazwiskiem Kosiński, gdyśmy na Moskwę ciągnęli. Byłem także szefem batalionu. Dlatego tatuś nazywał mnie ze swej łaski „szefem”, bo u nas zawsze się tak do dawnych wojaków mówi: na kapitana – „majorze”, a na majora – „panie szefie”... Taki już zwyczaj.

Hub rozważał powzięte wiadomości w milczeniu. Po chwili z głębokim przekonaniem, choć grzecznie i głosem pełnym szacunku, oświadczył:

– Nie wiem, jak to można służyć w wojsku, być oficerem, a potem nie służyć. Ja bym tam wiecznie służył!

Machnicki jakoś zawstydział się. Mówił z upokorzeniem:

– Czasami takie jest położenie, że służyć niesposób...

– No, a dlaczego?

– Jakżeby ci to wytłumaczyć? Mały jeszcze jesteś, przyjacielu. Nie mogę ci tego jeszcze wyłożyć.

– Ja rozumiem...

– Widzisz... Honor nie pozwala.

– Jakież to jest ten „honor”, proszę jegomości? Tatko to samo mi mówił, że „honor” nie pozwalał służyć. Ale ja nie rozumiem wcale takiego honoru.

– Tak... Widzisz, dawniej naszym wodzem był wielki wojownik, Napoleon...

Hub wtulił głowę w ramiona, przycisnął się usłyszawszy to imię. Z zaiskrzonymi oczami szeptem spytał:

– A jegomości pan go widział?

– Widziałem, kochanku.

– Blisko? Jak? Tak samo jak tatuś?

– Tak samo. Nawet-em z nim rozmawiał...

– Jegomości pan?... A o czym? Kiedy?

– W izbie chłopskiej, daleko w Rosji... Mapa leżała na stole, w piecu ogień się palił, iskry strzelały. Daleko wrzała bitwa. Pogrom... Pokazywałem mu na mapie miejsca, tłumaczyłem rozmaite rzeczy. On się pytał...

Machnicki nie dokończył zdania i poszedł dalej. Hub pobiegł za nim wołając:

– Ale pan mi o tym honorze nie powiedział.

– O honorze... – mruknął Machnicki w zamyśleniu. – To trudne dla ciebie, mój bracie, to trudne. Za malutki jesteś, żebym ci miał takimi sprawami głowinę zaprztać.

– A kiedy ja rozumiem!

– Cóż ja z tobą mam począć? Dawniej był naszym wodzem wielki wojownik, Napoleon, a później został naszym wodzem nie wojownik, lecz mistrz na placu musztry. Ten wielki książę nie chciał w nas szanować nieszczęścia i nienawidził naszej czci.

– Czy to prawda, że ten wielki książę... ma nos mopsa, głos ropuchy, a rzęsy jeża?

Twarz Machnickiego stała się szara, posępna i surowa. Oczy jego zaciągnęła ciemność. Mówił do dziecka:

– Nie mów o tym nigdy głośno, do nikogo, nigdy! Naucz się milczeć! Nie powtórzysz tego słowa już nigdy?

– Nie powtórzę.

– Jeżeli mi przyrzekniesz, że już nigdy nie będziesz tego głośno mówił, powiem ci, co to znaczy honor.

– Będę milczał.

A więc... Byli oficerowie, co z Napoleonem odbyli pochody, bili się na Południu i na Północy w stu bitwach, i co sami bywali wodzami. A kiedy weszli do wojska polskiego pod wielkim księciem, musieli występować na paradach na równi z nowo zaciężnymi. Tych dawnych wojaków wódz naczelny nie lubił. Począł ich o byle frontowe przewinienie ponieważ, nieraz bardzo srogo. Był oficer Śląski, którego przed frontem skopał i skłuł ostrogą. Innych znieważył w taki sposób, że tylko krew mogła tę obelgę żołnierza zmazać. Tego nie bardzo rozumiesz, ale tak było. Wyzwać na pojedynek wielkiego księcia za, zniewagę nie mogli. Wystawić ojczyznę na zemstę za zabicie w uniesieniu, w pasji – nie ważyli się. Nie mogąc żadną miarą zmyć zniewagi ani żadną miarą nie mogąc jej na sobie przenieść, postanowili sami męczeńską śmiercią umierać. Skoro tedy wielki książę znowu sponiewierał na placu jednego oficera, ten podszedł do bariery, wyciągnął szpadę, rękojeść oparł o barierę i rzucił się na tę szpadę, aż go na wylot przeszła. Padł twarzą w piasek. Inni odbierali sobie życie pod pomnikiem króla Jana. Przed śmiercią pisali proste listy adresowane do przyszłych Polaków, tłumacząc, dlaczego giną. Tak zginął Wilczek, Wodziński, Biesiekierski, Nowicki, dwaj bracia Trembińscy, Herman. Wszyscy oficerowie batalionu pierwszego pułku strzelców pieszych postanowili zgładzić się dobrowolnie, odebrać sobie życie, gdy ich wielki książę niesprawiedliwie skarał. Chwila już na to była przeznaczona. Cofnęli wyrok swój na dobrowolną śmierć dopiero wówczas, gdy wielki książę cofnął rozkaz, który im uwłaczał. Pamiętaj ich nazwiska i raduj się, że byli na naszej ziemi, bo byli to ludzie waleczni, którzy honor wyżej cenili niż życie, którzy polski honor zasłonili tarczami i obmyli własną krwią. Wiesz teraz, co jest honor?

– Wiem.

W wyobraźni dziecięcej ukazał się oficer żywym krokiem biegnący do bariery na placu z obnażoną w rękę szpadą. Oczy ujrzały, jak ów odwraca nagłym ruchem szpadę, kieruje ją ku piersi i w milczeniu radosnym na ostrze się rzuca. Zdało się dziecku, że mu nad głową skrzydła szumią... Wzrok się rozognił i włosy spłonęły jakby od ognia.

– A wielki książę na to patrzył? – zapytał towarzysza.

Machnicki uśmiechnął się zjadliwie.

– Patrzył ze środka złotolitego sztabu. Ale w nim musiało serce zemdleć i drzeć jako liść od tego widoku. Patrzyły bataliony ustawione w czworoboki. Wtedy to jam wyszedł z wojska. A twój tatuś to samo.

Białe od słońca, iskrzący się tysiącem blasków, jasny dzień rozwidnił się nad przestworzem. Lśnienie srebrzystych lodów, sopli, przemarzłych kolein przecinało widownię w tysięcy kierunkach. Puchy zawisłe na prętach drzew i czubach krzaków, na żerdziach pło-

tów, po krzyżach i kiściach bylin poczęły osypywać się i dymić. Dolatywał skądś z dala radosny głos kwiczołów. Przemknęły jemiołuszki stadkiem barwistym z drzewa na drzewo. Machnicki i Hub szli w milczeniu ciesząc się niewysłowionym pięknem zimy.

Ale oto od strony dworu dało się słyszeć nawoływanie. Hub poznał głos ojca wzywający go do powrotu. Machnicki zawrócił. Gdy szli po własnych swych tropach wyciśniętych w tym najcudniejszym pustkowiu, więzień doznał głuchej odrazy na myśl, że ma wracać do ludzi. Serce jego stało się znowu święte i przeczyste jak te poranne nieskalane śniegi, niewinne jak dziecko, co się koło niego snuło. A przecież sam począł w nie sączyć jad mądrości, wysiedzianej w więzieniach, wyciśniętej ze swych starych, okrutnych i wstrętnych cierpień. Potwornymi wydały mu się nauki, które w serce dziecka sączył – nędznymi czyny, które w ten dom z dala widny przyniósł. – Lecz nade wszystko wstrętnymi wydali mu się ludzie. Każdy z nich, kogo tylko miał spotkać na swej drodze – był to brat – i każdy mógł go wydać, jak tamten „brat Likurg”. Nie wierzył już nikomu, wierzył jeszcze w siebie. Ale wiedział o sobie, że podlega tak samo jak inni chorobie niewiadomej i wszystkim lękom, zmorom, strachom, trwogom, upadkom i podłości, która z choroby się lęgnie. Wiedział, że co w nim jest wielkiego, to jest ze zdrowia – że wielkość ducha – to jest zdrowie. Toteż obejrzał się w przestrzeń zanieśioną zdrowiem niezmiernych śniegów i – żegnał je oczyma jakoby widok namacalny wielkości swej duszy.

Poszedł z chłopczykiem ku zabudowaniom dworskim. Minęli znowu staw, okrążyli gumno z drugiej strony i weszli na podwórze przejściem obok stodół – wprost do stajni. Kupa nawozu dymiała się tam w czystym powietrzu jak przyduszone ognisko. Hub wprowadził gościa do stajni ze znajomością drogi i pewnością kroku. Przeszli od razu do gródzy, w której przebywała Łyska. Zaledwie Hub zjawił się w stajni, z tej gródzy dało się słyszeć pochlebne, a raczej przedchlebne, rzenie. Kobyła wykręcała się na miejscu, ile na to pozwalała uździenica, i witała swego przyjaciela i dobroczyńcę. Była to ładna kasztanowata źrebica, ze strzałą na czole i białością w okolicy pęcín przednich nóg. Hub nie przyniósł jej wprawdzie chleba, ale za to mnóstwo karesów, pieszczotek, pozdrowień i pożegnań – miał ją bowiem dziś, za parę godzin, i to na tak długo, bo na całą zimę, opuścić. Machnicki przechadzając się z przyjemnością pomiędzy końmi, zaglądając im w zęby i lustrując nogi, spostrzegł od niechcienia, że Hub płacze, i to gorzko, przytulony do szyi Łyski. Dla niepoznaki major usunął się w dalszą część stajni i zajął się tam końskimi obserwacjami, lecz z goryczą widział, że mały nie opuszcza Łysinej gródzy.

Po długim, długim czasie Hub przeszedł do gródzy sąsiedniej i tam począł grubym i srogim głosem pokrzykiwać na konie cugowe i na karego ogiera szczególniejszym sposobem, który przypominał do złudzenia głos głównego furmana, Jacka Skowrona. Machnicki zbliżył się wtedy do Huba, czując, że żal już się może przesilił w małym sercu. Ale gdy stanął w pobliżu, spostrzegł, że łyzy kapią wciąż, sekretnie wprawdzie, ale im sekretniej, tym rzęsiściej.

Widząc, że sprawa źle stoi, ujął Huba pod rękę i począł mu gwałtownie a dziwnie pięknie opowiadać historię swego pięknego wierzchowca.

A historia była taka:

Był wierzchowiec arab, czarny jak noc, a zwał się „Wrony”. Chodził był pod panem swym, szefem batalionu, na wyprawę moskiewską, brnął przez dalekie śniegi i błota, przez rzeki i bezdroża. Niósł sławę i niósł niesławę. Rżał mężnie w boju i ratował życie w ciągu nocy odwrotu. Widział był tryumf i pogrom, wielkość i nędzę, przecierpiał wszystko zło, pokonał okropną moskiewską zimę, aż po wielkiej wyprawie i trudach najcięższych przyszedł pod panem swym w odwrocie do fortecy Zamościa. Zawarła się forteca, wojska rosyjskie obiegły Zamość. Cztery brygady artylerii rosyjskiej, każda po dwadzieścia dział, rzuciły kule i granaty do twierdzy. Ta twierdza miała żywność na trzy miesiące, a broniła się przez dziewięć miesięcy. Dwa tysiące żołnierzy umarło w lazarecie. Gdy nie starczyło chleba, czyniono wycieczki w okolicę pod ogniem nieprzyjacielskim, nie odpasując oręża zbierano zboże.

Wioski okoliczne zostały spalone. Lecz chleba nie starczyło. Wreszcie chleb całkiem ustał. Żołnierze dostawali połowę racji mięsa końskiego. Oficerowie żyli w nędzy, a konie swe oddawali na zabicie. Przyszła kolej na „Wronego”. Wyprowadzony został bojowy koń, dostojny biegun. Przyszedł doń pan na pożegnanie, ostatni raz pogładził jego bujną grzywę, ostatni raz zatopił w jego oczach pożegnalne spojrzenie. Za chwilę żołnierz przebił serce rumaka – w oczach pana. Patrzył pan spokojnie, jak rozbierano mięso towarzysza wiernego, nosiciela nadziei polskiej na niepodległość po moskiewskim rozłogu... A wkrótce nie stało koni i żołnierz począł wyjadać koty, później szczury, myszy, wrony...

Hub słuchał tej powieści, lecz w dalszym ciągu pochlipywał. Smutkiem przejmował go każdy widok i każdy sprzęt. Gdy wyszli na podwórze, ujrzał w wozowni Michcika ładującego sanie i serce mało nie pękło mu z żalu. To sanie do Kielc, którymi za parę godzin odjechać trzeba. Ze zwieszoną głową i ciemnością w oczach przyszedł w towarzystwie Machnickiego na ganek dworu i wszedł do pokoju. Rafał Olbromski siedział przy stoliku pod oknem i zatopiony był w swych rejestrach gospodarczych. Głośno rachował, pisał, coś dodawał i odejmował. Machnicki zasiadł w głębokim fotelu i podparłszy głowę rękami – popadł w zamyślenie.

W przeciwnym kącie sąsiedniego pokoju mieściła się wielka szafa jesionowa. Hub otworzył drzwi owej szafy, przyniósł jakąś drewnianą skrzynkę i w niej począł układać starannie uzdę na Łyskę. Uzdeczka była z żółtego surowca, misternie szyta przez nie lada majstra-rymarza. Wędzidła miała błyszczące, sprzączki mosiężne. Hub żegnał się z uzdeczką. Czyścił starannie wędzidła, polerował sprzączki – prostował i wygładzał rękami wodze... W sekrecie przed wszystkimi, tyłem zwrócony do światła – każdą cząsteczkę tej uzdy całował: naprzód wędzidło, później każdą sprzączkę, naszelniki i podpinki, wodze... Całość później starannie, czule wkładał do skrzyneczki, zawijał w jakieś papiery. Ale i już ułożone w schowaniu pieścił jeszcze rękoma. Nachylony nad skrytką z dłońmi zanurzonymi w rzemieniach trwał w niewymownym smutku.

Machnicki wstał ze swego miejsca, podszedł z tyłu i uderzył go lekko w ramię. Hub podniósł nań oczy pełne łez. Gość schylił się i podniósł go mimo protestu z ziemi. Pocałował go w usta i począł mówić do ucha jakieś nauki niewątpliwe czy pociechy, sekretne zaklęcia na najbardziej zabójczy smutek, na zupełny upadek duszy, na żal i najbardziej niezwalczoną boleść...

Niepostrzeżenie niby na skrzydłach jaskółki przeleciał czas południowy. Spożyto niewykwintny obiad. Zaraz po obiedzie zajechały przed ganek pierwsze sanie. Powoził Michcik, który miał odwieźć panicza do Kielc. Rafał Olbromski sam pakował rzeczy i bieliznę syna w kuferek drewniany. Układał wszystko pieczołowicie, po stokroć oglądając rzecz każdą. Dawał rady, nauki, napomnienia, rzucał krótkie pociechy i wesołe niby żarty, za którymi pełno było gorących łez... Wyniesiono kuferek i umieszczono na koźle obok Michcika. Włochate konie fornalskie dymiły się na zimnie i pokrywały się osędzielizną. Stary sługa Michcik siedział nieruchomo, wyprostowany na koźle, w kozuchu pokrytym szarym suknem wojskowym i w baraniej czapce przypominającej grenadierską bermycę. Hub po sekretnych płaczach zdobył się na odwagę i spokój. Uśmiechnął się nawet i żartował z Machnickim, gdy go sadowiono w siedzeniu i gdy ojciec otulał mu nogi kozuchem. Olbromski raz jeszcze przycisnął dziecko do serca – i kazał ruszać. Dzwonek zawieszony u dyszla zadźwięczał, kute sanie zaskrzypiały na chwytającym po odwilży przymrozku. Wnet sanie zjechały z pochyłości wzgórza.

Rafał Olbromski stał w ganku z odkrytą głową, rozmawiając usilnie z Machnickim. Gdy Michcik zjechał na brzeg rzeki od młyna pędzącej, którą się w bród przejeżdżał – i gdy się wziął na skos, ażeby z obmarzniętego lodowiska zjechać w wodę i na ukos z tamtej strony wydostać się, Olbromski głośno i długo o tym się rozwodził, że Michcik doskonale jeździ końmi, że poza wadami starości jest to bądź co bądź wypróbowany sługa... Zdawałoby się, że ktoś podsuwa wątpliwości co do zalet starego sługi, a on musi koniecznie udowodnić, że tak nie jest, jak mówią.

Za rzeką sanie szły z wolna pod górę. Dawał się słyszeć pożegnalny dźwięk dzwonka, bijący wolno– wolno – wolno...

Hub wstał w sankach, obrócił twarz w stronę domu, kłaniał się czapką nisko, długo, wielokrotnie. Oczy Rafała Olbromskiego zaczerwieniły się, twarz drgnęła...

Patrzył w milczeniu, szarpiąc wąsy, jak sanki wydobyły się na szerszą drogę, wjechały w ulicę wioski i to kryjąc się za chatami, to ukazując w przerwach pomykały w dal... Dzwonek słyhać było coraz rzadziej i dalej... Wreszcie doleciało ostatnie jego uderzenie... Ucichło... Rafał patrzył jeszcze na koniec wsi, ale już nic nie ujrzał. Machnicki spytał:

– Żona twoja dawno nie żyje?

– Pięć lat już... – odrzekł opryskliwie. Zapanowała chwila milczenia.

– No, bracie – rzekł Machnicki – na nas czas. Kiedy się i gdzie spotkamy?

– Czy się spotkamy?

Głos jego stał się twardy i rozkazujący:

– Bierz się w kupę! Do dzieła! Nie dla nas łzy! kobiety, dzieci!

POMYŁKI

POMYŁKI

Samotrzeć wyprawiamy się w kraje nieznane. Skręciliśmy z gościńca na ścieżkę, biegnącą poprzez ugór, na przełaj zagonami, i ginącą w łanie koniczyny. Dróżka nasza twarda jest jak chodnik wielkowiejski, lecz różni się od niego białością – przesadnie mówiąc – białością atlasu. Doprawdy jak wstążka zanurza się w bruzdy i łagodnie przewija poprzez krzyże zagonów. Gdy wpełzła w koniczynę, ledwie ją widać w wysokim poroście. Ciemne listki koniczyny, wysokiej pod kolano człowieka, pisane są białym klinowym pismem i hieroglifami, nieczytelnymi dla oczu niewtajemniczonych. Całe pole, jak okiem sięgnąć, pokrywają kule kwiecia koloru dojrzałej poziomki. Osy, pszczoły, bąki oraz inne brzęczące istoty poczytują ten łąk dworski za teren swojej ekspansji i mają na nim swe niepisane serwituty.

Puk z zapalem i tupetem rycerza z Manszy rzuca się w koniczynę, nurza się w niej z podpalaną swą głową i przystrzyżonym ogonem, coś tam zwalcza, sapiąc i kichając, na coś zawzięcie poluje wśród skoków i prysudów. Czasami na sprężystych swych nogach daje takie szczupaki w górę albo mknie na oślep z tak zawrotną szybkością, iż czyni po prostu wrażenie osoby podającej sromotnie tył przed osami³.

³ Puk liczy *detatis suae* wszystkiego dwa lata, lecz jest doświadczonym osobiście i obdarzonym dziedzicznie naszym starszym bratem w Darwinie. Urodził się w wiejskim domu z matki „Figi”, która zginęła gwałtowną, niemal samobójczą śmiercią wskutek nieposkromionego nałogu wyjadania zestarzałych kości ze śmietników. Ojciec Puka nie jest nikomu znany w tej okolicy ani z fizjonomii, ani z nazwiska. Nie można powiedzieć, żeby Figowicz opłakiwał śmierć matki. Przeciwnie – z istic bestialską obojętnością wyprawiał radosne skoki na jej świeżej mogile pod karłowatą jabłonką.

Życie jego obfitowało w tysiączne przygody. Wpisany niejako do kasty wyższego ratlerstwa za pośrednictwem obcięcia mu ogona, gminnie we wczesnym szczeniectwie zakręconego do góry – obcięcia, którego nieomylnie dokonał pewien doświadczony znawca hierarchii w świecie czworonogów wśród właściwego ceremoniału – Puk rósł w pobliżu misek, zasypiał, gdzie się tylko trafiło miękkie posłanie, tyjąc i nieświadomie pielęgnując ozdoby swego ciała. Z przyciętym ogonem było mu, że tak powiem, do twarzy. Oczy jego nabrały kawalerskiego wyrazu, profil wydłużył się w kształt najpiękniejszej z podobizn Anubisa, nogi, okolice uszu i piersi nasiąkły barwą jodyny, grzbiet pokryła szerść krótka, lśniąca, czarna jak najpiękniejszy aksamit. Arystokratycznie nerwowa drżączka, zwłaszcza na widok i od zapachu smażonej pieczeni, poczęła znamionować i uwydatniać jego pochodzenie. Nic dziwnego, że tak liczne i walne przymioty uczyniły z ruchliwego młokosa przedmiot pożądań w duszach zarówno mężczyzn, jak kobiet.

Dobiegłszy do krańców pola, z zapalem, godnym zaprawdę wyszydzenia, pędzi, żeby atakować przewidujące wrony, które zażywają na miedzach i przykopach gnuśnego spoczynku – ściga na drogach polotne pliszki i – o głupoto! – goni lekkoskrzydłe jaskółki. Zda się, iż to zapach koniczyny podnieca go i nosi po szerokiej niwie, iż zewnętrzne kolorowe kule popędzają do ruchu i wiru wewnętrzne kolorowe kule krwi w jego żyłach. Podobnie nas twardość kamienna ścieżki pociąga i porywa ku dalekiemu krańcowi. Dosiegamy wreszcie brzegu płaskowzgórza i urwistych jego odkosów, porośniętych gęstwiną zarośli, dżunglą nadwiślańską, pełną dębiny, głogów, tarek, jeżyny, leszczyn i rokicin, oplatanych lianami dzikiego chmielu. Wabi nas w głąb tych pachnących gajów melodyjny przyśpiew trznadla, który słowika od biedy udaje. W pół drogi zastanawia tutaj głos srokosza, wykuwający prostacką śpiewankę, tajnie pamiętną sekretów młodych lat człowieczych. Oto jest brzmienie zaopatrzone w magiczną moc przypominania najdawniejszych chwil dzieciństwa i uczuć tam zawartych, wzruszeń już nie naszych, już cudzych, już zeszyłych, już zmarłych, już pogrzebionych na wieki i spoczywających kędyś w przeszłości zatartej, zdeptanej, świętej pamięci dzieciństwa.

Pierwsze porwanie zdarzyło się nad morzem. Puk sprzątnięty został z dróg lądowych przez marynarzy półwojennego trawlera. Żeglował ponad głębinami Bałtyku w ciągu kilku nocy, poszukiwany, żalowany, a nawet oplakiwany przez pierwotnych wychowawców i opiekunów. Ale sława Puka była zbyt wielka, ażeby zbrodnia mogła się ukryć nawet na morzu. Rozeszła się głucha wieść, padło podejrzenie na statek, malejący w błękitach horyzontu, iż on to w kadłubie swym jeńca ukrywa i więzi bezprawnie. Mieliśmy okręt ów na oku.

Pewnej nocy groźny korab wojenny przyczał się w gdyńskiej zatoce w celu wyprania tamże koszul i gaci wilków morskich w falach, stanowiących kąpielisko warszawskiego, krakowskiego i lwowsko-poznańskiego pogłowia. Rankiem, uzbrojeni w słuszość naszej sprawy, wypłynęliśmy w nieustraszonej łodzi na wzburzone odmęty, dotarliśmy do pudła wyniosłej nawy i wywoławszy kapitana z jego kajuty na pokład zapytaliśmy z odpowiednim patosem, jakim prawem przetrzymuje w ciemnicy swego okrętu nieszczęsnego Puka. Kapitan, w obliczu całej swojej załogi popadłszy w publiczne drżenie łydek, głosem zmienionym nie do poznania oświadczył, iż przebywa, w istocie, na jego statku od paru dni jakiś obcy Puk. Dodał na swoje usprawiedliwienie, że jest to istota taka mała, wątła i trzęsąca się ze strachu, iż marynarze pozostający pod jego rozkazami czerpią z jego widoku i sposobu zachowania się powód do nieustannego porykiwania ze śmiechu. Zakrzyknęliśmy z dołu najgroźniej, jak tylko można sobie wyobrazić z żądaniem nazwania nam praw, które pozwalają na to, ażeby wolny pies był wtrącony w czeluście wędrownego statku. Odpowiedziano nam, iż tylekroć powołany Puk wałęsał się był samopas po drogach polskiego dostępu do morza, wobec czego porwany został przez marynarzy, którzy w bezmiarach swoich podróży i w bezkresach wypraw morskich z Gdyni do Pucka przepadają za istotami przypominającymi im daleki stracony łód, chatę rodzinną i zapach domowego ogniska. Zagrzmieliśmy wówczas najgroźniejszą, a zarazem najniebezpieczniejszą z inwektyw, odziewszy ją w retoryczną formę zapytania: – Czy zadanie marynarzy sławnego trawlera polega na wyłapywaniu min wybuchowych niemieckich w bezdrożach morza, czy też na wyłapywaniu psów polskich na drogach lądu?

Zdawało się wobec groźnej postawy marynarzy zgromadzonych na pokładzie, że nastąpi pierwsza bitwa morska w zatoce Gdyni. Skończyło się na wzgardliwym wydaniu nam więźnia. Gdy wywleczono z czeluści wyniosłej arki mizerną posturę naszego przyjaciela, był on na ciele i na duchu godny politowania i współczucia. Trząśł się bardziej niż kiedykolwiek, nie poznawał nikogo i ogłupiałymi oczyma wodził po morzu, tudzież po przyległym „korytarzu”. Dopiero w domu własna jego mięsna potrawka przywróciła mu przyrodzony rozum i naturalne, lekkomyślne uczucia.

Na stałym lądzie uprowadziła Puka w niewolę pewna dama. W niewoli tej pozostawał w ciągu trzech miesięcy, odżałowany już jako tęskne i żalosne wspomnienie, jako *merum nomen sine re*, przechodzące do dziedziny mdłych dźwięków. Przypadek zrządził, iż z tej niewoli nie tyle babilońskiej, ile skolimowskiej wrócił do rodzinnego domu i na micierzyste podwórze wśród skoków i skowyczeń radosnych, które świadczyły o niezgłębionym zasobie jego przywiązania do miejsca i ludzi. Powrotowi temu towarzyszyły liczne awantury oraz wymiana not werbalnych tak dalece nieparlamentarnych, iż żadna z nich żadną miarą nie może być w tym życiorysie uprzytomniona i przytoczona.

Nawiasem mówiąc, pamięć Puka o pierwszych jego wychowawcach, czyli w znaczeniu przestarzałym i społecznie-konserwatywnym: właścicielach – jest niedościgniętym wzorem, szczytem tego uczucia. Jego smutek i żal, gdy nadchodzi odjazd, jest niezmierny. Rozumem o nieznaną nam potędze i wymiarze, przeczcuciem o niewiadomej nam wartości przewiduje on długość swojej tęsknoty. Puk rozpacza na widok pakowania rzeczy. Głęboka rozterka przelewa się i błyska w jego oczach, a niepokój dosięga niewiarygodnych granic. Trudno dać temu wiare, a przecież tak jest – Puk płacze z żalu. Natomiast uczucie jego radości w chwilach powitania, po paru miesiącach rozłąki, wyładowuje się w skokach iście obłąkanych, w szczekaniu na całą okolice, w biegach fiksackich dookoła domu, a także w poprzek i wzdłuż wszelkich kwietników, po trawach i krzewach.

Ów głos małego ptaszka odchyła zasłonę ciemną, błonę narosłą na źrenicach. Przez chwilę widać znów rodzinny dom, staw w zielonych szuwarach. Pachną nie istniejące już olszyny, szeleszczą liście drzew, których już nie ma... Śpiewaj jeszcze przez jedną maleńką chwilę, ptaszeczku leśny, o domu, rzece i zaroślach dzieciństwa... Lecz swojski wieszczek bugajów, strwożony pewnie naszym przyjściem i widokiem, przerywa jasnowidzącą piosenkę. Daremnie na nią wyczekiwać. Idziemy dalej.

Oto z zarośli okrywających spadzistość wywija się droga zniżająca się w zakosy. Zawie-rzywszy jej zstępujemy niżej i trafiamy na olbrzymią aleję, co zmierza na kraj świata, kędyś ku Wiśle w wierzbach nadwodnych, kędyś ku łęgom zawisła, ku sinym lasom, polom, wsiom, białym miasteczkom i wysmukłym kościołom, które w dali zamglonej uśmiechają się swymi kolorami pod chmurnym niebem. Obejmujemy je oczyma, pamięcią, marzeniem. Nazwy senne, tylekroć pamiętne – Wawer, Ostrowek, Kępa Gliniecka, Dęba Wielkie... Jakieś dawne wy-razy, w których zawarta jest nieprzebrana radość, krzyk ponad tysiącem lat bytu plemiennego najbardziej uniesiony – polatują w falach ciepłego wietrzyka z tamtej zawisłej strony, lecą od tamtych kościelnych wież:

Z wiosennych kwiatów niech koronki wiją
Na laur żołnierzom dziewic naszych ręce.
Niechaj łzy starca i krzyki dziecięce
Błogosławieństwem w szczyty niebios biją,
Niech zagrzmia dzwony i organy szyją
Nadętą w hymny uderzą,
Sztandar nad każdą niech zabyśnie wieżą –
Moskal pod Wawrem pobity!

Niezmiernie nadwiślańskie topole o pniach rytych i rznionych szczelinami i szwami w ze-starzałej korze, pisanych szczerozłotem, brązem i miedzią, stoją o obudwu stronach drożyny, a zeszyły się tak i tak zbliżyły siostra do siostry, iż można od jednej do drugiej dostać rozłożo-nymi rękoma. Opancerzone grubością niezmierną jakoby karacenowych zbroić, nabite chro-pawymi guzami, które tam i sam rozrastają się w bulwy, narośle, jakieś bolaki, garby i sęki – pełne czarnych dziupli, z których głębi białe drzewo zeschnięte jak śnieg się łyska, te pnie, nieogarnione dla rozwartych barów pięci chłopa, rozwalają się wyżej w odnogi, siodła, widły, mnożą się w konary, w gałęzie, wici i pędy. W niektórych z tych śniatów sedno rozdarło się i miazga wnętrza próchnem się w trawy wysypała, a pusta czeluść otworem stoi, w której człowiek snadnie się ukryć może. Tymczasem od samej trawy biegną po tych starych pniach, czepiając się ich starej skóry i obrastając je wokół, rościochy, młode, tłustoliste, wiośniane witki, nowotne gałązki.

Jakoby na roli starej a żyznej czerpią swe soki i wylewają naokoło zapach topolowy.

Wiwilga, dobrze kędyś schowana w tej prastarej a zarazem wieczyście młodej topolowej puszczy, dopytuje się swym melodyjnym gędzioleniem, śpiewnym natręctwem – skądeśmy przyszli, po cośmy przyszli, czego tu chcemy? Pyta się po dziesięćkroć i po stokroć, natrząsa się z nas i wyśmiewa. Wypomina nam tamtą swą siostrę zabitą, o której śmierci spisane zo-stało podanie w *Popiołach*.

Pusto w tej alei.

Nikogo!

Nikt tu, zda się, nigdy nie był.

Dwukołowa, zaniechana droga różowieje daleko w zielonej murawie i urywa się za ostat-nim z drzew, jakby dosięgła końca świata. Murawa usiłuje zniweczyć ten wytwór ludzki, za-taćrać jego ślad, zarównoć, zagrzebać w sobie i w czasie. Gaje rozległe rozpościerają się na pochyłości płaskowzgórza, jak ramiona szerokie na krzyż przytwierdzone do topolowej alei.

Puk nie wie, kogo tu teraz ścigać, na kogo wyrzucić myśliwską pasję. Nieposkromionym naszczekiwaniami znieważa trznadłe siedzące wysoko – ciska się jak lew na wróble, skoro, na obraz ciężkich pacyn, zapadają w wysoką trawę – mężnie wskakuje w zarośla tarniny, nabijając się na kolce zdradzieckie, w pościgu za płoworudym, podśpiewującym drozdem. Ale lekkomyślny drozd, dawno może nie nagabywany w tym pustkowiu przez żarłocznych nieprzyjaciół, lekceważy napaść. Usadowiwszy się dosyć wysoko, podrwiwa sobie z zapałów Puka, z jego drapania ziemi pazurami i skoków w niebo – pogardliwie kiwa ogonkiem na rozwartą czelusć jego paszczy, a nawet – wstyd wyznać! – upuszcza na tak srodze uzębioną paszczkę materialny dowód swej ptasiej wyniosłości.

Skompromitowany wojownik odchodzi z tego miejsca swej hańby, wydając jeszcze jedno szczeknięcie, w którym najwyraźniej słychać dźwięk: „psiakrew!” – zarazem groźny i bezradny dowód niezadowolenia z porażki – zapewne od Sarmatów zasłyszany i przyswojony psiej mowie. Układa się na chwilę przy nogach swych „panów” i zniechęconą żrenicą mierzy wysokość i faunę wielkich topoli.

Jakże niezakłócona cisza panuje w tym odludziu! Człowiek sadził niegdyś te drzewa, lecz ich poniechał. Zapomniał o nich, zapomniał o prawie ostrza swojej siekiery, żadnej drzazgi i pniaka. Toteż wielkie topole stały się obrazem i wyrazem życia, rozrostu, swobody, spokoju, spoczynku, dobra. Nie przynosi tu człowiek swojego swaru, swych przekleństw, krzyków, jęków, śmiechów i śpiewek. Milczenie – zwierciadło Boga – panuje wszechwładnie w tej świątyni, bardziej strzelistej niż wzniosłej niż wszystkie gotyckie tury.

Otóż nie!

I tu przywłókł się człowiek.

Szary, wyprany z kolorów przez słoty, trud i biedę. Rude portki, wpuszczone w wyświechtane cholewy butów, rdzawy kubrak na grzbiecie, wytarty kaszkiet na płowych włosach. Wąsienka oblepiająca usta, jak kłak pakuł zwisłe nad brodą Bóg wie kiedy goloną, wykopcone dymem tytoniu, mają kolor polny, rolny, pylny – jak zeschnięta bita droga.

Pozdrowienie – odpowiedź. Powitanie wieskie i bezużyteczne gadu-gadu o tym, co oczy widzą a uszy słyszą – no – i o jedynym temacie wieskim, o jedle i napitku, o chlebie i słoninie, o nafcie i gorzałce, o cenach i kosztach. Kto w jesieni ziemię szturcha i kopie, gdy ona chce gnić i kisnąć – kto rusza jej niezłomną spoistość, gdy się zrasta w ugór – kto spycha wiecznie z miejsca jej ciężar straszliwy – wywraca z przemocą na nice jej potworną chęć spoczynku, na zawsze – nie ma czasu na postrzeganie piękności jak my, zza „zielonego stolika” przychodnie, którym dopiero wiosna oblicze ziemi odsłania. Ale – i cóż z tego? Nas piękność ponad wszystko uderza i zachwyca, więc o niej najchętniej mówimy. Mówimy, że przeducowna jest tutaj właśnie cisza, że to miejsce – to prawdziwy kościół boży dla milczenia, dla odosobnienia, dla pustki i odludzia.

Rzecz wieśniak:

– To teraz tak tu cicho. Ale było tu gwarno jak na jarmarku, może i lepiej jak na placu we Warszawie.

– Kiedy?

– Kiedy? A jak się tu goniły Moskale z Niemcami. Tu właśnie, w tej tu cichej alei bitwa była nad bitwami.

– W tej alei?

– Tu się dopadły. Z tamtej strony okopały się Moskale, a z tej szły Niemce. Bili się dniami, nocami. A że jednej nocy wyleciały z rowów i tu się w najkrwawszej bitwie szepiły.

– Widzieliście?

– Widziałem, jak się Niemce przewaliły przez Moskale. P r z y ś l i m y patrzeć. Sanitariusze z doktorami pędziły przodem. Zbierali ich tu, między tymi starymi topolami. Nas to

samo zagnali do roboty. To, mówię, leżeli jedni na drugich, Moskal na Niemcu, Niemiec na Moskalu – pokotem.

– Tu w tej alei?

– A rznęli się nie tylko bagnetem, ale i długimi nożami. Tak ta pogaśli, skłuci wraz, trzymając się za gardła jeden drugiego, z powbijanymi w piersi nożami. Tu właśnie, w tym „cichym” miejscu, w tym „kościel”.

Zepsuł nam chwilę ponurą bajką stary gaduła. Odszedł w swą stronę telepiąc z miejsca na miejsce stare nożyska, a niosąc między dojrzewające żyta swoją sklerozę, dojrzałą w pełni. Popchnął nam myśl i uczucia w nieznośną dziedzinę wojny.

Ach, więc to tutaj jest na naszej ziemi ta nieruchoma granica, ta linia prosta, gdzie się po wiekach zeszedli starzy kamraci – gdzie na się z rowów i skrytek tyłowiecznych wypadli poróżnieni przyjaciele! Ta to tajna aleja stała się kresą jedyną ich granicy na naszym rozgrodzonym polu! Tu się wreszcie poczęli rznąć nożami. Tu się wreszcie ścisnęli garściami za gardziele. Nóż zbójcecki w piersi zbójcecki pierwszy drugiemu, drugi – pierwszemu.

Tak!

Dobrze!

Tak niechaj będzie!

Nóż po rękojeść w piersi przyjaciela, przyjacielu! Za krzywdę tamtych, za powstańców pędzonych w Sybir daleki. Gniew straszliwy, zemsta boża tu ich przygnała między owe bezmowne drzewa. Tu im kazała wytaczać wzajem ze siebie krew. Niemiec Moskala, Moskal Niemca – oko za oko, ząb za ząb – mordować we wścieklej zemście – za krwawe polskie łyzy, za niewolę, za tyloletnie kajdany.

Tak!

Dobrze!

Tak niechaj będzie!

Bij po sam trzonek, Niemcze! Nie żałuj ani jego, ani siebie, Moskalu! Szarp go, jak wilk, zębami! Do ostatniego tchu!

Uchodzimy z tego miejsca, gdzie, zda się, jeszcze słyhać wściekle jęki z milczącej ziemi, gdzie w szumie liści łąka płacz umierających. Droga, co znika w trawie, prowadzi nas na wzgórze, gdzie rosną najwyższe drzewa. Wiązy ogromne, obłamane, koślawe, tworzą z koron swych jakby baldachim dziwnego kształtu.

U podnóża tych drzew zatoczone jest koło rozległe z grubych kamieni, które tu zostawił lodowiec czy Wisła pradawna porozrzuciła po polach. Stoją wokół, jakoby niewysokie menhiry w wyniosłej trawie, prowadząc kamienną aleją do środkowego dolmenu, gdzie jednak rzucają się w oczy najzupełniej nowoczesne, czarne, równo w głazie kute litery:

29 DEUTSCHE, 37 RUSSEN GEFALLEN 1914

Na niewysokich menhirach, z których każdy ma jednako ostre zakończenie, czytamy, obok niemieckich, nazwiska owych *Deutsche* wyryte w twardym kamieniu:

„Moczyński, Rogoziński, Fabiński, Kornowski, Krajewski, Rekowski, Zakrzewski”...

A na obłych lodowcowych czy wiślnych kamieniach czytamy, obok rosyjskich, nazwiska owych *Russen*, którzy wbiwszy noże po rękojeść w piersi wrogów śpią tu na wieki u pogranicza ich boju:

„Wąsowicz, Zabielski, Galewski, Wiktor, Szczerbiński”...

Uczucia nasze schwyte zostały w potrzask. Ani w prawo teraz, ani w lewo! Jesteśmy w położeniu Puka polującego zajadle na drozda.

Uciekamy z tego miejsca naszej fatalnej pomyłki. Szumi w dole łąn żyta. Tam pójdziemy! Tam na nas czeka radość!

Dołem ciemne, śródźdźbłem wodnistozielone, górą rdzawe, brunatnokłose roślinie i buja w dobie swego kwitnienia. Obłoki faliste, to śniade, to pociemniałe, snują się po nim na obraz i podobieństwo chmur niebieskich. Kwiaty żytnie, pylniki zwisające na nitczkach cienkich jak włosy, oblegają plewy wybiegające w oś światlistą. Pręciki kwiatów pokazały się już i wirują, roją się w tym ogromnym kłósnym morzu. Ponad wzrost wysokiego mężczyzny wybujały, przelewa się ciemniejszymi kłosami ten dar niebios dla niskiej ziemi, płynie w dal. Pławi się w rozkoszy naszych oczu łąn żytni o krańcach niedosiętych.

Trafiliśmy na ścieżkę, co przecina niwę na poprzek, i zapadliśmy z głowami, ponad którymi szum się przechadza, w tę krzywą błogosławioną, dzieło wielkiej pracy człowieczej. Dołem wahają się za wiatrem tam i sam seledynowe źdźbła, a wśród nich tulą i chyłkiem pędzą żywot podjadki, pasożyty i wysysacze soków – ognicha, mak, kąkol, zbiedniała konicznynka – istna babina wiejska, małojadek i mężowski poszturchaniec – niedbały rumian, lekomyślny chaber, jasioniec, mietlica, i stokłosa, udająca zboże.

W pewnej chwili ze wzniesienia, które pozwala ogarnąć oczyma całe pole, widzimy najdziwniejsze zjawisko. Wiatr nasycony wilgocią, niosący się z nadwiślańskich łąk, od strony ciemnych i posepnych chmur, zdmuchnął z krańców łąnu i wydzwignął na swym podmuchu ponad żytnie pole jakowąś śniadą, białawą chmurę. Było to niby dym falujący nad kłosami, niby tuman. Niosło się to nisko nad równiną, zakrążyło się, zawinęło kłębem rozległym i kędyś, wśród nas, rozwiało. Wnet w innej stronie niwy ukazało się to samo przedziwne zjawisko. To w naszych oczach zaszło, dokonało się opylenie żyta, zapłodnienie na całym jego obszarze.

Zachwycający ów widok pozwolił nam zapomnieć o wojnie, o śmierci, o przeszłości. Podniósł do góry nasze uczucia, iż, jako obłok ów unoszący się z żytniej przestrzeni, jedną się stały modlitwą.

Lecz oto na skraju horyzontu inny się obłok ukazał. Postrzegliśmy go z niepokojem. Stalowej barwy, z żółtopopielatym odcieniem, żelaznego kształtu, który się spiętrza jakoby w łańcuch dalekich gór, obwieszona u dołu kłębami o poszarpanych brzegach – gradowa chmura. Gzygaki piorunu już w niej migają, podobne do iskier skrzęsanych przez młot, wciąż kują w szale pracy. Łoskot i grzechot przeraźliwy, szum złowieszczy wciąż tam rzęgoce. Mróz powiał z tego dziwowiska nadchodzącego ku wielkiej niwie. Ciemno na niwę padło. Zaszepotały bojaźliwie, zasepleniły nieudolnie ości, plewy i mlecz kłosów. Dreszcz przerażenia przeleciał poprzez powierzchnię i wnętrza szypulek. Ślepa zemsta gna w te strony ciche drogą walki wiatrów, kłębiąc się kołem, w wirze wichrów, wśród dolnych i górnych podmuchów, niosąc w swym łonie złomy lodu, groty ostrokończyste, kule spłaszczone i obłe bryły najeżone szyszkami. Po każdej błyskawicy sypnie nawałnica kamieni lodowych, furczących jak pociski, miotane z procy. Legną wnet poprzetręcane badyle. Padną na ziemię młodociane kłosy. Starga je na pustą kłóć, zmaści uderzenie nieszczerne, wdepce w rozmiękły ił, rozgniecie i pokruszy. Nieopisanie piękny szyk, porządek i wykwit zboża, zwierciadło rozumu człowieka, w mierzwę potarganą przemieniony zostanie. Siad kolistych biegów, tańca wółkrąg, pijanego szaleństwa bestii niebieskiej, odrysuje się w swej ohydzie na ogromie miazgi zbożowej. Postrzały gradu zniweczą nie tylko żyta, lecz przeszukają i przetrzebią gaje, ażeby trafić na zatajone w gęstwinie gniazdo słowicze. Zdruzgocą dzieło miłości, które teraz strwożona matka osłania skrzydłami, a tkliwy ojciec osypuje ostatnimi płatkami przekwitających kwiatów, ostatnim przyspiewem kończącej się pieśni.

Słyszysz, jak wre nad nimi, kręcony wirem w gromadzie chmur, ogrom okruchów gradu?

– Dlaczego? Dlaczego? – szepcą strwożone twe usta, przyjaciółeczko moja. Oczy twe szukają w moich oczach nie tylko odpowiedzi, lecz poratunku.

A cóż ja?

Patrzę bezsilnymi oczyma z naszego pagórka na bieg potęg niebieskich. Cóż mogę poradzić kłoszącej się niwie?

To właśnie ty, która już dziesięć lat żywota swego liczysz i tak tym chętnie imponujesz światu, co cię za niedorośle dziecko jeszcze chce uważać – może w tym wszystkim prędzej poradzisz niż ja. Módl się!

Moje rozumienie było zawsze pomyłką. Każdy uczynek, każdy akt dokonany przez moje serce – chybiał celu. Wszystko zawsze inaczej wypadło, niżem zamierzył, przewidział, obliczył. Wszystko inaczej się stało, niżem wyjaśnił. Poza moim logicznym wywodem wszystko szło stronami, swoją własną drogą. Z ciemności nad moje pole wypadła burza. Z ciemności wychodziła na mnie śmierć. Czasami kędyś w dali spotykała się linia mojego wymiaru i rysunku z linią innego wymiaru, nie moją – ale tak daleko, w tak nieskończonej odległości, że to mógł zobaczyć jedynie w przywidzeniu. A wtedy było mi już wszystko jedno. Tryumf mój bywał tak niewidoczny, niedostrzegalny, że się zamieniał w krótki, mały, samotny półuśmiech, istny punkt geometrów.

Ktoś się trzusi wysyłaniem na żytnie pola gradowych chmur, rozpętywaniem wojen i kierowaniem kroków cichej śmierci ku gniazdom człowieczym i słowiczym.

Ja nie zabijam!

Bóg z wysokiej swej góry posłał proroka z nakazem, w gromach niebios i drzeniu ziemi, na kamiennych tablicach pisanym:

„Nie zabijaj!”

Patrz, tam poprzód chmurę gradową wyleciał z żytniego łąnu nieustraszony skowronek. Powiedział o tym ptaszku rolny i polny poeta tych stron przecudowne słowo – iż „jak gdyby zwisał u sidła, śpiewa ziemi pieśń o niebie”. Czy ziemi pieśń o niebie? Czy niebu pieśń o ziemi? O trwodze ziemi przed straszliwą, gradową chmurą? O lęku kłosów i serc pod maleńkimi skrzydłami? O przerażeniu oczu człowieczych? Znowu tu jakąś popełnimy pomyłkę... Pewnie ani to, ani tamto. O czymś on śpiewa, dla jakiejś śpiewa przyczyny, której nigdy nie pozna wyniosły rozum człowieczy.

Złóż swoją główkę, owianą przenajdroższymi włosami, na moim strudzonym sercu.

Niech jeszcze przez chwilę spocznie u naszych nóg wierny pies, przyjaciel, który nie zdradzi i miłuje. Wytchnijmy jeszcze na tym wzgórk, nim przed błyskaniem i kamieniami gradu uchodzić zaczniemy. Nasyćmy się jeszcze przez małą chwilę szczęściem istnienia, rozkoszą życia, pięknnością trwania. Będę jeszcze przez chwilę patrzył twymi dziecięcymi oczyma w bożego skowronka. Będę jeszcze przez chwilę słuchoł twoimi uszama jego pieśni, gdy pono „śpiewa ziemi pieśń o niebie”.

Niech bije razem nasze, moje i twoje, nic nie wiedzące serce dziecięce.

Śpiewaj, skowronku!

W ślad za twym wieszczym ciałem, co jak grot strzały wyleciało z ziemi, niech leci w niebo nasz nieulekły nakaz, który odrzucamy Bogu.

Odrzucamy w niebiososa ten nakaz, w gromach i drzeniu ziemi ludziom rzucony:

„Nie zabijaj!”

ZŁE SPOJRZENIE

Przeżycie wewnętrzne, które ma być tutaj uprzytomnione, zdarzyło się w półtora roku mniej więcej po śmierci dziewiętnastoletniego młodzieńca, syna doktora Zenona Ł., prowincjonalnego lekarza w środkowej „Galicji”. Zmarły był jedynakiem. Zgasał w ciągu krótkiego czasu na galopujące suchoty. Na nic się nie zdała wiedza ojca, jego znakomitych kolegów i przyjaciół, wszelkie ich wysiłki, zabiegi i środki zaradcze. Po śmierci syna doktor Ł. pozostał w tym samym miejscu i w tym samym domu. Po dawnemu leczył pacjentów i przykładał się wśród swego otoczenia do spełniania różnych obowiązków społecznych. Sąsiedzi wzdychali przelotnie, patrząc na niego, i mrużyli oczy z tak zwanym współczuciem, którego, po prawdzie, nikt nie czuł i czuć nie mógł. Potem i to ustało. Zapomnieli. Któż bowiem i jakim sposobem może mieć wiadomość o istocie niedoli cudzej, zwłaszcza wewnętrznej?

Ludzie nowi, przyjezdni, którym zdarzyło się zawierać znajomość z najbardziej wziętym z lekarzy tej środkowogalicyskiej Abdery, z „nadzwyczajnym diagnostą”, nie domyślali się wcale, że ów tęgi, spokojny, przenikliwy, przyjemny i wykwinny człowiek – jak mówiono „*gentleman* w każdym calu” – miał niedawno tak ciężkie przejście. Sam doktor Zenon mocował się ze swoją klęską, jak na mądrego mężczyznę i świadomego lekarza przystało. Wiedział, że jego przebita dusza nie może na ziemi znaleźć przyjaciela. Można by powiedzieć, że pierwszy okres po śmierci syna zniósł lepiej niż okresy późniejsze. W miarę oddalenia od tamtych wyraźnych chwil coś psuło się coraz bardziej w zegarze wytrwania. Przede wszystkim – co do pracy lekarskiej.

Tuż po katastrofie doktor Zenon za pomocą tej właśnie praktyki „ubijał” swą boleść, przydeptywał ją szybkimi, dalekimi marszami do chorych. Znieczulał się pracą jak chloroformem. Nie zostawiał sobie wolnego czasu na obcowanie oko w oko z nagim uczuciem. Mówiąc w najgłębszym już sekrecie, obrazami srogich ludzkich cierpień opijał się jakoby winem tęgim i uodporniał jak spirytusem. Patrzył dzień w dzień, a częstokroć w ciągu długich nocy, na udowodnienia i unaocznienia, że nie on jeden jest skazańcom. Przesiadywał u wezglowia chorych dzieci ponad wszelką normę i miarę, już nie jako lekarz, lecz jak pielęgniarz. Wydobywał z objęć śmierci główiny płonące od ogniów gorączki i powracał uśmiechy na twarze udęczone. Gdy ojcowie i matki witali jego zjawienie się łzami radości, a żegnali je błogosławieństwem, on sam siedł wśród tych objawów gnuśny w sobie, zaledwie postrzegając, czego w istocie dokonał.

Ten szczególny nastrój uczynił zeń znakomitego lekarza. Nie żywych ludzi leczył ten pielęgniarz, filantrop i dobroczyńca, lecz mocował się z samymi chorobami. Ściagał je w kryjówkach i niedosiętych pieczarach bytowania, zupełnie jak gdyby polował na tajemnicze potwo-

ry, byty okrutne i straszliwe w swej strukturze sekretnej wymykającej się spod objęcia przenikliwości ludzkiego rozumu.

Zagadkowe stwory przyrody: tyfus plamisty, szkarlatyna, ospa, nosacizna, gruźlica i tak nieskończony szereg innych – pociągały go teraz nie tak jak dawniej. W głuchoniemej pasji swej mścił się teraz na nich, wyrwał je z dziupli i skrytek, chwycił wpół drogi, umiał w lot poznać się na ich planach, wybiegach, narowach i zdradzieckich przyczajeniach, na ich podspodnim życiu, splecionym z krwią, kośćmi i mięśniami człowieka, a tak nieubłaganie wrogim tej krwi, kościom i mięśniom.

Tak to wytrwale i niemal bez chwili przerwy pracując z wytężeniem wszystkiego rozumu, pamięci, czujności, zdobytej i wciąż przez studia pomnażanej wiedzy, operując myślą ćwiczoną i nieomylnie dokładną – doktor Zenon, sam na sam zostając ze sobą, ocknąwszy się ze snu w nocy, idąc w dal i powracając do punktu wyjścia, nie mógł znaleźć przedmiotu czy tematu, o którym by mógł myśleć. Jego własna, istotna, niejako wewnętrzna myśl ześlizgiwała się ze wszystkich rzeczy tego świata i ze wszelkich pojęć napełniających świat wewnętrzny. Zaprawdę – ten tak rozumny człowiek – nie mógł o niczym myśleć. Wszystkie myśli zlatywały w otchłań czasu i niosły się w przestrzeni. Miesiąc jest taki a taki, dzień taki a taki w miesiącu, upłynęło tyle a tyle miesięcy, tyle dni – oto były istotne, wewnętrzne myśli. Trzeba dziś lub nazajutrz iść w takim a takim kierunku, do takich oto ludzi, a raczej do nazwisk wypisanych w lekarskim karnecie – oto była wszystka wewnętrzna wola. I tak oto – jako współnicy drogi życia – stowarzyszył się z osierociałym jedynym towarzyszem – pustym czasem – i jedyną towarzyszką – jałową przestrzeń.

Wszystko zaś inne było obojętną i obcą miazgą przydarzeń.

Przeczytawszy w pewnej książce, iż Perykles ateński zniósł bez żałoby śmierć dwu swych świętych synów, doktor Zenon doświadczył wzburzenia wewnętrznego, jak gdyby osobistej insultacji, a nawet zniewagi. „Cóżem ja jest za człowiek?” – z pogardą zapytywał samego siebie. Wnet jednak zjawiała się usługująca refleksja:

„Ba! Gdzież jest pewność, że ów Perykles czuł śmierć swych synów, skoro ją zniósł bez żałoby? Może dlatego zniósł śmierć synów bez żałoby, ponieważ wcale ich nie żałował. Może był człowiekiem-drewnem, twardym pniakiem bukowym, którego żadnym sposobem nie ima się zgniłość uczucia, gdyż jego cały skład wewnętrzny aż do rdzenia jest bukowy. Toż według świadectwa Shelleya, stary «ojciec» Cenci modlił się żarliwie, szczerze i z uniesieniem, ażeby Bóg poraził śmiercią dwu jego synów. Nie jest jednolity, jak u zwierząt, lecz jest wieloraki, złożony i zagadkowy gatunek ojca w rodzaju ludzkim”.

O pewnej późnej nocy, gdy zbudzony ze snu szedł do chorego dziecka z nieszczęśliwym ojcem, który obok niego dreptał, pogadując, wdzięcząc się, a po tysiącokroć przeprasząc, akomodując się i zalecając, żeby „znakomitego diagnostę” dobrze usposobić, doktor Zenon poczuł w sobie ostre nadpęknięcie. Ziąb i dreszcz nie w ciele, lecz w głębi duszy. Śmiech gruby w głębi. Szli na dalekie przedmieście przez puste pola, śniegiem zasłane, przez pagór garbaty i przykry. Buty doktora przemokły, zmaczane w śniegu zakończenia spodni wilgotną masą chlapały dookoła zziębniętych kostek. Brnąc w ciemności z zagona na zagon doktor zagadnął współtowarzysza:

– Jak się też panu wydaje, czy czas naprawdę istnieje? Bo ja... Albo przestrzeń? Jak pan sądzi?

Stroskany ojciec, zajęty jedyną myślą, żeby jak najprędzej i jak najpomyślniej dostawić lekarza do łóżka swej chorej dzieciny, coś tam wymiamlał. Nie o odpowiedź chodziło...

– Mnie się wydaje – perorował doktor – że mają słuszość Indusi nauczając, a teraz w tej ciemności szczególnie wyraźnie to zobaczyłem, iż czas jest to w gruncie rzeczy tylko porządek następstwa w naszym poznawaniu rzeczy na świecie. A znowu sławiona przestrzeń – to nie co innego, tylko kierunek ustawienia przedmiotów tej ziemi. Jedno i drugie nie są to wcale

jakoweś zewnętrzne trwania, lecz dwa sposoby ujęcia tego, co my, biedne kretyny, wiemy o otoczeniu.

Towarzysz drogi potakiwał z zapalem, wiarą i entuzjazmem:

– Skoro pan doktor przyszedł do takiego przekonania, a, w takim razie...

– Przeszłość, terażniejszość, przyszłość – to przywykliśmy nazywać wyrazem „czas”, a potem powiedzieliśmy sobie, że on trwa jako byt samoistny. Jest to po prostu pusta idea, nazwa bez rzeczy. Tu, tam, w tamtym kierunku – to znowu przestrzeń. A wszakże to, co nazywamy czasem, w naszym odczuwaniu rozszerza się albo kurczy, staje się nieskończonością albo się unicestwia, jeżeli je mierzyć miarą radości albo miarą bóleści. Przeszłość, terażniejszość, przyszłość – a jedno w drugie wchodzi jak linia zwinięta w punkt geometryczny, staje się nicością jak mgnienie oka...

– Pan doktor doskonale to przedstawia...

– I wielki myśliciel niemiecki, po swojemu rozumując, powiada, iż sam w sobie, poza przedmiotami czas jest niczym. Jest to, według niego, podmiotowy warunek naszego zmysłowego rzutu myśli. A przestrzeń? To, co nazywamy przestrzenią, jest jedynie formą wyobraźni naszej zmysłowości, w których mieszczą się przedmioty zewnętrzne. Lecz ta forma przedmiotów, jako istota, poznać się nie daje i poznaną być nie może. Czy człowiek ślepy ma wyobrażenie przestrzeni? Czy głusi, ślepi, daltoniści, neurastenicy, a także nieszczęśliwi, przyswajają sobie zjawiska w sposób przyrodzony każdemu przedmiotowi, w postrzeganiu powszechnym ludzi zdrowych i normalnie obojętnych?

Zeszli parowem ku przedmieściu i mijali chałupę, gdzie o tej tak późnej nocy rznąła siarczyście muzyka i rozlegały się wściekle tupania, śpiewy i wrzaski. Zdawało się mijającym, że te weselne wyrwasy wysiępią belki z węglów, a hołubce wyrzucą ciężki dach z wiązania.

– O, Boże mój! Ci ludzie teraz tańczą i tak się weselą... – szepnął ojciec chorego dziecka mijając tę budę radości.

„Jakże jesteś szczęśliwy... – odpowiedział mu doktor w myśli. – Na progu dopiero stoisz, skoro cię takie przeciwieństwo dotyka i uraża. Nie wiesz ty, bracie, co znaczy za życia, chodząc po ziemi, leżąc w grobie, gdzie już wszystko jest tożsamością, gdzie już nie ma przestrzeni i gdzie już czasu wcale nie ma.”

W czasie operacji, które prowincjonalnemu lekarzowi wypadało dokonywać w najtrudniejszych zazwyczaj warunkach, samemu, kędyś w domostwach odległych, bez narzędzi i środków pomocniczych – w ciężkich wypadkach, gdy trzeba było zwalczać chorobę, wyrastającą z brudu, nędzy, wszy i zaduchu – przy barłogach na poły zgniłych wśród szmat zetlałych od lepkiego potu – dobie najtrudniejszych rokowań i decyzji, skoro przyszło ważyć się na środki i przedsięwzięcia ostateczne, doktor Zenon odwoływał się do pomocy swego „asystenta”, niewidzialnego współpracownika, zgasłego syna.

W owych ostatecznych chwilach – na wezwanie modlitewne, na westchnienie z samej głębi trzewiów i jestestwa, jakby na skutek rozpeknięcia się serca – zawsze przybywał niewidzialny. Samego nie było ani widać, ani słyhać, ani czuć, ani można dotknąć, ani niczym zewnętrznym czy wewnętrznym objąć – a przecie objawiał się w czynnej pomocy, w tajemnicy współdziałania. Utwierdzał lub osłabiał powziętą myśl, mocno i nieodwołalnie rozstrzygał decyzję, niemal podsuwał i prawie kierował narzędzie. A wówczas nigdy nie chybiła ręka i nie wzięło złego skutku zarządzenie. Niewidzialne synowskie dłonie odganiały wszy, gdy wypadło w mroku ludzkiej jaskini, rozświetlonej płomykiem naftowej lampki, siadać na tapczanie nędzara z tyfusem plamistym, a rozpalonego ciała i pościeli z gałganów dotykać rękoma, ubraniami i włosami. Niewidzialna synowska twarz zasłaniała od zarażonych plwocin, od jadu pryszczów i krost, charknięć i kałów. Coś, jakoby święta rękawiczka, okrywało rękę, badającą zaraźliwe choroby.

Doktor Zenon bardzo rzadko odwoływał się do swego anioła. Ilekroć miał to uczynić w ostatecznej rozterce, wśród trwogi człowieczej przed wyratowaniem życia lub porzuceniem

nędzarza w konaniu, serce w nim zdawało się umierać. Wiedział, że odrywa swego syna od jakichś prac innych, niedosiętych i niepojętych dla ziemskiego rozumu, że go przymusza do powrotu na ten padół, gdzie młodociane jego ciało tyle przecierpiało, a dusza przeżyła smutek tak straszliwy. Poczytywał te swoje modlitwy przywołujące za grzeszny egoizm, za nadużycie świętości, prawdziwie za świętokradztwo.

Lecz w ciągu owych przelotnych chwil, tak niewymownie krótkich jak rozłożenie skrzydeł motyla, czuł w sobie dawne swe szczęście. Śniło mu się na jawie, że znowu są razem, że do- kądś idą ramię w ramię i radzą o swych własnych zagadnieniach, o sprawach powszechnych lub domowych. Uczucie miłości stawało znowu w piersi pustej, jak wówczas jakiegoś w zi- mie dnia, gdy szli szeroką drogą podczas srogiej zamieci i zasłaniali się nawzajem od wichru i śniegu, bijącego w oczy, a ogrzewała ich ta sama, we dwu ciałach pałająca miłość. Gdy było rozewrzeć oczy – pustka znowu była i cisza. Świadomość znowu była opleciona zwątpieniem. I głęboka, głęboka wewnątrz rana.

Z okna doktorskiego mieszkania, z okna tego „gabinetu”, gdzie przyjmował chorych w go- dzinach popołudniowych, widać było na rozległości widnokregu dwa łagodne wzgórze, zstę- pujące niepostrzeżenie zboczami w rozległą dolinę. Na jednej z tych pochyłości stała kępa wyniosłych drzew. Podczas „ordynacji”, między jedną poradą a drugą, doktor Zenon spędzał zazwyczaj nieco czasu przy oknie niby to zażywając chwili wytchnienia. Wpatrywał się wówczas w swój widok, tak mu znany. Nie była to martwa ziemia, lecz kształt widomy wszystkich bez wyjątku przeżyć. Ów skrawek gruntu wszystko wiedział. Nasycony był spoj- rzeniami boleści od samego początku strasznej choroby, poprzez agonię i śmierć aż do ostat- nich, pustych chwil. Gdyby jakowaś niepojęta siła zdołała ścisnąć owe dwa wzgórze, rzeka łąz popłynęłaby z nich w cichą dolinę. W tę to dolinę zniżało się o zachodzie słońce. Kępa drzew rzucała wówczas długi cień. Między dwie pochylnie pagórków zdawał się iść w ślad za słońcem ostatni wygon ziemski, żłobowina jedynej drogi z tego na tamten świat. I wciąż to samo, zawsze jednakie a nigdy nierozstrzygnięte pytanie szło w tę drogę pod cieniem samot- nych drzew, z tego na tamten świat:

„Gdzie jesteś? Kto cię teraz przyciska do serca? Czyli twój tam pobyt jest tylko snem tak nieskończonym, iż spłynął w małość nieskończoną, jak linia w punkt geometrów, leżący w sobie samym, bez miejsca bytu i wymiaru wzdłuż i wszerz? A przecie do mnie przychodzisz! Jakimże sposobem dowiadujesz się, że cię wołam? Skąd przychodzisz? Czyli twój tam pobyt jest służbą niewiadomą, niepojętą i na wieki tajemną? Komu służysz? Co przedsięwiesz? Jakie masz do wykonania prace? Czyli mnie jednemu nie możesz powierzyć tej tajemnicy jakimś znakiem, snem, objawieniem? Ja sekretu nie zdradzę! Będę go strzegł jak żrenicy oka! Umrę z nim! Przechytny skaucie, przechytny duchem i ciałem, nie skalany brudem ziemi, czyli tam jesteś także skautem w zastępach Boga? Czy ci tam ziemi i tutejszych prac – żal? Czy ci tam lepiej niż tu?”

Myśli bezsłowne na podobieństwo łez, wypływających samowolnie z oka, wypływały z człowieczej nędzy, zanosły się w daleki ów widok na horyzoncie i spływały samochoć w przedwieczne słowa psalmu: „Oświeć oczy”...

Tuż przed domem, po drugiej stronie drogi, rozciągała się uprawna łączka, prostokąt sta- rannie przez właściciela ogrodzony – a nieco dalej, w głębi, stał dom parterowy, drewniany, z gankiem, typowy dworek na przedmieściu prowincjonalnego miasta. W dworku tym miesz- kała rodzina nie znana doktorowi osobiście, gdyż nikt z tej rodziny nie zasięgał jego porady lekarskiej, lecz od dawien dawna znana mu z mimowolnego sąsiedzkiego podpatrzenia. Oj- ciec w tej rodzinie, jakiś ongi urzędnik, stracił był wzrok i jako zupełny inwalida pozostawał na opiece żony, kobiety niezmiernej pracy, zapobiegliwości i nieustającego poświęcenia. Trzecią w tej rodzinie osobą był syn, jednak, wyrostek lat siedemnastu czy osiemnastu, uczeń gim-

nazjalny, prymus w szkole i „pociecha tudzież cała nadzieja”. Czwartą istotą żyjącą w niskim domku za drogą był pies Dunaj, taks długi, niski, na typowo koślawych nogach, do którego nazwa wspaniałej rzeki pasowała jak pięść do nosa.

Prymus Antoś i niski Dunaj żyli w stałej kompanii i nieustającym dotrzymywaniu sobie towarzystwa. Doktor Zenon Ł. nie spoglądając na zegar mógł oznaczyć godzinę, skoro zobaczył Dunaja wystającego na drodze, wężącego z przejściem powietrze, z niecierpliwym ziewaniem, przestępywaniem z nogi na nogę, a nie bez zawziętego drapania ziemi pazurami. Znaczyło to, że Antoś już w podskokach nadciąga na obiad, że tam już gdzieś w oddali, na kamieniach podmiejskiej drogi, zgrzytają jego buty grubo podkute gwoździami.

Rodzina niewidomego sąsiada nie mogła sobie pozwolić na luksus utrzymywania służącej. Całą pracę domową w kuchni i mieszkalnych pokojach spełniała matka Antosia, przy czynnej i wydatnej jego pomocy. Ten duży, tęgi, muskularny, doskonale zbudowany i znakomicie wygimnastykowany młokos nosił wodę do kuchni, rąbał drwa, zamiatął pokoje, odgarniał w zimie śnieg, czyścił ubrania i buty, skrobał kartofle i biegał z koszem po sprawunki do sklepów.

Nieraz przyszło mu przełknąć gorzką drwinę z ust młodych pokojówek i kucharek, wśród śmiechu za nim rzuconą, gdy gnał do magła ze stosem bielizny albo pchał na wózek z workami z kartoflami. Puszczął to jednak mimo uszu, jak zresztą wiele innych ludzkich opinii. Był to Antoś śpiewający. Wszystko robił śpiewając i podskakując. Można by powiedzieć, że ten młody człowiek pędził życie w p r y s i u d y, a wszelkie czynności życiowe traktował jako nieuniknione przerwy między jedną piosenką a drugą. Te rozmaite śpiewanki zdawały się nosić go po świecie, jak skrzydła noszą ptaka. Wszystko załatwiał z wiatrem w przegony. Gdy z wiadrami pełnymi wody ze studni sąsiada pędził poprzez łączkę, zdawać by się było mogło, że w kuchni jego rodziców wynikł groźny pożar i że on go właśnie dzielnie tłumi. Gdy szedł do szkoły, przestrzeń znikała mu spod podkutyh obcasów i podeszew nabitych gwoździami – tak raptownie, iż szybkości jego kroków sam Dunaj żadną miarą nadążyć nie mógł. Nieraz doktor Zenon słyszał okrzyk matki Antosia, witający powracającego ze sprawunkami: – Już jesteś! Dopiero wyszedł, już jest z powrotem ! Moje dziecko, niełachaj tak, przecież buty...

Następowały wymowne apostrofy co do butów, strasznych cen zelówek, zestawienia cen dawnych i nowych i tym podobne litanie mizერიi ludzkiej. Mało to wszakże skutkowało. Buty w istocie ł a c h a ł y się na mniemanych brukach podmiejskich w sposób złowieszczy.

Sprawność i sprężystość Antosia nade wszystko ujawniała się podczas zbiórek zastępu skautowskich „wilków”, do którego należała niemal cała jego klasa.

W jesieni, w zimie, wczesną wiosną, nim właściciel łąki obwieścił, że nie wolno deptać wiosennej murawy, na tej małej przestrzeni odbywały się harce, manewry, parady, rewie, defilady tudzież zwyczajne pozafrontowe skoki, tańce, łamańce, gonitwy i igrzyska tego grona młodzieży. Mogło się wówczas zdawać, że jesienna gruda albo miazga jałowa w przedwiosnie splachetka gruntu z łona swego wyrzuciła nagle zastęp szczególnych kwiatów. Kapelusze z dużymi rondami, zielone chustki na szyjach, wielobarwne wstążki u ramion, brązowe ubrania i jasne laski migały w oczach widza jak wielobarwna kwietna rabata.

Oczy widza cofały się pod powieki, albowiem w tym zespole nie mógł dopatrzeć się swojego kwiatu. Niegdyś hasał tu jako najpiękniejsza latorośl. Nadmierne „czuwania” po nocach, zbyt gorliwe pochody ze zbyt wielkimi ciężarami na ramionach, spoczynki w polach na mokrej ziemi, czatowanie w wilgotnych rowach przyczyniły się w niemałej mierze... Toteż oczy doktora uciekały pod powieki od widoku skautów i ich manewrów. Lecz krzyk ich komendy, trąbki, śpiewy docierały wszędzie, gdziekolwiek się skrył przed ich bolesnym – niestety! – widokiem.

Na wiosnę już właściciel łączki nie pozwalał nikomu nogą stąpić na rozkwitający kobierzec kwiatów żywych. Uprawiał starannie swoją murawę tomasyną, bronował ją pilnie i po-

lewał czasu suszy. Toteż rodziła mu trawy przebujujące i kwiaty nieznane, nie widziane w tych stronach. Soczyste, wielkie kule koniczyny nasyciły wszystkie przestwór jasnej zieleni swoim radosnym kolorem, wyniosłe miodowniki przywabiły do koron swych tysiące pszczół, a smugi błękitnych i białych kwiatów nadawały temu zagajnikowi traw czarujące odcienie. Wówczas nikt już nie maścił stopą wonnej łączki. Szanowali ją wszyscy i tylko oczyma dopuszczali się wypasania bujnych kwietników sąsiada.

Z wyjątkiem jednej jedynej niekulturalnej istoty – z wyjątkiem krótkonogiego i obwisłouchego Dunaja. Ten komunista brodził samowolnie wśród najpiękniejszych roślin, zadzierając łeb do góry, gdyż zupełnie ginał w gajach miodowników. Coś tam wywachiwał, żuł, podgryzał, próbował i wypluwał, ćwicząc się widocznie w znajomości psiej wiedzy lekarskiej czy aptekarskiej, na własny jedynie stosowanej użytek.

Jedna tylko istota nie czerpała ani jednego kształtu, nie piła oczyma ani jednej barwy z różnobarwnej łączki gospodarza, uboższa w tym względzie od psa Dunaja, uboższa niż wszystkie pszczoły, trzmiele, muchy i osy. Był to ojciec Antosia. Na ciasnym ganku niskiego domu siedział godzinami, z twarzą zwróconą w stronę łąki, nieruchomy i niemy, jak gdyby właśnie pograżony we wzrokową kontemplację cudnego kwiatów i traw ogrójca. Któż wie? Może słyszał, jak barwy wysmukłych dzwoneczków powstają? Może rodzenie się i kształtowanie cudokrzewów, których kielichy pisane są barwami niebios i zorzy porannej, rozpoznawał i uczuwał nozdrzami! Może niewiadomym zmysłem, który po ciemku w ciele swym wyszukał, urobił i wydoskonalił – zdołał docierać z odległości do zapachów, w dzieciństwie swym za szczęśliwych dni jasnowidzenia, na łonie duszy wypastowanych?

Pod małą wystawą dachu zawsze obok ojca kręcił się Antoś w nieodstępnym towarzystwie Dunaja. Doktor Zenon nie słyszał z odległości rozmów ojca i syna. Dolatywały do niego tylko szczątki wyrazów i niewyraźne dźwięki. Antoś ojcu coś tam opisywał w trawach, wskazywał miejsce, ostrożnie i delikatnie stąpając, by ani jednej trawy nie zmaścić. Dotykał w gąszczach centurii, w smugach smólek jakowychś lodyg i liści.

Gdy mżył majowy, ciepły deszczyk, przepuszczony jakoby przez gęste na wyżynach sito, Antoś w krótkiej pelerynie i Dunaj z wysoko podkręconym ogonem brodzili miedzą w dalekich okolicach łąki. Skaut poprawiał brzożowe witki kołków podtrzymujące prostackie żerdzie płotka. Przepuszczał zassane wody w pewnych rowkach odprowadzających wilgoć do głównego rowu. Komuś tam z plemienia kaczeńców czy niezapominajek dopomagał w trudach żywota przy czynnej asyście Dunaja, życzliwie usposobionego dla wszelkich poczynañ swego dużego przyjaciela.

W pogodne dni letnie ojciec Antosia wychodził do miasta. Miał wówczas na sobie kapełusz z szerokimi skrzydłami, archaicznego nieco kształtu, lecz świeży, jakby go wczoraj nabyto w modnym magazynie, paltot wyczyszczony, buty „wyglancowane” ze skautowską dokładnością i finezją, spodnie zaprasowane według ostatniego przepisu elegancji. Przecho-dzień, nieświadomy istoty rzeczy, mógłby był poczytywać wyprostowanego starszego pana za dandysa z przedmieścia, który o swą powierzchowność dba aż do przesady. Antoś zawsze prowadził ojca pod ramię. Byli obadwaj już niemal jednego wzrostu. Szli zawsze krokiem miarowym, o czymś własnym z cicha rozmawiając – być może o tych kamieniach, których liczba niepoślednia leżała na drodze – ażeby snadź który z nich nie obraził nogi niewidomego.

Gdy tak pewnego dnia ci dwaj powracali z miasta do domu, doktor Zenon przypatrywał im się ze swego okna. Wzrok jego wszczepił się w tę parę i przez spojrzenie wysunęło się z serca straszliwe żądło zazdrości. Głowa, jakby głaz lity, odwalila się na futrynę okienną, a wargi szeptały do niewidomego starca:

I cóż z tego, że jesteś ślepy? I cóż? Idziesz z nim, jakby ze swymi własnymi oczami. Widzisz przez niego. Twoje strupieszale serce ma w sobie zasadzone drugie serce żywe, młode,

niewinne, twórcze i święte. Ręka potężna i tkliwa podtrzymuje każdy twój krok. Ramienia twego dotyka ramię cudze a zarazem własne, jakby wieczność potęgi. I cóż, że jesteś ślepy! Przestrzeń dla ciebie znikła i przeistoczyła się na czas, to prawda. Ale gdy idziesz ramię w ramię z dorastającym synem, przez to jego ramię wraca w ciebie na nowo przestrzeń. Jesteście dwiema istnościami w jednej. Jesteście cudem natury. Tak oto, ty ślepy, jesteś panem nad pany, królem nad króle. A ja? Ze mnie wydarte jest wszystko – przestrzeń i czas, światło i zmrok, sen i czuwanie. Jestem kamień, który noga wszechmocna kopnęła i odrzuciła z drogi, żebym wam nie zawadzał w przechadzkach pod słońcem. Cóżem jest? Nawet nie nicość!

Gdy nadeszła pierwsza rocznica śmierci syna, doktor Zenon zamówił w parafii żałobne nabożeństwo. Ale proboszcz był chory i terminu nabożeństwa nie można było na razie ustalić. Koledzy zmarłego chcieli uczestniczyć w tym nabożnym wspomnieniu, toteż zajmowali się szczegółowo kwestią daty. Pewnego dnia doktor Zenon posłyszawszy, iż ktoś stuka do drzwi wejściowych mieszkania, poszedł otworzyć. Zobaczył na progu Antosia, syna niewidomego sąsiada. W swym skautowskim ubraniu wyprostowany młodzieniec ów trzymał w ręku list od proboszcza. Uśmiech nieopisanej piękności, w którym zawarte było wszystko, stał na wargach gońca, kiedy ów list podawał. Gdyby ten uśmiech można było cudownym sposobem zdjąć z warg jego ludzkich i utrwalić w zewnętrzności, byłby to najwyraźniejszy dokument bytowania ducha wiecznego.

W liście było zaproszenie na nabożeństwo. Wkrótce potem nadeszła pierwsza po zgonie rocznica urodzin zgasłego. I oto znowu starsi i młodszy koledzy, jakby odwdzięczając się za pierwsze nabożeństwo, które nie z ich inicjatywy zostało odprawione, zamówili „swoją” mszę żałobną.

Pewnego dnia ktoś znowu rano zastukał do drzwi doktora Zenona, a gdy on sam je otworzył, zastał na progu znowu Antosia, syna ślepego sąsiada. Jak za pierwszym razem, tak samo teraz skaut z tym samym cudnym uśmiechem podał doktorowi list z zaproszeniem na nabożeństwo.

Mało-wiele upłynęło czasu od tych nic nie znaczących i nic nie mówiących wypadków – od brzmienia tonu organów i ponurego w nich śpiewu, w którym się słowo Boga straszliwego objawia.

Pewnego dnia, brnąc swymi codziennymi ścieżkami od chorego do chorego, doktor Zenon zaskoczony został w pół drogi przez młodzieńca w skautowskim przyodziewku, poszarpanym i poplamionym. Drżąc, szlochając, płacząc jedne rzeczy z drugimi, zdżony i błądy ów chłopiec zawiadamiał, iż wiezie na wozie, wynajętym w górach, zwłoki kolegi, który spadł ze szczytu w Tatrach podczas wycieczki paru skautów. Kolega zabitego nie miał odwagi zawiadomić rodziców. Pytał doktora, jak to zrobić? Tym bardziej że ojciec ofiary jest ślepy...

Doktor Zenon zachwiał się na nogach. Pobiegł drogą wskazaną mu przez młokosa. Szli szosą co tchu, parę wiorst w górę za miasto. Ukazał się wreszcie wóz drabiniasty zaprzężony w jedną szkapłą, która przez pół dnia i całą noc ciągnęła od gór w małopolskie niziny smutny ów ciężar. Doktor odrzucił płachtę okrywającą skrwawione zwłoki. Zobaczył Antosia, a raczej potargane, zmiążdżone i roztrzone jego zwłoki. Zdziwił go jedynie uśmiech niebiański, ocalały na resztkę twarzy.

– Gończe mój, gończe!... – szeptał lekarz z załamanymi rękoma, z oczyma zaszłymi łzami. – Któż to ciebie dwukrotnie do mnie przysyłał? Kto cię przysyłał?

Ale święty uśmiech młodzieńczy, do tamtego należącego świata, na pytanie to nie dał odpowiedzi. Na wieki został sobą, zawarłszy tajemnicę.

W wysokich górach, które przed niezliczonymi setkami lat moc, niepojęta dla ludzkiego umysłu z dala przyniosła i osadziła na glebach wyłonionych z morza – w górach, które stały kilkanaście tysiącleci w wichrach szalonych i w cichej niebios pogodzie – czekał tajemniczy sprawca na lekkomyślne ręce Antosia. Czatował przez nieprzejrzaną ów ocean czasu, aż jednak samotny, gnany przez pasję i męstwo młodości, wdrze się na szczyt strzelisty i potężnymi rękoma chwyci za skrzyżła najwyższego cypla. Tam właśnie czekał nieśmiertelny wróg. Z wieku na wiek podkruszał granit od spodu, zlewał go potopem deszczu i mroził szronami zimy, aż go skruszył i w podatną, ruchomą bryłę zamienił. Gdy jej się uchwyciły ręce Antosia, wraz z nim runęła z wysokości stu metrów. Zabiła go, lecąc poprzez powietrze, rozszarpała go, rozgniotła po stokroć i napoiła się jego krwią, wylaną aż do kropli ostatniej ze wszystkich jego żył. Połamała mu raz, drugi, trzeci i dziesiąty sprężyste golenie i silne przedramiona, rozdarła gardziel, wyrwała z niej i przepłoszyła piękne, bujne piosenki, którymi chwalił rozkosz bytowania...

Doktor Zenon, jak wiadomo, mieszkał w tej samej części miasta, co rodzice zabitego Antosia. Niezależnie od prośby skauta, jemu to, jako lekarzowi, wypadało właściwie iść z zawiadomieniem o wypadku do domostwa tych ludzi. Ale doktor zatrwożył się w sobie. Nie miał siły być posłańcem do tych dwojga od ich Antosia. Tchórzowsko tedy, nie patrząc w stronę małego domu niewidomego sąsiada, wrócił do swego mieszkania i zajął się swymi sprawami. Tego dnia i następnych dni nie spoglądał w tamtą stronę. Nie patrzył nawet na zachód słońca, gdy zorza rozpościerała się z wolna między dwoma wzgórzami.

Ale na trzeci czy na czwarty dzień, przypadkowo wyjrząwszy oknem, zobaczył jednak ślepego człowieka i jego żonę. W tych samych ubraniach, tylko czarnymi paskami krepy przybranych, szli skądś do domu. Żona prowadziła pod ramię niewidomego. On szedł jak zawsze, wyprostowany, sztywny, uroczy, zimny. Jej twarzy – na szczęście – nie było widać pod gęstym, czarnym z krepy woalem. Patrząc na nich doktor myślał:

„Dowiadujecie się, sieroty, prawdy o rzeczach zewnętrznych i rzeczach wewnętrznych, o Bogu i swojej własnej istocie. Tak, tak! Takie oto są kamienie naszej drogi...”

Dwoje tych ludzi skręciło z gościńca na ścieżkę prowadzącą do ich siedziby. Kobieta znikła w głębi domostwa, a niewidomy, jak przyszedł z miasta, tak usiadł na ławce ganku, w kapeluszu i paltocie, z laską w ręku. Patrzał niewidzącymi źrenicami na tę łączkę, skąd przed kilkoma jeszcze dniami słyhać było śpiew jego chłopca albo zdrowy jego głos. Stary człowiek siedział tak długo w milczeniu i nieruchomości, jakby zastygł czy skamieniał. Nie wiedział, iż podpatrują go czyjeś oczy, że czyjeś spojrzenia mierzą i ważą jego uczucia.

Doktor, jak zazwyczaj, oparty o futrynę okna, nie mógł odejść z tego miejsca. Kilkakrotnie wyciągnął rękę do nieruchomego starca, ale ta ręka opadała wzdłuż ciała. Kilkakrotnie czuł w piersiach podnoszący się krzyk, ale nie mógł go wydać. Czymże miał przerwać ciszę przepaści, w której przebywała tamta dusza? I cóż z tego, gdyby u kolan mu wyznał:

„Najadłem się i napiłem się widokiem twoim w głodzie, i straszliwą stała mi się ulga moja...”

Miałże mu opowiadać historię swego złego spojrzenia?

Mały pies Dunaj wybiegł ścieżką z niemego domu na drogę i ze łbem zwróconym w stronę miasta, ku drodze kamienistej, wachał powietrze, przestępował niecierpliwie z nogi na nogę i drapał ziemię pazurami. Pobiegł do domu i znowu wrócił za chwilę, żeby czynić to samo. Tak z dziesięć razy... Wreszcie uczył się zwierzęcą swą wiedzą tajemną istotę rzeczy. Wydało się, iż jego łeb chwycił paraliż, szyja mu się wyciągnęła w górę i pies z nagłą zawył przejmująco, żałośnie.

Posłyszawszy ten głos, ślepy człowiek ruszył się, zatrząsł, zakołysał, zatrzepotał. Ręce jego rzuciły się w przestrzeń, szarpać poczęły zarost i raz w raz plaskać w pustej próżni. Głos

straszliwy, niepodobny do żadnego z głosów zwierzęcych ziemi, głos niepodobny do żadnego z krzyków ludzkich, wybiegł z jego piersi. Nikt wokół nie poruszył się od tego głosu, nikt nie przyszedł z pomocą lub pytaniem – ani żona, ani lekarz, ukrywający pod powiekami spojrzenie swoje. Tylko pies, przejęty tęsknotą, zawył do wtóru.

PAVONCELLO

Nie można powiedzieć, ażeby życie Ernesta Fosca od czasu pamiętnej przygody w filharmonii rzymskiej upływało w sposób bardziej od poprzedniego urozmaicony. Kawiarnia przy ulicy Cavour stała się miejscem bytowania nie tylko porannego, popołudniowego i późnonocnego, aż do chwili zamknięcia, lecz terenem działalności i, poniekąd, domem rodzinnym.

Pewnego dżdżystego wieczora Ernesto w sekrecie przeniósł do kawiarni przy ulicy Cavour swą walizkę niezbyt wielkich rozmiarów i dość umiarkowanej wagi, powierzył ją opiece starszego garsona Ubaldo, człowieka wyjątkowej dobroci, a skłonnego do kredytu w sposób prawie nieograniczony – z zaznaczeniem wszakże wagi moralnej depozytu. Niepokaźna walizka wsunięta została w pewien róg sionki, prowadzącej z ostatniego zakamarka, jeszcze ściśle kawiarnianego, pełnego stałych gości, lecz stanowiącej już bezpośrednio przejście do piekieł ściślej kuchni. Słońce nie oglądało jeszcze nigdy tego zakątka od zamierzonego prabytu kawiarni. Przy blasku wiekuistego płomyka gazu indywidualum zwane *piccolo* zgrywało się tam sekretnie w „more” z osobistością zmywającą filiżanki, między jednym a drugim pohukiwaniem starszego garsona oraz między jedną a drugą błyskawicą furii w oku, zgrzytaniem zębów i gromem w słowie samego „dyrektora”.

Nad bezpieczeństwem i losami walizki Ubaldo czuwał w sposób tajny, niepostrzeżony, a jednak wszechwidzący. Ilekroć jakaś postronna ciekawość czy to ze strony piccola, czy ze strony kogokolwiek wyżej czy niżej postawionego na drabinie kawiarnianej hierarchii usiłowała dotrzeć do wewnętrznej treści i moralnej wagi antyczka, powiązanego misternie rzemykami, sznurkami i zamykanego na dość wątpliwy blaszany zameczek, tylekroć Ubaldo w samym zarodku paraliżował niezdrową pożądlivość umysłu za pomocą piorunującego kopniaka w najniewinniejszą w tym wypadku okolicę ciała. Ernesto Fosca zasypiał bezpiecznie na gościnnym sienniku przyjaciela, pewien, iż jego dobro pod okiem starszego garsona bezpieczne jest jak w zamczystym safesie banku.

Od czasu umieszczenia w rogu sionki wyżej powołanej walizki Ernesto Fosca w tejże kawiarni przy ulicy Cavour otrzymywał listy, ze względu, oczywiście, na zmienność adresów sypialni, w których wypadło mu noce przepędzać. Ubaldo odbierał listy i aż do chwili wręczenia przechowywał w swym pugilaresie, obszerniejszym ponad wszelkie wyobrażenie i określenie. W chwili właściwej, czyli wolnej, wygrzebywał owe listy – przeważnie zresztą miłosnej natury – spomiędzy „dziesiątek” i „setek” zatłuszczonych i nieużytecznych, fałszywych i podartych, spomiędzy rozmaitych notat, kwitów i rachunków, nie uiszczonych przez gości stałych, mile widzianych i zaprzyjaźnionych z instytucją.

Przygoda w filharmonii, o której już była wzmianka, wynikła z racji pewnych powłóczystych spojrzeń. Ernesto Fosca był swego czasu drugim skrzyppkiem w orkiestrze filharmonii.

Jego nadzwyczajna piękność przyciągała zawsze w czasie koncertów spojrzenia pań i panien z łóż sąsiadujących z estradą. Tym razem – trzeba nieszczęścia! – w łoży sąsiadującej z estradą siedziała młoda osoba wielkiej urody, najwidoczniej cudzoziemka, i – trzeba nieszczęścia! – blondyna. Dama – trzeba nieszczęścia! – wyszperała Ernesta skoro tylko koncert się zaczął, i od tej chwili wyróżniała go z tłumu wszystkich innych muzyków swymi własnymi lazurowymi oczyma i przy użyciu szkieł lornetki z taką natarczywością, że istotnie przeszkadzała mu w interpretacji tekstu symfonii. Fosca nie był w sprawach estradowych laikiem, nie pozwalał sobie na takie zbytki, ażeby pierwsze z brzegu oczy z pierwszej łoży wytrącały go z równowagi i z partii. Ale to ciągle nagabywanie nie tylko spojrzeniem, szklami, lecz i uśmiechem, już to jakby niespodziewanie zachwyconym, już jakby bolesnym, zaczęło go koniec końców niepokoić. Trzymał się w ryzach i grał jeszcze pewniej niż zwykle. Grał na „strunach duszy” tej tam blondyny. Nadymał się, marszczył, potrzasał czarną, lśniącą grzywą, przechylał głowę i demonicznie przyciskał szczękę do deski skrzypiec, słowem, wyczyniał z siebie wielkiego artystę. Na widok tych bestialskich gestów oczy cudzoziemki omdlewały coraz bezradniej. Ernesto począł interesować się, po prostu przez wrodzoną mu badawczość intelektu, znamienymi objawami tych omdleń. Przyprawiał nawet swe własne jastrzębie oczy o mniemane zachwyty. Ostatecznie – człowiek jest człowiekiem. I kiedyś przecie w życiu ma się dwadzieścia sześć lat!

Przepełnęła właśnie wspaniała pierwsza część w „Patetycznej Symfonii” Czajkowskiego. Rozległ się spazmatyczny dwugłos skrzypiec głównych i otwarła się przed słuchaczami jak gdyby wielka kwietna dolina, w której dalekości samotna fletnia wabi ku sobie. Fosca, zatopiony właśnie w tyle zajmującej rozmowie swych oczu z oczyma cudzoziemki, przegrał najpoprawniej w świecie ów dwugłos skrzypcowy, literalnie nie wiedząc o tym, że go już przegrał. Nie wiadomo, jakim się to stało sposobem, dość, że się stało. Wydało się młodzieńcowi, że jeszcze skrzypce nie grały tej pieśni. Ernesto Fosca powtórzył sobie mechanicznie, w zapomnieniu o świecie bożym, swój skrzypcowy udział w spazmatycznym dwugłosie, gdy już wiolonczela inny temat traktowała. To solo wyleciało w powietrze jak raca. Kapelmistrz rzucił w skrzypka pioruny oczu i wykonał takie ruchy pałeczką, iż zaiste równały się ścinającym czynnościom kata na szafocie. Tenże kapelmistrz trzymał Foscę przez chwilę w swych rozszalałych wyciągniętych rękach, jak czarnego kreta schwytanego na gorącym uczynku. W niego to walił swym hebanowym narzędziem kary, jakby mu wymierzał wściekle cięgi z prawej i lewej strony. Symfonia runęła w swe niezbadane przestwory. Ernesto Fosca poczuł zimno w rdzeniu pacierzowym. Przeczynał, iż ten *passus* na sucho mu nie ujdzie.

W istocie, ledwie rozległy się oklaski, kat zeskoczył z szafotu i przywołał do siebie winowajcę ruchami przypominającymi zarzucanie rzemiennego arkanu, długiego lasso, na antylopę uciekającą w popłochu. W zakamarkach kulis kapelmistrz wyliczył przestępcy w same białka oczu setki, tysiące, miliony wyrazów tak dalece nieparlamentarnych, niesmacznych, gminnych, transtewerańskich, iż słuchacz nie zdołał wielu z tych metafor gwarowych nie tylko spamiętać, ale nawet jednych od drugich wyróżnić. Nadto kapelmistrz oświadczył w furii, która żadną miarą nie mogła mu wyjść na zdrowie, iż Fosca traci miejsce drugiego skrzypka dziś, w tejże godzinie, w tejże minucie, w tej tercji. Nadto tenże oświadczył, iż dołoży wszelkich starań, ażeby Fosca nie mógł się dostać nigdzie, nigdy, w żadnym punkcie globu ziemskiego na miejsce drugiego skrzypka w orkiestrze. Nadto tenże przeklął go i wydziedziczył, wygnał z Rzymu, z Rumunii, z Toskanii, z Umbrii, z Lombardii, z Włoch, z Europy, z kontynentów, z łądów, z ziemi. Targał swe długie, mocno przerzedzone kędziory, zgrzytał wypróchniałymi zębami, jakby z zamiarem odgryzienia cudnego nosa zgłupiałemu skrzypcielowi i pocwałował w przestrzeń do miarodajnych czynników, ziejąc żądaniem kontrasygnowania natychmiast tychże postanowień. Postanowienia tyrana i kata w jednej osobie zostały kontrasygnowane. Na miejsce „drugiego” wszedł rywal, czatujący od kwartałów na gratkę tego rodzaju.

Początkowo Fosca niewiele sobie robił z całej afery. Wielkie mi rzeczy: drugie miejsce w orkiestrze dla niego, artyści, kompozytora! Nic, co prawda, do tej pory tak dalece nie skomponował i nic nie wydał, ale za to jakież ogrom pomysłów i kompozycji miał w sobie – a przynajmniej, ileż o tych światach wewnętrznych mógł powiedzieć w gronie kolegów artystów, skoro do zwierzeń na ten temat przyszło! Dopóki czuł w pugilaresie liry wypłacone mu przez filharmonię na skutek zerwania kontraktu, lekcewał sobie utratę posady. Lecz liry wyfruwały z pugilarasu szybciej niż spłoszone wróble ze stodoły. Ten i ów z przyjaciół pożyczł na parę dni jeden i drugi dziesiątek. Za tego i owego wypadło zapłacić po bratersku obiad i kolację, a nazajutrz znowu obiad, a nawet znowu kolację. I oto wnet zmanifestowała się osobliwa cienkość i wiotkość grubej dopiero co paczki banknotów. Ernesto zaczął poważnie zastanawiać się nad sytuacją. Lecz zastanawiając się wciąż poważnie i głęboko, żył po dawnemu płytko i lekkomyślnie.

Wbrew oczywistości, w głębi swej właśnie lekkomyślnej duszy wierzył, iż kapelmistrz filharmonii dozna wyrzutów sumienia, zawstydzi się, uderzy w piersi, zmięknie, złagodnieje, zapomni. Początkowe nadymanie się ustąpiło miejsca pewnym dalekim zabiegom za pośrednictwem przyjaciela przyjaciół, postawionego na drabinie burżuazyjnej wyżej, niż zazwyczaj postawieni byli światoburcy przyjaciele. Lecz odpowiedź kata była zimna, nieubłagana i ordynarnie zwięzła. Kapelmistrz odpowiedział z szyderstwem, iż „solista” Fosca ma wszelkie dane, żeby grywać w kinematografach, a nawet – o nieba! – w restauracjach, na czele własnej orkiestry. „Solista” – a więc wszystko pamiętał... „W kinematografach”... Nie tylko krwawa ironia zawarta była w tym wyroku. Zawarta w nim była – niestety! – konieczność. Co robić? Drugiej filharmonii w Rzymie, stolicy świata, nie było. Nie było również orkiestry, gdzieby skrzypki tej miary, co Fosca, z tak poważną przeszłością, kwalifikacjami i aspiracjami, mógł zasiąść przy pulpicie, „ofiarować swój talent dla dobra świetnej całości”. A tymczasem liry zniknęły.

I oto, nikomu z przyjaciół nie mówiąc ani słowa, zataiwszy ten fakt przed najbliższymi sercu, Ernesto Fosca... począł grywać jako „solista” w kinematografie firmy Cines. Tam „ofiarował swój talent”. Chodził do budy kinematograficznej, na miejsce swej hańby, zaułkami, tyłami, podwórzami, w kapeluszu nasuniętym na oczy. Zgięty w pałąk wsuwał się na miejsce z drzwiczek umieszczonych pod estradą i wygrywał rzewne albo siarczyste ilustracje ekranowych katastrof i perypetyj. Co najgorsza, za ten upadek płacono mu tak podle, że niepodobna było ze sprzedaży ducha na funty istnieć, wyżyć. Ledwie starczyło na obiad w gar-kuchni, na opłacenie wspólnego z kolegami legowiska i na maskowanie spłaty długów fundamentalnych, zaciągniętych i zaciąganych u dobrotliwego Ubalda na małą czarną, powtarzającą się *usque ad infinitum*. Ubranie w zatrwajaący sposób przecierało się na łokciach, rudziało systematycznie i nabierało plam na klapach. Rękawy popadły w szczególniejszą manię strzępienia się w okolicach dłoni, a nogawice w pobliżu kostek. Kolana wypchnęły w pewnej części odzienia dwie podobizny kopuły Panteonu, nie poddające się już prawom pierwotnego zaprasowania. Krawat skręcił się w istny stryczek. Kapelusz, czarujący borsalino, z dawniej nadanego mu kształtu artystycznego zawadiactwa przeszedł samowolnie w stan rozpaczliwej obwisłości skrzydeł. Bielizna! Skarpetki! Chustki do nosa! Chroniczny brak papierosów i chroniczny brak drobnych na mydło i golarza!

Ze wszystkiego pozostała tylko ta sama szatańska uroda. Włosy z odcieniem po prostu fioletowym – źródło przezwiska „Pavoncello”, Pawik – oczy piękności czarodziejskiej, usta, zęby, kształt głowy i wspaniała gracia całej postaci. W kapeluszu ze skrzydłami obwisłymi czy nie – w zrudziałym czy w nowusieńkim korcie, ogolony do cna czy fiołkowy od nie skrobanych w ciągu kilku dni policzków, warg i brody, Ernesto Fosca był najpiękniejszym Włochem w Rzymie, cudem i wzorem rasy łacińskiej.

Gdy przed południem, wylazłszy z pospólnych sienników i spod starych peleryn, bez śniadania i bez papierosa, niesiony był przez zastarzały nałóg wprost na róg ulicy Cavour, a za-

ciekle rozmyślanie nad sposobem pompięcia od kogoś z przypadkowo spotkanych znajomych forsy na śniadanie nadawało oczom, ukrytym w cieniach obwisłego ronda, wyraz głębokiej melancholii – nie było kobiety jakiegokolwiek rasy, wieku i hierarchii społecznej, która by go nie prowadziła oczyma i westchnieniem aż do oleandrów kawiarni.

W kawiarni samej bywało w tych godzinach pusto. Nikogo ze „świata”! Garsony, w bezczynności zleniwiałe i spanoszone, witały tego gościa wzrokiem kamiennym, a niejednokrotnie ledwie dostrzegalnym wzruszeniem ramion. „Dyrektor”, o ile zjawiał się w tym czasie, zginając swój byczy kark przed rzeczywistymi klientami budy, tego nie płacącego gościa witał przelotnym mrugnięciem oraz jakimś łącznikowym ledwie pochwytnym wydymaniem byczego karku. Te ruchy kawiarnianego bawołu budziły w melancholiku kipiący gniew i wywoływały na wargi niejedne z tych starorzymskich metafor, które był słyszał od nerwowego kapelmistrza, skierowaną ku swej osobie. Nie zaspakajało to jednak głodu ani uciszało żądzę dymu w dziąsłach, zębach i na poniebieniu. Zdarzały się dni, iż Ubaldo, bez żądania, pytania, skinienia, spojrzenia, przynosił jedną małą czarną z kapką wody, zabarwionej jakąś cieczą białą – tudzież jednego briosza, niezdatnego do użytku z racji przepalenia albo niedopiecznienia. Stawiał przed ponurym muzykiem tacę z takim westchnieniem, jakby na to miejsce przydźwigał fontannę Trevi – bez słowa oddalał się i tkwił między gramofonem i kredensem, przypatrując się posepnymi oczyma apetytowi bruneta. Zdarzenia takie trafiały się w początkach epoki niepowodzeń. Z czasem ustały. Melancholijny kompozytor mógł sobie siedzieć, przeglądać krajowe i cudzoziemskie ilustracje, pogwizdywać i ziewać, nawet wykłuwać zakładowymi wykałaczkami swe prześliczne zęby – nikogo to nie wzruszało ani skłaniało do współczucia. Ubaldo drzemał, a raczej – o, obłudo! – udawał, że drzemie.

W tych rannych godzinach przyjaciele artyści, malarze, rzeźbiarze, muzycy, architekci, poeci, literaci, dziennikarze, młodzi profesorowie rewoltujący przeciwko „przykom”, nim sami zostali zakamieniałymi „przykami” – wszystek ów wrzeszczący świat „stałych” gdzieś coś robił albo, co prawdopodobniejsze, jeszcze się wylegiwał. Wyjątkowe to były wypadki, żeby o tej samej godzinie którykolwiek z tamtej kompanii zajrzał do kawiarni. Na widok takiego przybysza ciepło radości przepływało przez stęskniony organizm lazzarona Foski. Pewny był wówczas papierosa, nie była „wykluczona” filizanka fusów z tak zwanym mlekiem i nieodłączną skamienieliną briosza. Częściej niż ktoś ze znajomych zjawiała się o tej porze jakaś kobieta samotna albo cudzoziemska panna, tkwiąca w rodzinnej gromadzie. Następowaly wówczas nieuniknione uśmiechy i spojrzenia, długie jak Via Appia. Wszystko kończyło się zazwyczaj wyjściem z kawiarni, spacerem po Via Appia, kołowaniem, głupim przystawaniem i jeszcze głępszym nawracaniem bez powodu, aż do chwili obiadowej, kiedy już kiszki literalnie w struny skrzypcowe się skręcały.

Z czasem usposobienie personelu kawiarni tak dalece wyzbyło się wszelkiego ciepła (z wyjątkiem Ubalda, który nie tak łatwo się zmieniał), iż Ernesto Fosca w godzinach rannych unikał tego nieprzyjemnego lokalu. Od jednego z towarzyszków, pisującego w pewnej gazecie artykuły z zakresu plastyki, rewolucyjne aż do granic wściekliwości, Ernesto otrzymał bezpłatny bilet wstępu do wszystkich prawie muzeów. W tych tedy przedobiadowych godzinach już to zwiedzał osobliwości miasta Rzymu, już przesiadywał na głodno w galeriach i muzeach. Złośliwi twierdzili, iż ten Fosca zmienia zawód: nie będzie już pono grywał na skrzypcach w kinematografie, lecz przedzierzga się w cicerona. W tym celu uczy się ruin. Była to, oczywiście, potwarz. Ernesto niczego się nie uczył. Po prostu, nie mając rano nic a nic do roboty, gnił w muzeach. Łaził od dzieła do dzieła sztuki, wchłaniał każde po raz setny oczyma, oglądał, badał, przetrawiał, taksował, umieszczał w wyzięblej dziś, a przecie młodej i pulsującej wrażliwości – i siedł dalej.

Oczywiście trafiały się i tam przygody, czyli spojrzenia, uśmiechy, rozmowy, spacer – z nieodstępną myślą o tym, że się jeść chce i że nie ma papierosa. Owe przygody znudziły się wreszcie Ernestowi. Poddawał im się dla zabicia czasu i z lenistwa. Prędzej przedobiedni czas

schodził, gdy z jakąś poszukiwaczką przygód, cudzoziemką lub krajanką, paplało się i przewracało oczy do przewróconych oczu.

Zasadnicza część doby trwała dopiero wieczorem, po zaniknięciu kinematografu. Kawiarnia była wówczas pełna, naładowana, nabita. Powietrza nie dostałby na lekarstwo ani odrobiny, dymu za to kłęby, warstwy i pokłady wałęsały się pod sufitem w ludzkim zaduchu. Wrzawa „sfery”, zebranej przy okrągłym stole w jednej z bokówek, zwracała powszechną uwagę. Tam właśnie roily się i wirowały nowe myśli, idee, nazwiska, fakty, dzieła, książki, pomysły i wymysły. Ernesto Fosca cichaczem przebywał w tej zgrai. Pozycja jego upodobniała się raczej do roli statysty niż do roli czynnego i buńczucznego aktora. Słuchał i potakiwał, gdy wodzireje decydowali, potakiwał najczęściej gestem, niezdecydowanym okrzykiem, pomrukiem albo i samym uśmiechem. Lubiono go tam, gdyż nikomu z potentatów kawiarni nie narażał się ani zastępował drogi, nie wrywał się naprzód z niczym nowszym ponad „prądy” uznane już na tym gruncie za najostatniejszą nowość, za kanon modny i sztandar walki ze starzyzną. Nie brano za złe miłemu braciszкови-łacie, zwanemu „Pavoncello”, że się w chwilach niepowodzeń pekuniarnych ochotnie dobiera do braterskiej papierošnicy oraz mrugnie raz w raz na tego lub owego, żeby zań konsumację opłacić, gdyż sam szciodrą miał rękę i nie poczytywał papierosów za swą własność w szczęśliwych okresach, gdy był przy pieniądzu. Za plecyma szydzone oczywiście z jego śmiesznej tragedii, z historycznego już „solo” w orkiestrze. Śmiano się szczerze z ukrywania się, z milczenia o kinematografie, z rzępolenia rzewnych melodii w rzewnych miejscach filmów. Lubiono także tę prześliczną głowę przy stole, niewymowny wdzięk czoła, owianego istną chmurą połyskliwych włosów. Przyzwyczajono się do słabego półuśmiechu zaiste boskich warg, gdy się uśmiechały z byle czego.

Pewnego pięknego poranka Ernesto Fosca błędził w galeriach Watykanu. Zaglądał w oczy starym znajomym – Apollinowi *Citaredo* i Apollinowi belwederskiemu oraz wielu innym bogom i boginiom. Kiwał nad nimi głową z politowaniem, dając im znać, iż doba ich bezpowrotnie przeminęła i najmniejszego waloru nie przyznają im już wielcy artyści i wielcy krytycy z kawiarni obsługiwanej przez dobrotliwego Ubalda. Dość już mają nagiego skostnienia w mniemanym ruchu. Ziewając powlókł się dalej do ziemianki, tancerki w małym salonie masek.

Zaciszny ów trzem mniej ściągtał zwiedzających, toteż Fosca mógł tam swobodnie wyglądać oknem na Góry Babińskie i błędzić leniwie oczyma po ich błękitnym zarysie. Znał od dawien dawna wszystkie przedmioty zgromadzone w tym gabinecie. Szukał tu chłodu, ukrycia się przed wiosennym upałem, przetrwania w spokoju i wśród miłych z dawna form, kształtów i wspomnień przedobiedniego łaknienia.

A jednak tancerka grecka wbrew woli i wbrew lenistwu pociągła jego oczy. Niezależnie od kawiarnianych teoryj, decyzji i wyroków, w tajemnicy niejako przed estetami i przed sobą samym, podobał sobie w tym marmurze. Nie mógł się oprzeć impresji czysto latyńskiej, zachwytwowi żywiołowemu, gdy ten różowy złom pentelikońskiego marmuru, jako czarująca naga kobieta, tańczył w jego oczach.

Wdzięk i pokuszenie jej były tak nieprzewyciężone, iż krytycznie nastrojony obserwator począł doświadczać niejasnych a niestłumionych wzruszeń. Była bowiem w tym posągu zawarta jak gdyby suma kobiecości, obraz tego, co we wszystkich kobietach, razem wziętych, jest ich najsubtelniejszym urokiem, tajemniczym zapachem, pięknnością najistotniejszą, mocą sekretną, odurzającą jako zaklęcie, które niweczy wolę. Marzenia męskiej młodości, wszechwładnie i ze wszech stron, zawsze i w każdym swoim objawie ogarnięte przez kształt kobiecy, przesycone nim od początku swego do końca, wcieliły się w bryłę tego marmuru. Nie było w tym artystycznej kontemplacji dzieła sztuki, lecz zawrót głowy, duszenie w sercu, niewiadomość w myślach a i szal nerwów.

Zapomniane strofy poezji snuły się dokoła płasów tego widma, które było czymś więcej niż dziełem sztuki, bo było samym życiem, istotą życia, jego radosną treścią, jego rozkoszą,

schwytaną w chwili szczęśliwej i utrwaloną na wieki. Melodie najczarowniejsze, skrzypcowe cuda, których ucho muzyka jest pełne, na podobieństwo jaskółek poczęły wirować dookoła głowy z marmuru, wieszając się u uśmiechniętych warg, u radosnych ust, w których przebywa samo szczęście bytowania, zdrowie i żądza miłości. Ernesto Fosca zmrużonymi oczyma przypatrywał się uwodzicielce sprzed tysięcy lat i poświstywał na jej chwałę hymn najbardziej wzniosły, wymuszony przez namiętny, młodzieńczy zachwyty. Nie zdziwiłby się był wcale, gdyby ta driada, tak radośnie płasająca, zbiegła ze swego marmurowego tronu i w skokach doskonale pięknych, nieomylnie natchnionych, porywających aż do szału, obiegła ciche schronienie, gdzie są uczczone prace przedwiecznych artystów.

Powiódł oczyma dokoła drogi jej domniemanych polotów – i wzdrygnął się ze zdumienia. Niedaleko od miejsca jego adoracji stała przecudna żywa driada. Podobnie jak on, z uwielbieniem patrzyła na posąg, a podobnie jak posąg, uśmiechała się radośnie. Ernesto pojął natychmiast, iż odprawiał tu samowtór z nieznaną współwielbicelką nabożeństwo do greckiej tancerki. Zawstydził się i z miejsca rozżłościł. Psuło mu to dzień i dawało znać o głodzie. Z tą właśnie złością spojrzął jeszcze raz na nieznaną i – oszołomiony nagłym przypomnieniem – wściekł się w dwójnasób. Przecież to była ta sama, ta z loży w filharmonii! Ależ tak, blondynka, sakramencka cudzoziemka, która go pozbawiła posady, skazała na grywanie w kinematografie, na wypijanie, zamiast normalnego śniadania, ambrozji zachwyty do greckiej taneczniczki z marmuru!

Spojrzął na przekłątą winowajczynię w sposób odpowiedni i zajrzał jej w oczy z sekretnym, a tak mocnym romańskim przekleństwem, że powinno ją było na miejscu utrupić. Ale jej nie wyrządziło krzywdy. Podniosła na przekleńnika oczy lazuru, ogromne, niewinne, śniące o miłości, marzące – ależ tak, do licha! – marzące o nim. Zrobiło mu się niewyraźnie, ckliwo, mdło. Przypatrywała mu się błagalnie, a pochutliwie, sennie, trwożnie, żałośnie. Uśmiechała się niby to nie do niego, niby to wciąż jeszcze do tamtej przyjaciółki, ale usta jej, sto tysięcy razy piękniejsze niż usta driady, bo pełne żywej krwi, a nadto z lekka ukarminowane barwiczką, zdawały się mówić tysiące słodkich, błagalnych i dziękczynnych powitań. Ernesto Fosca był w kłopotach. Chciał po prostu wyjść z tej dziury i zakończyć nieme gadanie oczyma, lichy wie o czym. Chciał jakoś zmanifestować swe mściwe potępienie karygodnych ocznych zabiegów, dzięki którym już raz beknął porządnie. Ale nie był w stanie ani wyjść, ani czegokolwiek mściwie oczyma dokonać. Trudno znowu było zachować się jak cham, gdy tak wykwinna dama patrzy rozmarzonymi oczami.

Zaciekawiło go z lekka, co też to może być za jedna. Oczywiście, cudzoziemka. Włosy jasne jak piasek w Via-reggio, świetliste, pozłociste, kręte a ogromne. Lekki słomkowy kapelusz z pękiem kwiatów ledwie je mógł objąć i związać. Jasna, wytworna suknia przesłaniała kształty tak nadobne, iż grecka tancerka w swej prawie nagości pewnie by się była zawstydziała swoich. Rysy twarzy, delikatne, subtelne, suche, pociągłe, zdradzały ów ród ludzi północnych, obcych rasie łatyńskiej, a tak ją dziwnie nęcących.

W pomieszaniu, bezwiednie, piękna pani ściągnęła rękawiczkę i odsłoniła dłoń wypieszczoną, białą, o palcach jak gdyby rzeźbionych w przezroczystym marmurze, na których w dodatku połyskiwały brylanty, migocące tysiącem blasków. W zakłopotaniu swym, w rozterce, zatrwożona, zdawało się, że się zbliży, że przemówi i poda tę obnażoną rękę na powitanie. Ale – nie! Skądże! Przeszła krokami najwidoczniej wytraconymi z pewności i równowagi na drugą stronę posągu tancerki, niby to dla obejrzenia jej z boku. Tam zatrzymała się i podniosła oczy wcale nie na rzeźbę, lecz na Ernesta Foskę. Najwidoczniej, najniewątpliwiej nim była zachwycona i jemu ofiarowywała swe uwielbienie.

Teraz już absolutnie nie wiedział, co począć. Stał, a raczej sterczał. Był zmieszany, zneruchomiał i tak dalece czuł nędzę swej ordynarności, iż gotów był popełnić największą niedorzeczność, byle wybrnąć z tej sytuacji. Gdybyż się choć na chwilę odwróciła, spojrzęła w inną stronę, gdybyż mu dała święty spokój! Istny wąż grzechotnik czy nawet boa! Oczy omdlałe,

niemal we łzach. Usta w uśmiechu. Cała postać zdawała się podawać nieśmiało naprzód, hamować się bezsilnie, żeby nie iść ku niemu...

Ernesto popełnił największe głupstwo, jakie na tym padole można było popełnić: spojrzął na nieznaną całą pełnią ślepiów i zaczął się do niej z baranią radością uśmiechać. Zrobił to właściwie z nałogu, z głupoty czy dla ratowania się z tej zawiłanej sytuacji! – licho go wie! Jeszcze chwila i ukłonił się z elegancją skrzypka drugiej klasy. Uszczęśliwiona, odpowiedziała skinieniem głowy. Wtedy już nie było rady: klamka zapadła. Podszedł bliżej i przemówił ochryplym głosem, a włoską francuszczyzną:

– Chcę pani złożyć podziękowanie za pozbawienie mię posady.

– Pozbawienie posady? Ja... pana... posady – rzekła w zdumieniu, najdoskonalszą francuszczyzną, jaką Ernesto Fosca słyszał kiedykolwiek na Apenińskim Półwyspie.

– Tak jest, pani!

– Jakże to mogło się stać? Jak? Kiedy?

– Przecie pani była dwa miesiące temu w filharmonii tutejszej, na koncercie sobotnim. Graliśmy Czajkowskiego i Wagnera. Szedł „Tannhäuser”.

Uśmiechnęła się rozkosznie, tak rozkosznie, iż Ernesto nie żałował głupstw, których tego dnia tyle już napalił.

– Pamięta pan jednak, że wtedy byłam w filharmonii!...

– Jeszcze by też! Nigdy ten dzień nie wyjdzie mi z pamięci! Nigdy!

– Doprawdy? – zagadnęła rumieniając się, barwiąc się wszystka od fali krwi, aż jej twarz, odsłonięta szyja i zarysy ramion przybrały barwę pentelikońskiego marmuru.

– Tak jest, pani! Nigdy ten dzień nie wyjdzie mi z pamięci, bo wtedy właśnie dostałem dymisję.

Sposepniała, zbielała, jakby ją północny śnieg owiał i zmroził.

– Nic nie rozumiem!... – rzekła w strapieniu.

– Otóż – było tak, pani. Istotnie, zapatrzyłem się – i zrobiłem skandal.

– Pamiętam, oczywiście! Ale skandalu... żadnego nie przypominam sobie! Jaki skandal?

Fosca obejrzał się na wszystkie strony, w obawie, czy nikt nie podsłuchuje, i mruknął w zaufaniu:

– Zagapiłem się na panią i puściłem na skrzypcach drugi raz ten sam głos, który już dawno poszedł sobie do licha. Zaraz mię też wylali. To pani wina!

– Nic o tym nie wiedziałam! Pierwsze słyszę! – zawołała z najgłębszym zmartwieniem.

– Pewnie! Bo i skąd mogła pani wiedzieć...

– Ale to istotnie moja wina! Ja jestem winna! Pamiętam, pamiętam! Ja pierwsza zaczęłam i ja jestem winna!

Obydwoje parsknęli śmiechem. Lecz cudzoziemka wnet spoważniała.

– Panie, to nie może być, żeby pan przeze mnie tracił posadę. To nie może być żadną miarą!

– A, łatwo to powiedzieć...

– Więc co robić?

– Ej – a cóż robić? Nic. Cóż to panią obchodzi?

– Jak to, co mię obchodzi! Tak być nie może!

– Proszę pani – o czym też tu rozprawiamy...

– Nie i nie! Moja wina – sam pan przyznał.

– Takem sobie powiedział, ot, żeby panią oświecić.

– To bardzo dobrze, że mi pan powiedział. Fosca uśmiechnął się z męczeńską ironią.

– Dobrze, niby dlaczego?

– Coś trzeba na to poradzić! Tak być nie może! Zbliżyła się do niego i serdecznie zajrzała mu w oczy.

Wyciągnęła nieśmiało rękę i dotknęła jego ręki. Szepnęła cicho, serdecznie, szczerze:

- A czy dostał pan aby inną posadę?
- Akurat tu, w tym Rzymie, posady rosna jak grzyby po deszczu! Zresztą, co to panią obchodzi...
- Czy mię obchodzi... – westchnęła przelotnie.
- Przecież ja nie wiem nawet, z kim mam zaszczyt rozmawiać o posadzie... – mruknął Fosca.
- I to prawda! Nie zapoznaliśmy się jeszcze, a rozmawiamy jak znajomi. Choć – co do mnie, to ja wiem, jak się pan nazywa.
- Przez chwilę wahała się w najpoważniejszym zawstydzeniu, a później wyznała:
- Pan się nazywa Ernesto Fosca, skrzypek...
- No, przypuśćmy. A pani?
- Ja? – westchnęła z cicha. – Ja... jestem tutaj obca. Jestem Rosjanka. Z daleka, z Petersburga. Pan wie? Jest takie miasto... carskie... Petersburg... – powtórzyła sylabę za sylabą.
- Fosca nadał się, iż biorą go tutaj za analfabetę. Mruknął tedy wyniośle:
- Wiem. Miałem tam jechać z koncertem, ale do tego nie doszło. Impresario skrewił... Dawniej miałem zamiar... A pani tutaj na długo?
- Nie, nie na długo. Jakiś czas. Jestem tutaj... z mężem.
- Z mężem? – Czy tak?
- Z mężem... – powtórzyła poważnie. – Nie podoba się to panu?
- Mnie? Czy ja wiem? Myślałem w pierwszej chwili, że pani jest bez męża. Ale może być i z mężem. Owszem.
- Mój mąż jest wysokim, nawet bardzo wysokim dygnitarzem na dworze carskim... – rzekła pośpiesznie.
- W Rosji prawie wszyscy mieszkańcy muszą być niesłychanie wysokimi dygnitarzami, bo skoro tylko do nas stamtąd kto przyjedzie, to jest albo księciem, albo jeszcze czymś okropnie wielkim.
- Mąż mój jest w istocie czymś okropnie wielkim. Ale co tam! Nie o tym przecie mowa, tylko o pańskiej posadzie. Ernesto przyjął postawę niezłomną i odtrącającą.
- My tutaj, w naszej skromnej Italii, jesteśmy na swych niskich miejscach bardzo drażliwi, gdy mowa o naszych maleńkich tytułach i posadkach. Nie lubimy o tych rzeczach rozmawiać, a trudno nam jest znieść litość cudzą.
- Powiedziawszy ten aforyzm jeszcze bardziej zdumniał i napęczniał.
- Ach, tak! To mówmy co prędzej o czym innym! Ale przecie pan jeszcze nie odchodzi? – szepnęła z prośbą utajoną w tonie głosu.
- Jeszcze nie, skoro pani raczy ze mną mówić.
- Bardzo raczę mówić!
- A gdzież jest mąż pani?
- Mąż mój jest tutaj, w muzeum.
- A! – nawet tutaj...
- W jednej z sal sąsiednich. Może sobie ogląda Rafaela... Bo mój mąż należy jeszcze do tych sfer zacofanych, co to wciąż uwielbiają Rafaela... Epoka Stendhala...
- Rafaela uwielbiamy wszyscy... – rzekł Ernesto w sposób wyniosły i nie pozbawiony tajemniczości.
- Ale pan... Pan przecie obcuje wciąż z ludźmi o najnowszych poglądach, z elitą, z prekursorami. Pan idzie w jednym szeregu z nowatorami, z burzycielami, z tą śmiałą, młodą dziczą, z falą szaloną, dążącą do zwycięstwa.
- Fosca zmrużył oczy dając znak, że istotnie dąży wraz z innymi do jakiegoś zwycięstwa.
- A skądże to pani wie, że ja pijam kawę z tą „dżiczą”? – dorzucił pytanie na wszelki wypadek.
- Wiem! – rzekła z błyskawicą w oczach.

– Proszę pani... A jeżeli mąż pani przyjdzie tutaj, do tej sali *delle maschere*, jeżeli nas zastanie tak oto swobodnie i przyjemnie rozmawiających... Gotów mię jeszcze kazać porwać, bić tym jakimś specjalnym knutem, wywieźć w kibitce na jakiś ów Sybir, zakuć w kajdany, a co najmniej kazać tajnym agentom odstawić z naszego Rzymu do Petersburga...

– Porwać pana z Rzymu do Petersburga! Byłoby to ponętne, jeśli nie dla mego męża, to dla innych osób w naszej rodzinie. Ale to panu nie grozi. Nie. Mój mąż jest to grzeczny i delikatny *gentleman*, dyplomata, prawnik, nawet prawodawca, amator sztuchów, akwafort, akwatint i innych jakichś tam jeszcze grawiur. Po prostu przedstawię pana.

– Ale... skądże! Jakim sposobem? Przecie się jeszcze wciąż nie znamy.

– Ja, widzi pan, jestem despotka. W Rosji wszyscy jesteśmy despotami. Tam – co człowiek to despota, tyran i rozkazodawca.

– A któż słucha?

– Ci, co im się rozkazuje. W danym razie pan musi słuchać.

– O, co to, to nie! Nam rozkazywać nie tak łatwo. *Noi siamo latini!*

– *Latini...* – powtórzyła cudzoziemka, wpatrując się z namiętym szaleństwem w jego przepaściste czarne oczy, nad których głębią przepływał połysk srebrzysty.

– Nie będzie pan po dobremu, z posłuszeństwem słuchał? – spytała cicho.

– Nie wiem, jak to tam będzie... – odrzekł nie wiedzieć czemu również cicho.

Ozionęło go diabelskim pokuszeniem przejmujące piękno jej postaci, zapach jej perfum, przeszył go na wskroś biały blask jej zębów, przeniknął go karmin jej ust i pochłoneły lazururowe oczy, ponad których chłonny urok jeszcze nigdy nic wzniosiejszego nie widział.

– Skąd pani wie, że mnie na imię Ernesto i w dodatku jeszcze – Fosca?

– Od moich tajnych agentów, od szpiegów – rzekła przymrużając śliczne oczy.

– A pani jak na imię?

– Ja noszę rosyjskie imię Zinaida.

– Dziwne imię. Nie słyszałem.

– Nie podoba się?

– Nie.

– Co tu robić?

W tej chwili dał się słyszeć szelest kroków i wszedł do sali człowiek starszy, a tak dziwnie elegancki, że wydawał się wszystek jakby zaprasowany i nieco zanadto prosto z igły. Był to osobnik już głębiej drażniony zębem czasu, a tylko dzięki nadzwyczaj starannemu wygoleniu, wyszczotkowaniu, wypomadowaniu i wygumowaniu jeszcze jakoś podelektryzowany. Wąsy jego duże i rzadkie były rozpostarte, niby na drutach, we dwie strony suchej i kościstej twarzy o oczach siwych, przenikliwych i napastujących najniewinniejszych obywateli. Widząc Ernesta rozmawiającego z piękną Zinaida starszy pan zatrzymał się i swym przeszywającym wzrokiem mierzył Włocha.

– Oto mój mąż – szepnęła nieznajoma do Ernesta. Mówiąc to skinęła głową na męża i przywołała go.

– Michel – rzekła powabnie – oglądamy z panem Fosca tancerkę. Gdzieś się podziewał? Czy wiesz, Michel, pan Fosca przeze mnie stracił posadę.

– Posadę stracił? – dziwił się Rosjanin francuszczyzną nie mniej poprawną niż wymowa jego żony.

– Pan pozwoli, że go zapoznam z moim mężem... – rzekła do Ernesta.

– Pani!

– Mój mąż, pan Fosca... – wtrąciła pośpiesznie, z lekkością, niczym jakiś szczegół nieważny.

Rosjanin wymówił jakieś nazwisko, złożone z szelestnych spółgłosek, i wyciągnął do Foski rękę suchą, kościstą i dziwnie, nadmiernie wymytą. Ernesto czuł się w sytuacji bardzo niejasnej. Skądże, jakim sposobem wpadł w tę znajomość?

– Pan utracił posadę przez moją żonę? – zapytał dygnitarz jak na śledztwie.

– Och, drobiazg! – wybełkotał Fosca nie mogąc dość szybko namacać w ustach francuskich wyrazów i nie wiedząc, jak tu wytłumaczyć ową utratę posady.

– Pan Fosca jest muzykiem, skrzypkiem. Grał w tutejszej filharmonii. Ja skierowałam na pana *face-à-main*, gdyż, jak ci wiadomo, interesują mnie bardzo skrzypkowie orkiestry. Badałam tę sprawę. Dzięki tym moim obserwacjom i badaniom pan się pomylił...

– Doprawdy? Współczuję panu!... – mówił Rosjanin uśmiechając się tak szczerze, iż można było widzieć obie połacie jego wypróchniałych zębów.

– Michel! – krzyknęła piękna pani. – Ty sobie współczujesz, ale pan stracił posadę! Rozumiesz to czy nie? Stracił posadę!

Michel wzruszył z lekka ramionami. Po chwili spojrzął na Ernesta swymi rybimi oczyma i mierzył go od stóp do głów spojrzeniem tak zimnym i przeszywającym, że muzyk stracił zupełnie pewność siebie. Nawet wówczas, gdy już stanowczo należało zmienić przedmiot rozmowy, kamienne spojrzenie nie opuszczało Ernesta.

– Cóż tak patrzysz! – zaperzyła się piękna Zinaida. – Łatwo ci patrzeć!...

– Łatwo, niełatwo... – wycedził Michel przez swe niezbyt idealne uzębienie. – Cóż mam począć, mój aniele?

– Myśl o tym!

– Myślę.

Obydwoje zajrzeli sobie w oczy i przerzucili wzrokiem jak gdyby jakieś wyrazy. Ernesto począł wypowiadać niepoprawne gramatycznie wyrazy francuskie, zawierające w sobie zamiar pożegnania się i odejścia.

– Dokąd pan chce iść, dokąd? – pytała Rosjanka.

– Na obiad, pani.

– Nigdy! Michel! – zawołała na męża.

– Pan pozwoli, że zjemy dziś obiad razem, u nas... – uprzejmie zwrócił się Rosjanin do muzyka.

– Przepraszam bardzo, ale nie jestem przygotowany. Czekają na mnie. Państwo wybaczą...

– Nie, nie wybaczymy! Jedźcie pan z nami i basta! Mieszkamy w willi „Ifigenia”. Nie będzie nikogo oprócz nas, więc nie potrzebuje pan przebierać się ani stroić. Porywamy pana, wprawdzie nie do Rosji, lecz do „Ifigenii”. Nie ma o czym mówić!

– Nie mogę, pani. Jestem zupełnie nieprzygotowany. Państwo pozwolą, że kiedy indziej...

– Nie i nie! To już zdecydowane.

– Despotyzm rosyjski, panie... – śmiał się dostojnik zwany Michelem.

Ernesto Fosca, mając w pamięci kołnierz swego surduta, krawat, mankiety, gors koszuli, zakończenia rękawów, klapy, guziki i tak dalej, czerwienił się i mieszał coraz bardziej. Lecz nie znalazł w sobie dość siły do opou. Brakło mu francuskich wyrazów i decydujących argumentów. Czegoś się zawstydził, czegoś przeląkł, czymś stropił, i jak na ścięcie szedł z tymi obcymi ludźmi poprzez sale muzeum, przez przedsionki i dziedzińce poza bazyliką, aż do powozu stojącego w cieniu kolumnady Świętego Piotra. Nim się spostrzegł, już jechał dokąds – w istocie przemocą porwany.

Jadąc powozem przez miasto Ernesto Fosca rozglądał się na prawo i na lewo w obawie, czy kto ze znajomych nie zobaczy tego nagłego wywyższenia. Na szczęście nie dojrzał ani jednego z kawiarnianych wykpiszów. Powóz przebiegł główne ulice, Piazza del Popolo, wielką bramę i pognał długą, zamiejską drogą. W pewnym miejscu skręcił, piął się przez czas pewien pod górę wyżwirowanym półkolem obmurowania i zatrzymał przed bramą pięknej willi na wzgórzu. Bramę natychmiast otwarto i powóz zajechał przed przedsionek. Muzyk doznawał uczucia, iż sam wlażł oto na ekran kinowy, przed którym codziennie musi wygrywać, i pokazuje samemu sobie jakieś niestworzone ambaje przygód. Dygnitarz rosyjski poprosił go dwornie, żeby wszedł do wnętrza.

W obszernej sieni lokaje ściągnęli z ramion Ernesta podrudziałe paletko z uszanowaniem, a nawet z namaszczeniem, oglądając rozmaite zabarwienia i wygniecenia jego kostiumu. Zaproszono gościa, żeby wszedł do salonu. Piękna pani gdzieś znikła i tylko jej mąż dotrzymywał towarzystwa stropionemu artyście. Poprowadził go do bocznego gabinetu i zaproponował, czy przed podaniem obiadu nie zechciałby obejrzeć kolekcji grawiur, świeżo nabytych tutaj w Rzymie i w innych miastach słonecznej Italii.

Fosca chętnie przystał, rad, że czymkolwiek załata dziwaczność swej obecności w tym miejscu i zagłuszy wewnętrzną rozterkę. Przywołany lokaj z pośpiechem przysunął pewien przyrząd na kółkach, którego drabinki rozłożone we dwie strony utworzyły jakby ogromną rozłożoną księgę. Można było na tym pulpicie wygodnie przekładać wielkie arkusze sztychów. Fosca poświęcił się temu z przejęciem, kiedy niekiedy wygłaszając jakieś banalne, przeważnie pochwalne, określenie tego lub owego sztycharskiego dzieła.

Nie obejrzał jeszcze trzeciej części zbioru, gdy do gabinetu niepostrzeżenie wsunęła się piękna gospodyni. Zobaczywszy ją bez kapelusza i w innej sukni Ernesto tknięty został jej urokiem. Kapelusz już nie zasłaniał jej przepysznych, połyskujących włosów i czoła, okolo-nego ich barwami ze szczególną harmonią. Ciemna atlasowa suknia odsłaniała i uwidoczniła szyję wynurzającą się, jak doskonale piękne dzieło, znad uchylonych zarysów młodocianych piersi i spomiędzy ramion, zaiste alabastrowych. Piękna pani przysiadła niepostrzeżenie z boku i nieco z tyłu za Ernestem. Przypatrywała się scenom, portretom i widokom, które się przewijały przed jej oczyma.

– Grawiury, grawiury... – mówiła z cicha, a w taki sposób, że szept jej warg wpadał wprost do ucha Ernesta.

– Czy podają? – zapytał dyplomata.

– Za chwilę. Czekamy jeszcze na Sieriozkę.

– Powinien już być.

– Zobacz. Może przyszedł.

Mąż wysunął się z tego gabinetu. Słysząc było słabe skrzypnięcie deszczulek posadzki, gdy się kroki jego oddalały. Skoro zaś ucichły zupełnie, Fosca znowu stracił pewność siebie. Nie wiedział, jak się teraz zachować. Czy się odwrócić, zaniechać mechanicznego oglądania, co mówić? Usiłował zdobyć swobodę, być sobą, a jak na złość coraz bardziej tracił się i gubił. Na szczęście usłyszał zapytanie:

– Czy nie chciałby pan zagrać?

– Nie mam tu skrzypiec.

– To ja poślę po skrzypce.

– Po moje?

– Właśnie!

– Moje skrzypce są w kinematografie.

– Poślę po nie. Pan napisze karteczkę, żeby wydali.

– Doskonale!

Fosca wydobyl stary i zniszczony portfel i w pewnej jego przegródce wyszperał pogięty i zabrudzony swój bilet wizytowy. Nasmarował ołówkiem żądanie wydania skrzypiec. Pani Zinaida zadzwoniła, wręczyła służącemu bilet i kazała natychmiast przynieść z lokalu kinematograficznego skrzypce Ernesta.

Załatwiwszy tę sprawę wywabiła swego gościa z gabinetu sztychów i zaprowadziła go do narożnej alkowy, gdzie stał czarny, krótkotułowy, błyszczący Bechstein na niewielkim podwyższeniu. W głębi tej bokówki rozstawione były niskie sofy, szerokie i wygodne, niczym starorzymskie łoża – oraz jaśniało kilka mebli z drzewa brzozy, zwanego czeczotką albo rokieta, o przedziwnie mozaikowym rysunku rocznych słoików, których flader powyginany w najrozmaitszy sposób sprawiał wrażenie delikatnego marmuru z Sieny, zdobionego najfanta-

styczniej. Meble te były obce dla włoskiego oka Foski, toteż naiwnie spytał swą przewodniczkę, co to jest za drzewo. Nie umiała mu powiedzieć.

– Po naszymu, w naszym rosyjskim języku nazywa się to drzewo – *korelskaja bierioza*. Proszę powtórzyć!

Ernesto krztusząc się powtórzył:

– *Korelskaja bierioza*.

– No, dobrze, barbarzyńco – rzekła. – W nagrodę wolno panu będzie wyjść na taras.

Wyszli obydwój na taras willi, przypartej do wyniosłego zbocza, zawieszony nad parowem. W oddali widać było Pincio z jego masą drzew i białymi willami przeglądającymi spoza zieleni. Daleko błękitniał i szumiał wielki Rzym. Z tarasu wiły się w zakosy schody prowadzące w dół aż do cichej, zamiejskiej bocznej uliczki. Chłodny wiosenny wiatr, w którym zapach róż polatał, rozdmuchiwał jasne włosy cudzoziemki Zinaidy i wprawiał w drżenie delikatne zakładki atlasu, które otaczały jej szyję. Pochyliła się nad parowem, oparta na żelaznej balustradzie, i pokazywała muzykowi kamienne schody zbiegające w dół, a raczej pnące się z tej niziny ku górze i ku wysokiemu balkonowi. Fosca przypatrywał się z uwagą tej drodze, myśląc wciąż o tym, co on tutaj robi, po co tu jest. Wściekle jeść mu się chciało. Gdyby tak zdarzyła się sposobna chwila, gdyby tak miał pod ręką swój wyszarpany „parde-siuczek”, kapelusz i laskę, zbiegłby oto z tego balkonu krętymi schodami i pognął do macierzystej garkuchni na smakowitą, gęstą *minestrone* i *spaghetti*, które tam już cierpliwie czekają pod ręką starej Verginety. A tu tymczasem piękna pani cudzoziemka zaczęła znowu coś za wiele prawić. Mówiła o tym samym temacie, o dymisji, o swojej winie, dzięki czemu narażony jest teraz na prywatyzację i niedostatek. Wyprostowała się, przysunęła bliżej i szepnęła:

– Chce pan żyć ze mną w przyjaźni? W dobrej i nieprzymuszonej zgodzie?

– Ależ tak, pani!

– Otóż...

Zawahała się, zakłopotana. Wreszcie rzekła:

– Widzi pan, jest taka sprawa... Jestem winna, że pan stracił posadę. Muszę to naprawić. Mój mąż... Mój mąż musi uiścić się... Nieprawdaż? Musi dać pewne odszkodowanie za utratę tej posady. Czy nie? Czy nie?

– Nie rozumiem pani – mruknął twardo Fosca czując, że się pod nim nogi uginają.

– Nie rozumie pan? – mówiła tracąc również pewność siebie...

– Nic a nic!

– Mój mąż znajduje, że powinniśmy pomóc panu. Przecie to pana nie może obrażać.

– Pozwoli pani, że ją pożegnám! – rzekł Fosca zmrużając oczy, żeby nie ujawnić zawartego w nich wstydu, poczucia zniewagi i gniewu.

– Dokąd pan chce iść, dokąd? – rzuciła natarczywie.

– W tym, że mąż pani chce mi coś tam ofiarować, a pani to proponuje, jest dla mnie zniewagą, na którą niczym nie zasłużyłem. W ogóle... jestem tutaj... jestem tutaj... nie na swym miejscu! Pozwoli pani, że sobie już pójdę.

Stała o krok przypatrując mu się spod oka. Spostrzegł, iż pewna drobna żyłka na jej szyi drga, bije silnie ledwie dostrzegalną pulsacją, ni to dzwon tajny, bijący wewnątrz na trwogę. Zrobiło mu się dziwnie żal tej małej, śniadej, prawie niewidocznej żyłeczki.

– Już nigdy, nigdy, przenigdy z czymś podobnym... Nie ośmielę się! Nigdy!! Przysięgam! – mówiła prawie bez tchu, usiłując spojrzeniem, gestem, głosem, niemal krzykiem prześlagać Włocha.

– „*Mon verre est petit, mais je bois dans mon verre*”... – powiedział Fosca ni w pięć, ni w dziewięć, aczkolwiek z wielką godnością.

– Skończona! – zawołała radośnie... – skończone raz na zawsze i już nigdy o tym ani słowa! Chodźmy...

Wrócili do pokoju z Bechsteinem. Z gospodarzem, który już zdążył przywdziać czarny żakiet, rozmawiał młody człowiek. Był ryżawy, troszeczkę piegowaty, ale zgrabny i wykwintny. Całował rękę pani Zinaidy z elegancją, nie spuszczać ani na chwilę swych bładoniebieskich oczu z twarzy muzykanta.

– *Monsieur Fosca, monsieur Emielianow...* – rzekła pani Zinaida.

Ernesto potoczył oczyma i spostrzegł, że mąż gospodyni, stojąc nieco z boku, przypatruje się osobom zgromadzonym w tym pokoju z wyrazem nieopisanej ironii. Zdawało się, że lada chwila zanieś się od śmiechu. Na wargach jego czaił się uśmiech złośliwy i jakby zdyszany od rozpędu w szyderstwie. Młody człowiek nazwany Emielianowem skłonił się Ernestowi z daleka. Zaraz też, bokiem do niego zwrócony, zaczął półgłosem rozmawiać z mężem Zinaidy w niezrozumiałym rosyjskim języku.

Zinaida przeszła do sąsiedniego salonu i skinieniem głowy poprosiła za sobą trzech mężczyzn. Salon był duży, pusty, błyszczący. Stołki i sofki empirowe, pokryte różowym atłasem, stały tam, istne niemowy, wzdłuż ścian niepokalanie białych.

– Kto to jest ten piegowaty pan? – zapytał Fosca.

– Właściciel tej willi, Emielianow.

– Co to za jeden? Co on tu robi?

– Jak to – co robi? Nic nie robi. To milioner, może nawet miliarder, członek naszego poselstwa tutaj w Rzymie.

– Kocha się oczywiście w pani? – zapytał ze śmiechem.

– Skądże to takie przypuszczenie?

– Przecie to widać.

– Być może... – bąknęła wydymając wargi.

– Skądże taka pogarda?

– Bo cóż by mnie mogła obchodzić miłość takiego indyckiego jaja, gdyby mię nawet swymi amatorami obdarzało.

– Więc w pani może się kochać tylko piękny człowiek?

– O, tak! Piękny! Piękny! Piękny jak pan!

– Alboż ja jestem piękny?

– Niby to pan nie wie! Pan jest cudowny, precudowny, najpiękniejszy, najzgrabniejszy, najwytworniejszy z ludzi na kuli ziemskiej.

– Szczególniej w tym ubraniu...

– Nie suknia człowieka zdobi, tylko człowiek suknię.

– Tej sukni nie jestem w stanie żadną miarą ozdobić, chociaż jestem w łaskawych oczach pani tak piękny.

– W moich łaskawych oczach... – mówiła z wolna, patrząc mu w oczy, zaglądając w źrenice, ogarniając jego wzrok swymi fiołkowymi tęczęwkami i tonąc nawzajem w jego wzroku, jak niebo tonie w wodach ziemi. Dwaj panowie weszli do salonu, wciąż z żywością rozmawiając. Członek poselstwa carskiego spomiędzy swych białych rzes miał w Ernesta Foskę istne granaty wybuchowe spojrzeń. Każde poruszenie jego, każdy gest, brzmienie głosu znamionowało zazdrość bez miary i granic. Na szczęście wszedł do salonu nowy gość, czarny, niski, perkaty, przysadzisty Włoch, o twarzy czerstwej i zdrowej jak dojrzewający pomidor. Posunięciami ruchliwymi, a pełnymi elegancji, ten nowy gość witał panią Zinaidę, jej męża i zazdrosnego Emielianowa. Na widok Ernesta wparł w muzyka swe świecące, okrągłe oczy. Gdy Michel przedstawił mu „signora Foskę”, przybysz uśmiechnął się cierpko i rzucił pytający rzeczownik:

– Skrzypek?

Otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź już się owym „skrzypkem” nie zajmował, nie widział jego obecności. Rozmowa potoczyła się teraz na przemiany po francusku i po angielsku. Wszyscy mówili tymi obydwojema językami tak łatwo, lekko, potoczyście, wprawnie i

barwnie, jakby to były ich mowy rodowite. Ani włoskich, ani rosyjskich wyrazów nie zażywano. Wychodziło na to, że byłaby w tym pewna niewłaściwość. Ernesta zachwycała owa łatwość przerzucania się od mowy do mowy, owa możność narzucania się ze swobodą w którymkolwiek z tych języków, zażywania obudwu w miarę chęci, impulsu, jakiejś wygody, co przypominało mu ruchy człowieka rozspanego w dobrym łóżku. Ocknął się oto po twardym i dobroczynnym śnie, wygodnie mu jest leżeć na prawym boku, ale jeszcze milej, jeszcze wygodniej będzie na lewym, więc się obraca zażywając nadmiaru rozkoszy.

Lokaj wszedł do salonu i coś niezrozumiale zaanonsował. Zinaida podążyła naprzód do sąsiedniego pokoju – za nią mężczyźni.

Michel pieczołowicie przepuszczał przed sobą „skrzypka”. Miejsce ostatniego wypadło na prost gospodyni. W czasie rozmowy mógł patrzeć na nią twarzą w twarz i podziwiać jej urodę. Twarz jej była szczególnie dziewicza, jakoś czysta, nie tknięta żadną zmazą, isticie wiosenna. Włosy lśniły i promieniały na słońcu, które wpadało do pokoju przez okno. Policzki barwiły się raz w raz, a usta uśmiechały po dziecięcemu, odsłaniając dwa szeregi precudnych zębów.

Jakże smakował artyście obiad! Początkowo wygłodniały bezśniadaniowiec, wstydząc się prostactwa swych ruchów i nędzy odzienia, usiłował mało jeść. Ledwo, ledwo dziobał kawalczki mięsa czy ryby. Ale doskonałość potraw była tak wszechmocna, że go smak jedziwa pokonał absolutnie. Ernesto począł jeść i pić. Cóż za wino! Jakaż kawa! Co za likier!

Wina wypił sporo. Był syty. Czuł się znakomicie i począł nic sobie nie robić z trzech „burżujów”, których miał na podorędziu. W pewnej chwili, gdy przydługo milczał, Zinaida zagadnęła go:

- O czymże to pan tak uparcie myśli?
- Myślę – rzekł w sposób porozumiewawczy – że ja w istocie bardzo nędznie mieszkam, jem, piję, śpię i w ogóle pędzę żywot.
- Ach, to dobrze, że pan o tym myśli! – zawołała ze szczerą radością.
- I cóż mi przyjdzie z myśli...
- To już początek. Dobry początek! A co, zagramy? Ci trzej panowie pójdą sobie na cygara i papierosy a my spróbujemy. Może się uda... Dobrze?
- Bardzo dobrze!

Fosca znalazł się znowu obok fortepianu. Wydobył skrzypce z futerału. Gdy je teraz miał w rękę, poczuł pewność siebie i męstwo. Nareszcie odeszło od niego zestrachanie i skostniałość. Jakże doskonale było życie, którego tutaj zakosztował!

Pani Zinaida usiadła przy fortepianie. Wyszukała wśród masy nut „Appassionatę” Beethovena i rozłożyła ją na pulpicie. Poczęła próbować. Fosca nastroił skrzypce i powiódł smyczkiem po strunach. Jego włosy o fioletowym połysku przewiał teraz jakowyś wiatr radosny i porywczy. Posłyszał swe doskonale dźwięki, swe tony chłoszczące nerwy, zachwyty wyrwijące z leniwego ciała.

Szczęśliwie, nieomylnie poniosła się melodia boskiego dzieła. Rzęsiste, siekące skojarzenia brzmień wzmagały się i potęgniały. W pewnej chwili trzeba było przewrócić kartę nut, na którą akompaniarka bezradnie spoglądała. Ernesto musiał przerwać i, dla przewrócenia karty, nachylił swą twarz niemal do twarzy Zinaidy. Wtedy usłyszał głos cichy, błagalny, oszalały z zachwyty, tchnięty w samą konchę swego ucha:

– Ernesto!

Sądził, że go słuch myli. Rzucił się do skrzypiec. Teraz – jakże nerwowo, jak namiętnie, jak szalenie biegnęły jej palce poprzez klawiaturę! Ernesto słyszał nie kołatanie w struny, lecz głos samej muzyki. Pewne uderzenie, pewien żywy głos zdawał się wymawiać, jak przed chwilą, jego imię, wzywać go, wołać. Ten dźwięk, ta mowa spiskowa muzyki zdawała się rozsuwać wewnątrz jego duszy jak gdyby błonę tajemną, oddzielać połowę od połowy i do-

cierać do ostatniej głębi. Usłyszał muzykę. Pieśń żywa ocknęła się w nim i jak anioł wzniosła się z dna duszy. – Zagrał.

W pewnej chwili rzucił okiem dokoła. Trzej mężczyźni siedzieli na wygodnej sofie. Najdalej kurczył się w kącie Emielianow. Głucha i głęboka rozpacz wyryta była na jego twarzy.

Pieśń odleciała; Ernesto zadał sobie pytanie:

„Co ja tu robię! Po co tu jestem?”

Czuł tu coś niedobrego. Nie podobał mu się własny tryumf i ta moc, którą roztaczał nad uroczą cudzoziemką. Spojrzał na nią z góry tym władczym, nieokiełznanym spojrzeniem, jakie rzuca grający artysta. – I oto – jak się dosłuchał muzyki, tak samo dopatrzył się piękności w tej kobiecie. Od poruszeń i pochyłeń się w czasie gry uchylały się pasma wątlęgo atłasu, odsłaniając piersi niczym dwie białe gołębicę miłośnicie do siebie wzajem nachylone – odsłaniała się szyja i barki aż do łopatek, pełne piękności nieopisanej, niewysłowionej, jedynej a wieczystej. Fosca nie czuł w sobie namiętności, lecz chłonał piękno samo, istotę, bytowanie, objawienie i moc jego nieśmiertelną. Jego płomieniste, srebrnie migotliwe oczy zajaśniały od zachwyty bez granic. Czuł, że krew ścina mu się w żyłach od mrozu natchnienia i ścieka aż do stóp. Gdy przyszło znowu przewrócić kartę nut, powiedział z cicha:

– *Carina!*

A gdy po skończeniu tego muzycznego utworu pani Zinaida odeszła od fortepianu, Ernesto uczył jej nieobecność w sobie samym. Było to uczucie niesamowite, jakby jaźń rozwdajała się, jakby się sam od samego siebie odrywał, oddzielał, odłączał i oddalał. A skoro szelest jej sukni znowu dał się słyszeć, muzyk uczył trudne do wyjawienia upojenie, spokój i szczęśliwość.

Zbliżała się godzina piąta, początek kinematografu. Fosca zapakował skrzypce, okrył je kołderką, pożegnał się z Michele i jego żoną, wysunął na taras i po stromych, bocznych schodach zbiegł na ulicę. Daleko, spod bramy del Popolo, obejrzał się poza siebie. Widać było na wzgórzu oświetlone okna willi „Ifigenia”.

– *Korelskaja bierioza...* – wyszeptał wkładając w te niezrozumiałe brzmienia niezrozumiały dlań zawrót własnej głowy, popłoch w sercu i zamęt w uczuciach.

Po upływie kilku dni od pierwszej wizyty w willi „Ifigenia” Ernesto Fosca dostał od pani Szczebieniew bilecik, zapraszający go znowu na śniadanie „ze skrzypcami, a nawet bez skrzypiec”. Ernesto poszedł ze skrzypcami i po śniadaniu grał z panią Zinaida. Między godziną tych poobiednich rozkoszy muzycznych a początkiem seansu w kinematografie, gdzie Fosca musiał być obecny, zostawało parę godzin wolnego czasu. Ten to czas zużytkowano pracowicie, przeznaczając go na grę innego rodzaju, czyli po prostu na *bridge'a*. Grał sam Szczebieniew, jego żona, milioner Emielianow i Fosca. Nim nadeszła godzina piąta, gra musiała się kończyć, gdyż muzyk bał się jak ognia utraty posady, a nawet sama pani Szczebieniew jak oka w głowie pilnowała czasu muzycznego urzędowania swego przyjaciela.

Gra w karty szła o tak grube stawki, że Fosca zasiadając do zielonego stołu doświadczał zawrotu głowy. W porę piękna opiekunka szepnęła mu niemal do ucha, żeby się tych grubych kuszów nie lękał, bo jeśli – czego Boże broń! – przegra, ona pożyczycy mu pieniędzy na zapłacenie przegranej. Śmieszna, iście hołocka pycha, nie pozwalająca przyznać się do niedostatku, skłoniła Foskę do udawania, że się nie lęka przegranej! Na szczęście starorzyska Fortuna sprzyjała niepospolicie potomkowi Rzymian: wygrał kolosalną na jego stosunki sumę, blisko cztery tysiące lirów. Szczęście sprzyjało mu tak dalece, że można było poczytywać je za pozostające w zmowie z uroczą Zinaidą, a nawet z jej mężem. Ale jakże to Fosca mógł poczytywać za spiskowca w tej sprawie ponurego Emielianowa? Wolał tedy poprzestać na wierze w swe szalone szczęście do gry w karty. Po rozliczeniu się rudy Emielianow, „Sieriożka”, za-

zartował nawet ze słowiańską rubaszością z wygranej Ernesta. Puścił się na cierpki dowcip, iż „szczęście w kartach odbiera szczęście w miłości”.

Dostojny Szczebeniew zmarszczeniem dyplomatycznego czoła odsunął daleko ten temat rozmowy, wykreślił go skrzywieniem ust z programu wesołej gawędy. Fosca szedł do swej „budy” w szczęśliwym usposobieniu ducha. Liczył i przeliczał kapitały zawarte w zestarzałym pugilaresie, nie przyzwyczajony do takich ciężarów. A więc – ubranie wiosenne, bielizna, kapelusz, lekkie buty, laska, chustki do nosa – ach, chustki do nosa! Na zakręcie ulicy Capo le Case, przed sklepem rękawicznika, wykrzyknął niemal na głos wielkie odkrycie, wynalazek duchowy: ależ rękawiczki!

Jeszcze kilkakroć – bo prawie co dzień w ciągu tygodnia – powtarzały się koncerty popołudniowe w „Ifigenii”, a po koncertach karty. Fosca nie przegrał ani razu. Ani jednego razu! Wygrane były raz sutsze, drugi raz skromniejsze, ale były! Fortuna sprzyjała wciąż młodzieńcowi. Z bijącym trwożnie sercem zasiadał do stolika, a z bijącym radośnie wstawał.

Był teraz ubrany równie elegancko jak jego nowi znajomi. Nie tylko golił się, ale i cesał u fryzjera. Kazał sobie sporządzić *manicure* nad pazurami, zapuszczonymi od paru kwartałów. Perfumował się! Zapłacił wszystkie dawne długi. Wyłowił zastrzale karteczki i notatki z puligaresu Ubalda. Wykreślił wszystkie, najstarsze gzygzaki w jego ponurym dossier. Spłacił gotowym, szeleszczącym banknotem objawy przyjaźni starego garsona. Ubaldo dziwił się, medytował, kiwał głową. Kłaniał się! Przyzwyczajony do przeróżnych widowisk na arenie kawiarni i świata, nie pytał młodzieńca o przyczynę i źródło tych jego przewag. Poddał im się bez zdziwienia i protestu.

Przyjaciele, towarzysze okrągłego palisandra, stali bywalcy, ujrawszy Foskę w nowych kortach i webach, uczesanego i woniejącego, popadli w tak wielkie zdumienie, iż – rzecz nie do wiary! – zaniemówili. Przypatrywali mu się, dotykali go palcami, wachali go. Wyglądał bowiem jak ziszczony sen o młodzieńcu niezwalczonej urody. Znajdowali, że w istocie, jak Apollo, mógłby teraz skinieniem zwoływać muzy, gdyby jeszcze w Rzymie istniały – zgwidzdywać nimfy, driady, boginki, jakie tylko gdzie jeszcze są i kryją się przed księżmi po dziurach.

Gdy teraz ów Fosca szedł skromnie brzegiem chodnika, ten sam, a przecie inny, lśniący, wykwinny, pewien nie tylko siebie, ale pewien swego nowego stroju, nie nimfy co prawda i nie driady, lecz wszystkie ziemianki, jakie tylko gdzie były w jasności dziennej, tudzież po dziurach, gotowe były w myślach swych, w sednie woli, biec na jego każde kiwnięcie palcem, a nawet – zaprawdę! – świeńcie, co więcej, gotowe były, gdyby kazał, czyścić mu lśniące półbuciki z ochotą wielką.

Jadał teraz już nie w garkuchni, lecz, jak padyszach turecki czy perski, opychał się smakołykami. Chyłkiem, wbiegał do drogich restauracji i wsuwał pośpiesznie jakowąś drogą potrawę. Po prostu żeby wiedzieć, jak się takie dziwowiska jada. A nuż coś podobnego w willi podadzą...

Dla kolegów stał się wylany, oddany, hojny. Stawiał nie tylko temu lub owemu w pojedynkę, lecz stawiał bandzie. Gdy pytano, skąd to, z przeproszeniem, napłynęły takie kapitały, skromnie mawiał, iż ma koncerty w pewnych arystokratycznych cudzoziemskich kołach. Tyle zaś powiedziawszy, na resztę zapuszczał wyniosłe milczenie. Wobec tego pospółstwo artystyczne zajęło się swymi bieżącymi sprawami tudzież plotkami.

Fosca był przezorny: nie opuszczał kina. Przewidywał, iż może się zgrać do nitki, a wówczas zostałoby to, co na grzbiecie, oraz filmy. Poczciwy kinematograf nie starczyłby ze swą miesięczną pensją na stawkę w kartach, a przecież był gruntem, podstawą, fundamentem życia. Muzyk ani myślał odpychać stopą, odzianą w jedwabną skarpetkę i lakierowany bucik, tego gruntu twardego.

Decyzja owa była ostatnią reszteczką dawnego czasu. Fosca się zmienił. Wszystek należał do czegoś nieznanego, co się dlań otwarło i ukazało w willi na wzgórzu. Porwało go to nowe życie. Wlepił się w jego dobro, zapadł z głową i obcasami. Było tam doskonale i rozkosznie. Doświadczał uczuć błogich, jak człowiek, który po długim czasie bierze ciepłą wannę. Rano tęsknił za śniadaniem w willi, po ocknieniu się w nocy liczył godziny do poranka, w kinematografie ciągnąc smyczkiem po strunach pragnął grać dla pani Szczebieniew. Pożądał jej szeptu, gdy coś sekretne mówi, coś zwiastuje, coś radosnego, oszołomiającego, nowego... Ludzie w całym Rzymie wydawali mu się teraz mali, codzienni, pospolici, ordynarni, nudni, natrętni... Tam było wszystko niewiadome, zastanawiające, znaczne, ważne, dostojne i tak interesujące, iż tylko tamtymi osobami warto było zajmować się, myśleć o nich, zastanawiać się głęboko nad wszystkim, co mówią, czynią i zamierzają.

Między Ernestem i panią Zinaidą Szczebieniew nie było ani cienia romansu, miłości czy tak zwanego flirtu. Fosca nigdy jeszcze od początku znajomości nie pocałował tej damy w rękę i nie obdarzył jej znaczącym spojrzeniem. Była to raczej jakaś zaprzepaszczonego przyjaźń, wzajemne upodobanie w sobie, posunięte do granic koleżeństwa, współbraterstwa. Ernesto wypowiadał prosto i szczerze swe zdanie o każdej sukni pani Zinaidy, ganił niektóre jej stroje, słowa, sposób zachowania się, wybuchy i pomysły. Innymi zachwycał się aż do szału.

Gdy pierwszy raz przyszedł w nowym ubraniu, wyświeżony i niejako w nowej skórce, dostała z radości lekkiego obłędu. Skakała, płakała, śmiała się, pudrowała, czerwieniła sobie wargi, patrzyła nań ze wszystkich stron, a nade wszystko, siadłszy naprzeciwko nowego eleganta, wlepiała weń zachwycone oczy, aż do – co się polskim wyrazem doskonale określa i wyraża – zupełnego zaślepienia. Ona to teraz wskazywała mu do wyboru w sklepach najpiękniejsze krawaty, które dla niego na wystawach galanteryjnych Wiecznego Miasta wyszperała oczyma. Uczyla go swobody ruchów, naturalnego zachowania się w salonie, póż i manier. Tłumaczyła mu znaczenie pewnych angielskich wyrazów, które trzeba było koniecznie umieć i rozumieć. Była dla Ernesta siostrą, przyjaciółką, nauczycielką, opiekunką i ochmistrzynią, a nieraz czymś bardziej bacznym, pilnym i oddanym, niż on sam był dla siebie. Była bowiem źrenicą czuwającą sekretnie, która wszystko przewiduje. Tych dwoje ludzi miało takie upodobanie w przebywaniu razem, w rozmowie sam na sam, w ciągłym i nieprzerwanym zainteresowaniu się swymi sprawami, przeszłością swą i przyszłością, myślami i poglądami, iż mogło to wyglądać na jakiś zapalczywy romans. Tymczasem nie było tam nic zgoła, prócz rozkoszy wzajemnego obcowania, zatapiania się w sobie dwu bytów, dwu dusz.

Pewnego dnia, gdy Ernesto odchodził do swej poobiedniej roboty skrzypcowej, a był bardzo silny marcowy wicher, pani Szczebieniew wybiegła za nim na taras i prosiła, żeby się czymś okrył. Nie chciał. Był przecie zdrowy jak koń czy muł pociągowy. Wtedy przemocą zarzuciła mu swój ciemny pled na ramiona, a koniec szala przerzuciła na lewe ramię. Przy tej czynności okręcania szyi, gdy się bronił i opierał w istocie jak muł, na jedno mgnienie źrenicy objęła jego głowę obiema rękami. Poczul na policzku tchnienie jej oddechu. Poniósł ze sobą w gwarne ulice miasta to gorące tchnienie na policzku. Czul je na twarzy nawet wtedy, gdy je już wiatr wiosenny zwiął i unióśł na sobie.

Kiedy indziej wychodzili razem na schody prowadzące do Trinità dei Monti. Nakupili rozkwitłych, przepysznych róż. Nieśli je razem, niby ofiarę dla bóstwa szczęścia, które gdzieś w górze przebywało. I bóstwo szczęścia dało im chwilę rozkoszy. Czuli w sobie lekkość i zdolność do lotu jak ptaki. Rozłożyć tylko skrzydła i uciec z ziemi, zabierając z niej jedynie wonne, pąsowe i cieliste róże.

Innego dnia, w czasie zwiedzania całym dworem kościoła San Piëtro, gdy „stary mąż” Szczebieniew, z racji swych niedomagają, został na samym dole, a Emielianow dotrzymywał towarzystwa do wnętrza kopuły, Fosca i pani Zina we dwoje postanowili wtargnąć na zewnętrzną powierzchnię kopuły i wejść na krzyż. Ernesto szedł pierwszy i wstąpił po drabinie na najwyższy szczebel krzyża. Ale stanąwszy tam i spojrzawszy poza siebie, zadrzał w

śmiertelnej panice. Towarzyszka eskapady szła za nim tuż-tuż, ale była blada jak śnieg. Wiotkie jej ręce, niczym szpony, obejmowały zardzewiałe żelazne pręty drabiny – usta były uchylone do krzyku, suknie wiatr targał, a cała postać trzęsła się jak liść podczas burzy. Fosca począł krzyżeć, żeby natychmiast zstępowała na dół, żeby się z całej siły trzymała żelaznych szczebli. Posłusznie ją cofać się z zamkniętymi oczyma, szukając nogami oparcia. Gdy wreszcie stanęli w otworze wewnętrznych schodów, Zina była prawie omdlona. Wargi miała sine, oczy bielmem zasze. Długa chwila upłynęła, zanim przyszła do siebie. Wtedy szepnęła:

– Ernesto – jak tam było dobrze... Sami jedni, sami jedni na tym krzyżu...

Pewnego wieczora „solista” dał w kinie zastępcę za siebie, a sam wybrał się do „Ifigenii” na proszony wieczorny obiad. Było to już w jego epoce frakowej. Na obiedzie było dużo osób z różnych ambasad i z miasta, figur, o których się czyta w dziennikach, gdy wypadnie jakaś wielka feta albo uroczystość dworska. I oto w takim towarzystwie Fosca był dostrzeżony przez wszystkie damy. A gdy grał po obiedzie, miał u swych stóp roziskrzone spojrzenia. Będąc zaś tak wielkim potentatem, wstydził się swego tryumfu, wskutek czego był aż zanadto potulny, cichy i zamknięty w sobie na wszystkie nowo nabyte spinki. Chętnie się miał ku kątowi i rad ginął w tłumie mężczyzn. Żeby się jednak schował za sto fraków i tyle gorsów dyplomatów Rzymu, to go stamtąd wydłubywały spojrzenia dam dojrzałych i ich niedojrzałych córek, zawsze arystokratyczne, ale nie zawsze skromne.

Tego wieczora lał, jak z cebra, najulewniejszy deszcz.

Wiatr miotał na balkon istne konwie i misy wody, zalewał szyby szklanych drzwi. Potężni przedstawiciele potęg politycznych Europy, Ameryki, Azji, nie wyłączając Afryki, a nawet Australii, wsiadali kolejno pod blaszanym daszkiem podjazdu do szczelnie zamkniętych samochodów i na sucho pomknęli do podjazdów swych pałaców. Wkrótce salony willi opustoszały. Fosca został sam jeden z liczby zaproszonych gości. Było już bardzo późno, więc zaczął wybierać się w drogę. Automobil Emielianowa odwoził kogoś z gości i nie wracał, więc Ernesto miał iść w tę diabelną ulewę piechotą. Pani Szczebieniew tudzież pan Szczebieniew nie zgadzali się na to, żeby na czas tak okropny tłukł się po nocy. Wtedy właściciel willi Emielianow z mniemanym wylewem gościnności zaproponował Ernestowi nocleg. Są przecież na drugim piętrze gościnne pokoje! Zadzwoił. Wydał służącemu polecenie, żeby pokój niezwłocznie przygotowany. Fosca, słuchając dudnienia wody w rynnach i bulgotania jej za szybami, chętnie przyjął goście.

Pokój, zwany gościnnym, do którego służący zaprowadził muzyka, znajdował się w części willi zawierającej w sobie mieszkanie samego dyplomaty Emielianowa. Ernesto zauważył długi korytarz, jaskrawo oświetlony, z którego na prawo i na lewo szły drzwi do pokoi, zapewne równie jak jego schronienie – gościnnych. Gdy za przewodnikami drzwi się zamknęły, Fosca znalazł się, w ślicznym gabinecie, dostatnio umeblowanym, który był sam w sobie odosobniony jak numer hotelowy. Za oknem szalała wciąż ulewa. Przygodny wędrowiec otworzył okno i zapatrzył się w Rzym widoczny poprzez mglistą zasłonę ulewy. Nie tyle oczyma, lecz raczej kombinacją pamięci i zmysłem wzroku rozpoznawał kształty wielkich ciemnych mas – Watykanu, Pałatynu, Kapitelu, Awentynu...

Doświadczał najrozkoszniejszego uczucia nowości, odkrywania rzeczy nieznanych na świecie i uczuć zgoła nowych w sobie. Był dotąd niczym, był w gawiedzi. Nieznajoma kobieta wyprowadziła go za rękę z tłumu, jak dobre bóstwo, między tyle ciekawy, nieznaną, dostojny ród bogaczy, pokazała mu zupełnie innych ludzi i inne stosunki. Uczciła go, wywyższyła, rozradowała. Oto tego wieczora, gdy była zajęta swymi gośćmi, szukał jej spojrzenia. Nie dostrzegała go w tłumie. Wtem oczy jej splonęły, jak w nocy dwa ognie – twarz zmieniła się, stała czujną – uniesienie rozpostarło się nad jej równymi brwiami, jak werset pisany na czole białym, ni to śnieg nieskazitelny w górskich wyżynach. Serce Ernesta zadrdzało z dzikiej radości. Był pewien, że go już dostrzegła, że go zobaczyła baczną źrenicą, choć nie pochwycił w swe oczy jej spojrzenia. Była tego wieczora piękniejsza niż kiedykol-

wiek, przeszła wszystko, co o kobiecej piękności można wymarzyć. Oczy jej roztaczały niewymowną fiołkową zorzę w pamięci każdego mężczyzny, zachwycała barwa włosów i ich naturalne a niespodziane formy. Gdy już mogli rozmawiać, Fosca głosił to wszystko nie jako komplementy albo słowa zalecanek, lecz po prostu, otwarcie, szczerze i prawdziwie, z radością, której nie mógł utaić ani powstrzymać w sobie. Toteż naradzała się z nim o rozmaite szczegóły – o wycięcie stanika, nadzwyczajnie tego wieczora głębokie – dopytywała się, jak lepiej zachowywać się podczas gry na fortepianie – czy nie za wiele śmieje się...

Jemu samemu odwzajemniła się nie pochwałami urody, lecz również wyrażeniem radości z racji jego sposobu zachowania się, wyrażen oraz sposobu ukrywania w tłumie swojej osoby. Mógł bezkarnie patrzeć na jej ramiona, które się ku niemu z objęć sukni wydzierały, śledzić ruchy warg szepczących tajne słowa, jemu tylko oddane poszepty, zamierać w oczach topniejących, nicestwiejących z zachwytu. W hulaszczym, rozbawionym tłumie wznosili szampa-nem niemy toast na cześć swych uczuć, a iskrzące się wino zapalało nieugaszone płomienie w ich żyłach.

Fosca wspominał teraz ten wieczór, patrząc w zamglony, tajemniczy Rzym, napawał się swym szczęściem. Te objawy wytworności, wykwintu, czystości, elegancji, blasku, smaku, połysków i zapachów dawały mu poczucie rozkoszy. Jak obłoki w dolinach gór, rodziły się w nim, w niezbadanej głębi jego istoty melodie nowe. One to go niosły, a on nawzajem wciąż świeże ich zastępy bez żadnego trudu, skinieniem woli, podźwignieniem się radości wywoływał do życia. Począł chodzić po miękkim dywanie, który zaścielał ów pokój – począł przesuwając się wzdłuż mebli, jak gdyby fruwał na niewidzialnych skrzydłach. Wyświstywał w upojeniu melodie absolutnie nowe. Ręce jego ślizgały się po mahoni i hebanie, po brązie i inkrustacji, doświadczając uczucia zimna, które było tak samo rozkoszne jak wszystko inne, albo wyczuwając upał, jak gdyby palce jego miotwały iskry. Nie był w stanie wydostać notesu i zapisać melodii, których całe tłumy, mocarstwa, moce, zastępy unosiły się z jego wnętrza – których miał pełne piersi i pełne uszy. Napawał się samą mocą natchnienia, bezinteresownie i bezcelowo nurzał się w szalach jego ekstazy. Czasami oczy jego padały na obraz Rzymu, oświetlony płomieniami zanurzonymi we mgłę – na Palatyn, Kapitel, Watykan, obrazy snów ludzkości – a rozpętana dusza wchłaniała te formy mroku jako swą własność. Noc tchnęła w otwarte okno zapachy róż, zmoczonych przez nawałnicę...

Ten stan dziwnej euforii Ernesta przerwało jakieś pukanie. Nie można było zorientować się, skąd się rozlega. Fosca uczuł ścierpienie wobec tego, że mu owo kołatanie przeszkadza. Czyżby, chodząc po dywanie, obudził tu kogo? Czyżby świstaniem swych melodii nadużył gościnności? Nie wiedział, gdzie jest ten dźwięk natrętny – w ścianach, w suficie czy podłodze. Na wszelki wypadek uchylił drzwi prowadzących do szerokiej siełni. W tych drzwiach stała pani Szczebieniew.

– Długo stukam... – rzekła z wyrzutem. Serce jej łomotało tak głośno, iż miało się wrażenie, jak gdyby to jego głuche uderzenia słyszać było przed chwilą.

– Nie słyszałem... – wyszeptał Fosca.

– Proszę zamknąć drzwi... – wytchnęła. Przekreślił klucz w zamku.

– Czemu pan nie śpi?

– Nie mogę.

– Przyszłam zobaczyć, jak tu panu jest. Czy dobrze? Spozstrzegł, że ma na sobie inną suknię niż podczas wieczoru. Poprosił ją, żeby usiadła.

– Proszę pana... Pokój Emielianowa mieści się przy tym samym korytarzu. Jeżeli zobaczył, że tu weszła, zabije nas oboje.

– Jeżeli oboje, to drobiazg.

– Mąż...

– Mąż będzie strzelał do zastrzelonych przez Emielianowa. To już naprawdę bagatela.

– Czy wie pan, po co przyszłam?

- Pani jest tak mądra, tak przewidująca, że na pewno cel tej wizyty jest ważny.
- Niech pan zgadnie.
- Gdybym nie zgadł, gdyby powód przyjścia pani był inny, niż myślę, to powinienem sam się zastrzelić. Nie będę zgadywał.
- Co pan tutaj robił, zanim przyszedłem?
- Słyszałem najprzecudniejsze melodie.
- Przeszkodziłam panu.
- Wśród najcudniejszych melodii zobaczyłem panią jako pieśń nad pieśniami.
- To komplement.
- Nie mówię pani nigdy komplementów. Pani wie, że to najszczerza prawda.
- Żeby nie zepsuć całości kompozycji, już idę.
- Zrobi mi pani wielką krzywdę. Nie trzeba było przychodzić. Ale przyjdź i odejść...
- Trzeba odejść.
- Czy pan Szczebieniew – mąż – czeka na panią?
- Mąż! Pan Szczebieniew? Mówi pan rzeczy nadzwyczaj zabawne.
- Trzeba nam było, trzeba było spaść z tego krzyża nad kopułą, potoczyć się po niej aż na samą krawędź, zlecieć stamtąd na kamienie ulicy, roztrzaskać głowy, połamać kości!
- Roztrzaskać tę oto głowę... – mówiła dotykając palcami czoła Ernesta, gładząc końcami palców jego włosy.
- Tak się tylko mogła skończyć w sposób właściwy nasza boska, nasza dostojna, nasza piękna „Appassionata”.

Łzy ciche zwilżyły jej rzęsy i ciężko spadły na policzki. Ujęła w ręce głowę Ernesta i długo, z uporem, z nienasyconym upojeniem wpatrywała się w jego oczy. Czarodziejski uśmiech zakwitł na jej wargach. Ten uśmiech zbliżyła do jego warg. Widział go, a później czuł. Złożyła go w ciągu nieskończonego czasu na jego ustach. Przygarnął ją, przytulił, zabrał poprzez jej miękką szatę. Nie opierała się ani jednym ruchem, gdy tę suknię zwlekał, ściągał i zdierał z jej ciała i gdy nagą zupełnie niósł na łożo. Ale gdy zaufawszy jej powolności szukał łatwej pieszczoty, którą pasja nakazywała wydrzeć z łona rozpustnej mężatki, wstrząsnął się nagle, zdumiał i jak sparzony odskoczył, nabrawszy rozkosznego przeświadczenia, że ma pod swym wzburzonym sercem nieskalaną, nietkniętą dziewicę. Ogarnęło go przerażenie, niemal rozpacz.

Milczeli oboje, słuchając łoskotu swych serc. Patrzała mu wciąż w oczy i smagała go tym samym bez przerwy, niewysłowionym uśmiechem. Ten to uśmiech wiódł go poprzez płomień, od szalu do szalu. Nie mógł zniszczyć tego uśmiechu oczyma, dumającymi nad zagadką życia Zinaidy Szczebieniew. Począł go przygaszać całowaniem ust, które jednak nie uciszało furii, lecz się wzajem rozpałało, jak ogień rozpała się od podmuchów wichru. Jakaś się zawiązała rozmowa ust, utkana z nie istniejących wyrazów, z gwar Północy i Południa, gubiąca się w dwułoskocie serc. Zinaida wyznawała swą miłość szaloną. Nie skarżyła się doświadczając wśród westchnień boleści losu dziewczyny z piosenki oszalałej Ofelii, gdy podobnie jak tamta

—
*Let in the maid, that out a maid
 Never departed more.*

W ciągu kilku następnych dni Fosca nie widział nikogo ze swych rosyjskich znajomych. Nie zaproszony ponownie, wstrzymał się od wizyt. Chodził za to chyłkiem pod willę „Ifigenia” i zza węgłów przyległych domostw wpatrywał się w to siedlisko rozkoszy. Okna były pozamykane, drzwi również, kiedy niekiedy ktoś ze służby wybiegał z domu i pędził do miasta, lecz Ernesto wstydział się zaczepienia szczęśliwca, który mógł przebywać pod dachem willi „Ifigenia” – i rozpytywać go, co się dzieje wewnątrz jej utęsknionych ścian. Po upływie pięciu dni od czasu ostatniego widzenia się z panią Szczebieniew Fosca był literalnie nie-

przytomny. Popadł w stan nerwowego wyczekiwania. Nasłuchiwał, wyglądał, wciąż biegł naprzód, przed siebie, jak gdyby na czyjeś spotkanie.

Wieczorem tego dnia, po odwaleniu „koncertu” w kinematografie, nie panując nad sobą poszedł pod willę. Chciał oddychać powietrzem tamtejszym, patrzeć w oświetlone okna, słuchać szumu pinii i cyprysów zaczarowanego ogrodu. Tameczne kamienie, obmurowanie dróg, zaułki, schody i dachy posiadały tajemniczą siłę przyciągania. Już rozsądnie odchodził do miasta i znowu bezmyślnie wracał. Bał się spotkania z Emielianowem i bał się zetknięcia ze Szczebieniewem. Cóż by powiedzieli ci dwaj, te dwie złowieszcze potęgi, gdyby go tutaj wytropili oczyma, wałęsającego się popod domem? Skradając się okolicami cienia, pod wyniosłością obmurowań, Fosca przywarował w zaułku, naprzeciwko tarasu znanego mu tak dobrze. Wlepił oczy w oświetlone okna. Czyhał na jakiś znak życia Ziny, na jej cień w oświetlonych taflach. Nic i nic! Wałęsał się w swoim zaułku tam i z powrotem, gnębiony przez tęsknotę i zazdrość. Okna były wciąż te same, mlecznobiałe, nieruchome i nieme, nieustępliwe i niezwalczone jak sama tęsknota. Te białe prostokąty znęcały się nad nim, stały się żywymi a wrogimi siłami. Nie mógł znieść ich widoku. Oczy pękały mu z oczekiwania, a wtrzeszczały się nadaremnie.

Pchnięty przez siłę poduszczającą minął kocimi krokami wąską uliczkę, przybył do pierwszych stopni schodów i począł wstępować na wyżynę. Pragnął jedynie zniweczyć nieznośną martwość okien, spojrzeć poprzez przeklęte szyby. W miarę posuwania się ku górze doświadczał jakby czyjejs pomocy.

Coś go podrywało ku szczytowi schodów. Nie wiedział zgoła, kiedy znalazł się na tarasie. Sunąc plecami po żelaznej balustradzie, dotarł do punktu naprzeciwko drzwi saloniku z fortepianem. Nie było tam nikogo. Nikogo!

Spełnił już, czego pragnął. Widzi oto – fortepian, kanapy, stołki, słaby zarys obrazu na ścianie. Wszystko jak w sennym przywidzeniu. Tu jest miejsce, gdzie była ta kobieta, gdy razem grali. Wpatrzył się w to miejsce namiętnie, w szaleństwie, w obłędzie, długo i z męczarnią wyczarowywał wszystkimi siłami duszy jej postać. Była w tym zapracowywaniu się zarazem męka i rozkosz. Gdyby go nawet przydybano w tym miejscu, gdyby go wytropiono na gorącym uczynku i wyśmiano – gdyby miał skutek swego natręctwa utracić możliwość znajomości z całym domem, nie byłby w stanie stamtąd odejść, wyrzec się swego marzenia. Zamierzał w dziwacznej swej furii – przepędzić w tym miejscu noc. Przysiadzie na balustradzie. Kiedyś przecie przyjdzie lokaj i zgasi światło. Wtedy... Co wtedy?

Wzrok Ernesta zahaczył się na pewnym połysku, tkwiącym nieruchomo w czarnej powierzchni fortepianu. Osaczyły go harpie zazdrości, podejrzeń, oskarżeń, zniewag. Przysiadł na poręczy i nieruchomy, jakby sam był z żelaza, z oczyma wlepionymi w fortepian stał się sam martwym miejscem, poprzez które rwą, co w nich siły, cugi i tabuny rozszalałych uczuć.

Aż oto nagle – o rozkoszy! – zobaczył Zinę. – Szła przez sąsiedni salon z Emielianowem. Przybyli do salonu fortepianowego. Usiedli jedno naprzeciwko drugiego przy okrągłym stole, ów Emielianow oparł ręce na krawędzi, na rękach głowę. Patrzył w twarz Zinaidy. Patrzył bez poruszenia głową, bez mrugnięcia powieką. Ona coś nuciała, podśpiewywała, coś w sobie samej dokonywała myślami, jakby nimi niewidzialnie zonglując. Serce w Ernestie przycisnęło się, przeistoczyło – zaiste, w czyhającego tygrysa. Podglądał radośnie, a złowieszczo na coś czekał. Nic nie wiedział, co to teraz będzie, co przedsięwzięcie, co tu za chwilę będzie wyprawiał. Nie wiedział, czy za chwilę nie skoczy, nie rozbije szyb we drzwiach pięściami i łbem schylonym, czy kogoś nie chwyci za gardło i nie zdusi na dobre. Tymczasem cierpliwie czekał. Emielianow nie zmieniał pozycji. Patrzył w Zinę. Ona nie zwracała na niego uwagi. Bawiła się najwidoczniej swoimi myślami, jakby obok niej nikogo nie było w pokoju. W pewnej chwili o coś zapytała Emielianowa patrząc w inną stronę. On nie odpowiedział. Wtedy wstała. Podeszła do odsłoniętej klawiatury. Uderzyła jednym palcem w jęklivy wiolinowy klawisz. Fosca w trzewiach swych usłyszał ten głos, w głąb cielesnej istoty uderzył go ten

dźwięk, niczym grot strzały, trafiający w sedno. To ten dźwięk z „Appassionaty!” Znał go! Pamiętał!

Poruszył się, żeby wstać i iść ku niej. Ale to właśnie ona zbliżyła się do drzwi prowadzących na taras. Zasłoniła drzwi sobą. Gdy położyła rękę na klamce, Emielianow coś powiedział, odwróciła się do niego gwałtownie i wielokrotnie powtarzała, powtarzała z gwałtownym gestem pewien rosyjski wyraz. Wtedy tamtemu ręka usunęła się spod głowy i ta ciężka głowa upadła na krawędź stołu.

Pani Szczebieniew szybkim ruchem otworzyła drzwi. Wyszła z pokoju i niby biały obłok zajaśniała w mroku nocnym. Zobaczywszy przed sobą człowieka na tarasie, zachnęła się wstecz. Fosca chwycił ją za wyciągnięte ręce i nakazał milczenie. Zamilkła. Ciało jej stało się jak mgła, jak obłok. Wtuliła się w objęcia Ernesta na jedno mgnienie żrenicy. Nagle cofnęła się do pokoju. Zamknęła za sobą drzwi i znowu usiadła na prost Emielianowa, przy stole. Coś do niego mówiła, choć nie podnosił swej rudej głowiny. Podźwignęła tę głowę dotknięciem ręki. – Wstał. – Poszła przed nim przez salonik fortepianowy i salon wielki. – Znikli.

Fosca mniemał w swym zachwyceniu, że miał rozkoszne widzenie. Ta złuda ustaliła się, gdy z nagłą we wszystkich pokojach światło zgasło. Nie rozumiejąc logiki tych wydarzeń Ernesto po dawnemu znieruchomiał. Żadna teraz siła nie byłaby w stanie podnieść go z miejsca. Słyszał bicie swego wzburzonego serca, które, jak gdyby współuczestnik postronny wydarzeń, samo jedno ważyło i mierzyło ogrom i ciężar wypadków. W pewnej chwili rozległ się szelest otwieranych drzwi. Fosca zobaczył znowu utęskniony obłok. Miękka ręka znalazła w ciemności jego rękę i pociągnęła go całego ku drzwiom mieszkania. Stał się sam ciemnym obłokiem. Szedł na palcach jak kot czy jak szczur. Stopy jego, miękkie niby z gumy, sunęły po śliskiej posadzce, stapały niedosłyszalnie po odpornej miękkości dywanów, przebiegle wymijały sprzęty, których ciepło i ostrość, na podobieństwo czujących, odosobnionych bytów, zdawały się w zupełnej ciemności dostrzegać. Nareszcie oczy ujrzały światło w szczelinie klucza.

Pani Szczebieniew otworzyła drzwi i wprowadziła Ernesta do swego sypialnego pokoju. Miękkie *tapetti* wyściełały tam całą podłogę więc bez szelestu przyszli obydwójce do niskich fotelów, które stały w głębi sypialni. Kazała mu usiąść. Usiadł. Wskazała mu groźnym gestem ręki drzwi sąsiedniego pokoju. Słyszał rozmowę. Rozmawiali dwaj mężczyźni. Gdy się dobrze wsłuchał, poznał głos Szczebieniewa i Emielianowa. Tak, to ci dwaj wrogowie rozmawiali po rosyjsku.

Pani Szczebieniew przysunęła swój fotel do fotela Ernesta i szepnęła swemu gościowi do ucha, parszkając krótkim śmiechem:

– To heca! „Pavoncello”.... Pawlinuszka... Boisz się?

– Jeszcze jak!

– Ja też.

Położyła mu rękę na ustach i z gestem iście katowskiej groźby kazała milczeć. Milczał. Nietrudno było zresztą milczeć patrząc na tę kobietę odzianą w przejrzystą pajęczynę nocnego stroju. Ernesto zaczął pociągać jedną połowę tego stroju i wydobywać na światło elektryczne śnieżnobiałe ramię. Odpędzała go, ile mogła, wciąż na straszne drzwi wskazując. Tam, za tymi drzwiami jeszcze rozmowa trwała. Lecz oto z nagłą, raptownie ucichła.

– Emielianow poszedł... – szepnęła Zinaida. – Teraz najgorsza chwila. Teraz! „Pavoncello” – teraz!

– Dlaczego teraz?

– Ernesto! Ernesto! – odpowiedziała przyciskając się do niego.

W istocie, było czego lękać się i trwożyć. Rozległo się lekkie, a jednak wyraźne stukanie do drzwi. To Szczebieniew pukał do pokoju małżonki. Zina spytała po francusku :

– Michel, czy to ty?

– Ja, mój aniele.

– A co?
 – Czy można wejść?
 – Nie! Nie! Broń Boże!
 – Dlaczego, mój aniele?
 – Znowu migrena.
 – Migrena... Znowu?
 – Straszna migrena! – mówiła Zina ściskając konwulsyjnie rękę Ernesta.
 – Może mógłbym pomóc ci w czymkolwiek? Może masaż skroni, jak tydzień temu? Pamiętasz? Wtedy pomogło...
 – Nie! Nie! Michel – stanowczo nie! Przez chwilę trwało milczenie. Ale oto utrapiony Michel znowu zastukał.
 – Czego? Michel, czego? Przecie mówiłam...
 – Otwórz!
 – Nie otworzę.
 – Czy tylko owa migrena nie zmaterializowała się w postać amanta?
 – Nie rozumiem, co mówisz! – syknęła wierna małżonka z godnością.
 – Mówię – ciągnął dalej dyplomata – że może ta migrena ma żółte włosy i ryzawe wąsiki.
 – Proszę cię, Michel! To niestosowne...
 – Na dowód, że to niestosowne żarty, otwórz.
 – Obraża mię to, co mówisz!
 – Ach, w takim razie... Zinoczka, po tysiąc razy przepraszam... Ale dopiero co wyszedł ode mnie Emielianow, a ty tuż-tuż dostałaś migreny.
 – Wciąż mię podejrzewa o romans z Emielianowem... – mówiła „Zinoczka” do ucha swego gościa. Parsknęła śmiechem.
 Roześmiał się także jej mąż za drzwiami, jakby dla podkreślenia śmieszności tych podejrzeń.
 – Idź spać! – rzekła głośno pani Zinaida.
 – Niestety, muszę. Tak oto, bez pożegnania, bez powiedzenia dobranoc. Jakże jesteś okrutna! Jak zimna dla mnie! Jak niedobra!
 – Dobranoc, mój aniele! – mruknęła Zina pokazując język w stronę zamkniętych drzwi.
 – Dobranoc... – jęknął „anioł”.

Gdy szelest jego kroków oddalił się ode drzwi i ucichł, pani Szczebieniew odetchnęła głęboko. Jeszcze w ciągu kilku groźnych chwil raz w raz chwytala Ernesta za rękę, nakazując mu przezorność i ostrożność w poruszeniach i słowach. Ale gdy już nic nie przerwało ciszy, zwróciła w jego stronę królewską głowę, a uśmiech tryumfu zakwitł na jej wargach.

Do tego doszło; że Fosca zaproszony został do udziału w konnych poza obręb miasta wycieczkach. Kupił sobie tedy niezbędne do konnej jazdy efekty i cwałował na wierzchowcu Emielianowa. Jeździł konno bardzo po łacinie, ale nikt mu tego nie brał za złe, tym bardziej że swą jazdę publicznie ośmieszał. Pewnego wiosennego popołudnia towarzystwo kilku Rosjan i Włochów, zaprzyjaźnionych z Emielianowem, towarzyszyło pięknej pani w wycieczce konnej do Frascati. Zabawiano się długo w cieniu kolosalnych cyprysów i nad czarującymi wodami.

U wylotu alei, poza parkiem, jeden z uczestników wycieczki dostrzegł budę hecarzów, w której była także strzelnica dla amatorów trafiania do tarczy. Całe towarzystwo pomknęło niezwłocznie w tę stronę. Jedni z wycieczkowiczów poszli do budy cyrkowej, inni do strzelnicy. Do ostatnich należała pani Szczebieniew – a więc i Ernesto. Piękna Rosjanka umiała strzelać bardzo dobrze, więc poczęła z mężem, Emielianowem i innymi zakładać się o celność strzałów. Wciągnięto również i muzyka. Za czasów swego pierwszego powołania do wojska

„Pawik” wprawił się doskonale w celne strzelanie, toteż teraz próbował szczęścia w zakładach. Trafił bardzo dobrze, raz, drugi i trzeci. Spostrzegłszy to pani Szczebieniew podniecała męża, Emielianowa oraz innych cywilów, którzy z cyrku nadeszli, żeby wynikały grube zakłady. Poczęto się hazardować. Los zdarzył, że nikt z całego grona nie umiał dobrze strzelać, toteż Fosca wygrywał oszalamiające stawki. Szczególnie niedołążnie celował sam Szczebieniew – ku hańbie jego trzeba to zaznaczyć – były generał. Złośliwiec Emielianow wyśmiewał nawet to niedołążstwo strzeleckie swego rodaka i spode łba przyglądał się mistrzostwu Ernesta, śmiejąc się przy tym obrzydliwie.

Całe towarzystwo, zajęte tą zabawą, która muzykowi znaczną kwotę lirów przyniosła, nie spostrzegło się, że wieczór zapadł. Rzucono się do koni, żeby przed zupełną nocą zdążyć przez wilgotną Kampanię do miasta. Ale noc zupełna zeszła, nim wydobyto się z podgórze. Na szczęście księżyc świecił i droga biała wyraźnie przed oczyma jeźdźców, grupami powracających. Lekka mgła rozpostarła się nad mokrymi nizinami, a w niej światło miesiąca nie lśniło, lecz rozpląwało się, szerzyło na poły wyraźnym jaśnieniem. Było coś nad wyraz uroczego w tym zamgleniu światła, w przebijaniu się drogi poprzez powabną zasłonę.

Na przedzie, w liczniejszej grupie, jechał sam Szczebieniew, Emielianow, pewien włoski półdyplomata, obdarzony bardzo pięknym głosem, i inni. Ten to Włoszyn śpiewał ludowe piosenki. O jakie pół kilometra za tą awangardą jechała pani Szczebieniew na damskim siodle (jazdy po męsku nie uznawała i nie znosiła) – a obok niezgrabnie telepał się Ernesto na starym człapaku oraz pewien urzędnik ambasady, cichy, elegancki człowieczek rosyjskiego rodu, małomówny i poprawny na swym siodle w sposób tak nieskazitelny, jakby i tu, wśród ogromu rzymskiej Kampanii, urzędował wzorowo i pilnie. Dość daleko w tyle słychać było głosy i tętent grona ariergardy, która zabawiała się w cyrku i najpóźniej dosiadła koni.

Tego dnia i tego wieczora pani Szczebieniew była niezwykle podniecona, pełna niepokromionego temperamentu. Chichotała, dokazywała na siodle jak dziecko, drażniła i pociągała ku sobie Ernesta tysiącem niepochwytłych sposobów. Nacierала koniem tak obcesowo, iż nogi jej ogarniały nogę „Pavoncella”, biła go po plecach, usiłowała strącić z siodła, podcinała konia. Towarzysz drogi – poprawny „buchalter”, w istocie radca ambasady Kustarienko – był co nieco zgorszony, a może tylko udawał zgorszenie, ponieważ temperament amazonki nie wyładowywał się w jego stronę. W pewnej chwili amazonka jakoś zacichła, uspokoiła się i przybrała pozę dostojnej patrycjuszki. Właśnie wtedy poprawny Kustarienko zamierzył zapalić papierosa i poczęstował towarzyszy drogi, lecz okazało się, że zepsuła mu się zapalniczka. Nikt z tych trojga nie posiadał zapalek.

– Pojadę do Emielianowa, on ma dobrą zapalniczkę, i zaraz wrócę – oświadczył urzędnik.

– Dobrze, Siewierian Grigoriewicz, niech pan jedzie. Zapalimy z przyjemnością... – dostojnie zgodziła się Zinaida.

– Pędzę!

„Buchalter” popędził konia. Wnet można było obserwować zjawisko, dawno w sposób niezrównany wyrażone, jak na tym starorzymskim błoniu – „*quadrupedante putrem sonitu quatit ungula campum...*”

Lecz zaledwie *sonitus* oddalił się i przycichł, amazonka rozejrzała się bystro w tył i na przód, rzuciła okiem poza rowy i w pustkowiu Kampanii.

– „Pavoncello”! – krzyknęła.

W głosie jej drgał taki spazm radości miłosnej, pasja tak niezdławiona, wezwanie tak gorące, że zszarpało Ernesta z konia. Ona przerzuciła prawą nogę poprzez kulę siodła i zsunęła się w jego ramiona. Zgrzane konie pomknęły się i przywarły do siebie, jeden drugiemu zakładając głowę na szyję, a kochankowie wśród ostrego ich odoru, w ich zasłonie ulegli swej pasji. Oparta plecami o siodło wierzchowca, amazonka wzdychała z szalonej rozkoszy, która w tej chwili dosięgła dla niej najwyższego zenitu. Setki słów pieszczotliwych we wszelkich odmia-

nach mowy łatyńskiej i mowy słowiańskiej, szept dziękczynienia i szept zaklinania o rozkosz spływały jej z ust płonących w usta Ernesta.

Ale oto posłyszeli, że dudni już daleki tętent. Ocknęli się spadając z obłoków zachwytu. Pani Szczebieniew obciążony swą amazonkę jak czarny ptak wionęła na siodło. Fosca wskoczył na swoje. Usłużny członek ambasady przywiózł doskonałą zapalniczkę. Dobywszy starannie ognia, podał go pięknej pani. Przy tym świetle niewielkim mógł widzieć na jej ustach, w jej przymrużonych oczach uśmiech szczęścia, zarazem zwycięski i chytry, dziękczynny i wniebowzięty.

Po wycieczce do Frascati piękna pani zażądała od Ernesta wynajęcia pokoju. Oświadczyła, że mąż ją podejrzewa, a Emilianow formalnie szpieguje. Ostatniego lżyła wszelkimi znanymi jej przewiskami we wszelkich językach – *szpion, śpią, espion...* Ernesto po ostatniej wygranej w strzelnicy miał pieniądze, toteż nietrudno mu było znaleźć pokój z wejściem nie tylko oddzielnym, ale niepostrzegalnym. Pokój był przyzwoity, coś w rodzaju rodzinnego salonu z oknem wychodzącym na zapuszczone dziedzińce. Tam Fosca przeniósł swoją wiekową walizkę oraz inne rzeczy – i zamieszkał.

Zaledwie zaś zamieszkał, miał gościa. Gość przybywał chyłkiem, nieobaczkiem, w popłochu. Wbiegał do skrytki jak gołąbka ścigana przez jastrzębie. Wynikały szczere zwierzenia, długie swobodne opowiadania o życiu dotychczasowym. Pani Szczebieniew opowiadała z najdrobniejszymi szczegółami o swej przeszłości.

Była córką wicegubernatora na prowincji wielkiego imperium. Miała bardzo liczne rodzeństwo, siostry i braci, a wszystko młodsze od siebie. Wychowywała się w dostatku, niemal w zbytku, aczkolwiek ojciec oprócz pensji rocznej nic nie posiadał. Co gorsza, ojciec zawikłany był w pewne afery pieniężne, posądzany o nadużycia, łapówki, przekupstwo i miał z tego tytułu dochodzenia. Wisiało nad nim śledztwo, a nad całą rodziną, nad gromadką drobiazgu braci i sióstr – nędza. Groziła dymisja tudzież daleko gorsze następstwa. Z ratunkiem pośpieszył Szczebieniew, były minister, dostojnik z „wpływaniami” nadzwyczajnymi, a nadto bogacz. Wszystkie winy ojca Zinaidy zgrabnie zatuszował, sprawy umorzył, długi pozapłacił, jakieś niebezpieczne papiery, donosy, oskarżenia unicestwił. Stał się bożyszczem rodziny, opiekunem i drugim ojcem tej gromadki niewinnych główek, których zbiorową fotografię Zina nosiła na sercu. Ale Szczebieniew zażądał nagrody. Prosił ojca o rękę jej, Zinaidy. Czyż mogła odmówić? Gdyby odmówiła, gdyby w czymkolwiek obraziła, zadrażniła, rozgniewała Szczebieniewa, gdyby mu się oparła – zginęliby tamci wszyscy, to stadko, które kochała bardziej niż siebie. Co Szczebieniew rozkazał, to się stać musiało, gdyż on to miał w ręku los ojca, matki i całej rodziny.

Szczebieniew nie miał dzieci z pierwszego i drugiego małżeństwa. Na jego olbrzymi majątek czyhała familia, bracia, siostry i ich potomstwo. Tymczasem on ani myślał oddawać swej wieloletniej krwawicy zgrai powinowatych. Najniespodziewaniej tedy dla nich wszystkich, w późnym już wieku ożenił się z nią, młodą dziewczyną na prowincji. Tak to, wychodząc za Szczebieniewa, tyle i tak rozmaitych spraw na inne postawiła tory.

Ernesto nie pozostawał dłużnym. Opowiadał swe niedługie *curriculum vitae*. Rodziców nie miał. Wychowywała go, jak zapamiętał, ciotka, zapracowana na kawałku roli z murowaną rudera, zwaną „zamkiem”, na pochyłości Abruzzów. Do roli i „zamku” „Pavoncello” nie kwapił się wcale. Wcześniej wy dostał się z winnicy i nie zaglądał już do niej. Ciotczysko przysyłało mu z rzadka jakiś tam grosz wraz z listem, pełnym żalów na „śrubę podatkową”, na złodziejstwo wciąż wzrastające, drożyznę i nieopisaną niewdzięczność starej służącej Fiametty. Zabawna to była rzecz, iż w jego opowiadaniach garson Ubaldo grał rolę bardzo znaczną, wydatniejszą niż ciotka. Ubaldo zrobił to a to, Ubaldo oddał mu taką a taką usługę, Ubaldo mówił, jak mówi Ubaldo, według Ubalda – i tak bez końca.

Pani Szczebieniew polubiła przyjaciela z kawiarni, zanim go jeszcze widziała na oczy. Postanowiła jednak poznać potężnego garsona.

Pewnego poranka Fosca czekał na przyjaciółkę w kawiarni przy ulicy Cavour. Gdy przyszła jaśniejąca, różanolica jak jutrzienka, różanopalcą, złocista jak samo poranne słońce, pachnąca i wytworna, gdy wdała się w nieopatrzne, a jednak nieuniknione szeptki z Foską, bywalcem kawiarni – wszystek świat służebny, nie wyłączając samego „dyrektora”, miał na co wybałuszać oczy, miał o czym pomyśleć, a nawet – było nie było! – miał za czym westchnąć raz i drugi.

Ubaldo obsługiwał parę. Teraz mu się rozjaśniło pod czupryną ostrzyżoną na jeża. Stał skromnie w swym kącie, zamorusanym od prabytu, z ręką opartą o gzems kredensu, z serwetą przerzuconą przez rękę, pochylony naprzód, zadumany, a przecie gotowy na każde skinienie.

W pewnej chwili piękna pani posłała Ernesta po ulubione papierosy do tabakaja na jednej z odleglejszych uliczek. Tylko te papierosy paliła.

Gdy młodzieniec wyszedł, *signora* skinęła ręką na Ubalda i przywołała go do siebie.

– Pan jesteś Ubaldo, nieprawdaż? – spytała łamaną włoszczyzną.

– Tak, pani.

– Tak. Pan zna bliżej tego młodego człowieka, który ze mną przed chwilą rozmawiał?

– Tak, pani.

– Pan był dobrym, bardzo dobrym dla tego młodego człowieka.

– Pani... Dobry – to powiedziane za wiele... Znam tego młodego człowieka Ernesta Foskę.

– Prawda, że to jest dobry chłopiec, panie?

– Nie mogę powiedzieć, żeby był zły... Raczej dobry niż zły. Juścić tak: – dobry chłopiec.

– Panie Ubaldo – mówiła cudzoziemska dama rumieniąc się i jękając – niech pan będzie i nadal zawsze dobrym dla tego młodego człowieka.

– Tak, pani... – mruknął Ubaldo, wysoko wznosząc swe czarne brwi.

Cudzoziemka wyraziła życzenie zapłacenia rachunku za poranną kawę. Ubaldo zliczył należność i podał sumę na kartce papieru. Dama przyjrzała się cyfrze i położyła na stole pieniądze. Było ich dużo, nadmiernie dużo, co najmniej o kilka tysięcy za wiele ponad sumę należną. Ubaldo zwrócił uwagę na pomyłkę w rachunku, z zasady, na doświadczeniu wieloletnim opartej, nie dotykając cudzych pieniędzy. Ale konsumentka posunęła mu ów „napiwek” końcem szlifowanego paznokietka, a do napiwka dołożyła spojrzenie tak nieopisanego wdzięku, że stary garson zawahał się. Zaiste nie wiedział, co począć.

– Pani – rzekł nachylając się – jestem od wielu lat garsonem w tym zakładzie. Podaję kawę i *pastę*. Nie mam jednak na sprzedaż przyjaźni.

– Cicho, cicho, przyjacielu! – szepnęła do niego nieznajoma pani ze łzami w oczach. – Ja wiem, że nie masz na sprzedaż przyjaźni. Ale nawet za modlitwę do Boga kapłan nie waha się wziąć grosza na swe doczesne potrzeby.

Stary Ubaldo widział wiele czarujących kobiet w starej stolicy italskiej ziemi, w piękność bogatej. Ale zaiste wyrazu takiej miłości dla śmiertelnika nie widział nigdy w oczach śmiertelnych. Pokiwał głową nad miłością tej damy.

– Pani... – szepnęła w rozterce – za cóż mam brać te pieniądze ?

– Weź je, weź... – prosiła.

Ponieważ słyhać już było dźwięczny krok młodzieńca w przedsiönku, Ubaldo zgarnął pieniądze. Uprzątnął statki, cofnął się do swego kąta. Stamtąd patrzył zmęczonym wzrokiem na piękną parę, jakby na sen radosny o pięknie ludzkiego życia.

Tygodnie wiosenne przeleciały jak strzelenie z bicia, Fosca ani się obejrzał – aliści gospodyni, odnajmująca mu swój salon, zażądała zapłaty czynszu za miesiąc ubiegły. Zdumiał się słysząc, że już cały miesiąc szczęścia przeżył w tym mieszkaniu. Dla upamiętnienia tego faktu Zinaida usiłowała wsunąć na palec Ernesta śliczny pierścionek z brylantem tak wielkim, że się przeraził jego ogromu i blasku. Toteż nie przyjął pierścionka. Z gniewem perorował, iż

posiadanie takiego klejnotu hańbiłoby go na zawsze. Nie dla klejnotów Zinę pokochał. Nie powinna poniżać datkami wielkiej pani jego, uczciwego lazzarona. Zawstydzila się i cofnęła pierścionek.

Ale już następnego dnia przyniosła inny upominek. Zauważywszy, iż Ernesto nosi papiery w biednej tekturowej torebce, wsunęła mu w kieszeń złotą papierośnicę. Gdy zaś jeszcze bardziej się zachnął i począł krzyczeć, że nie zniesie takich zniewag, co prędzej pokazała mu napis wyryty na zewnętrznej powierzchni. Napis brzmiał: „Na pamiątkę rzymskiej Kampanii”. Pytała, czy Ernesto może odrzucić przedmiot z takim napisem? Ale go odrzucił. Twierdził, że gdyby mu ofiarowała na pamiątkę papierośnicę bez wartości, drewnianą, blaszaną, papierową, z tymże zdaniem wypisanym atramentem, chowałby ją jak ukochany talizman. Drogich rzeczy nie przyjmie! Nie! Nie! Nigdy!

Wobec tych jego oświadczeń zaczęła płakać. Łkała tak długo i tak niepokieszenie, że tego nie mógł zrozumieć. Głowa jej leżała na poduszce, a potoki łez zmoczyły poszewkę: ciężka głowa Zinaidy nieruchomą się stała jak kamienna bryła. Spod zamkniętych powiek lały się wciąż łzy niewstrzymane, a głuche łkania wydzierały się z piersi.

Chciał ją pocieszyć, uspokoić, zatamować łzy, więc z odrazą prawdziwą przyjął ową papierośnicę. Ale i wtedy nie przestała łez wylewać. Zdawało mu się, że dostała jakiegoś ataku żalości. Podźwignął ją i ułożył wygodnie. Objęła jego głowę obiema rękami, przycisnęła ją do siebie, zatopiła usta w jego włosy – i znowu spazmatycznie, gorzko i boleśnie płakała. Przeproszał ją, pokazywał pamiątkę, jako już swoją, przyjętą, przywłaszczoną. Ale i to nie pomogło. Już do końca pobytu łkała bez przerwy i zanosząc się od płaczu wyszła z mieszkania.

Ani następnego dnia, ani nazajutrz, następnego po następnym Zinaida nie przyszła do ulubionej skrytki. Na próżno czekał. Wieczorem trzeciego, „pustego” dnia poszedł pod willę. Okna mieszkania Szczebieniewów były ciemne i głuche, więc zły i skwaszony wrócił do kawiarni. Ta drobna niesłowność Zinaidy wpędziła go w zły humor. Z dostatku i przesyty miłosnego stał się kapryśnym. Miał zamiar czynić damie swego serca wymówki, przygotowywał w myśli długie i kostyczne argumenty, złośliwe i druzgocące aluzje. Potrzyma ją na uwięzi, weźmie ją w ryzy, nauczy moresu!...

Tymczasem i następnego dnia nie przyszła. Udał się tedy do willi, ażeby zapytać, co to znaczy. Kamerdyner Emielianowa, brodaty sługus, przyjął go niemal grubiańsko. Ledwo gadał, ten sam, który w ukłonach zginał stary grzbiet. Wyniosłe i hardo zawiadomił muzykanta, że państwo Szczebieniew przed trzema dniami wyjechali do Rosji. Był już telegram, że minęli rosyjską granicę. Nie ma tu teraz żadnych zgoda recepcji. Pan Emielianow przyjmuje raz w tygodniu ograniczoną ilość znajomych. Ernesto zmartwiał i oniemiał. Sługus strzelał w palce i ordynarnie patrzył na jego skamieniałą minę, jakoby na kafel pieca...

Minęły dni. Minęły tygodnie. Ani słowa, ani wieści, ani pogłoski! Nic a nic.

Fosca szalał. Wił się w tęsknocie. Nasłuchiwał bez jednego momentu przerwy, czy nie rozlegnie się znajomy szelest, ukochany szept. Nic się nie rozlegało, oprócz obcych zgrzytów i wstrętnych głosów świata. Szczęśliwiec teraz dopiero poznał, co stracił. Teraz się dowiedział, jaką to królową gościł w swej izbie, z kim miał szczęście obcować. O, jakże straszliwie kochał teraz marę, która obok niego przeszła! Jeszcze z pościeli nie wytchnął subtelny zapach perfumy, jeszcze w ciszy nocnej brzmiał niezapomniany śmiech. Głupia oto pustka legła na ziemi. Jałowa odraza nappełniła duszę. Wysunęła się z całości życia jakoby ręka zmorzy, żądającej nieustępliwie szczodrej zapłaty za wszystko, co było. Wyliczyła sobie wszystko, co było, i zysk swój chciała mieć bez uszczerbku.

Fosca czuł, jak za wszystko jest winien i ile musi zapłacić. Szczęście minione rozrastało się w oczach, niby wysokie góry wiosennym słońcem oświetlone, a terażniejszość rozpościerała się przed nimi jako kraina straszliwa, na którą padł ciężki mrok zatracenia. Gdziekolwiek było pójść, pamięć wskazywała miejsce szczęśliwe. Pasja żywa burzyła się, ni to dziki koń z wolnych pól, którego ujeżdżacz ściąga teraz kańczugiem, ile wola. Nie pomagało nic zwijanie

się w krąg i ponoszenie w pustynię ślepyimi susy szału... Wszystko było na nic. Ani jeść, ani pić. Głupie wzdychanie do śmierci, do jedynej pociechy, hamowała głupia nadzieja: – a nuż z nagłą zabrzmiał przecudny ów śmiech... Ileż to razy Fosca stawał nad rudymi kłębami, baniami i popławami starego Tybru i z mostu Anioła patrzył w wiekuiistą głębinę marząc o śmiertelnym ucieszeniu. Ale go zawsze z tych wypraw odwoływała myśl: – a nuż w domu czeka list...

Były dni, kiedy literalnie nie mógł być sam. Siedział tedy w gronie towarzyszków, stawiał każdemu i sam pił. Gdy lokal zamknięto, wałęsał się po mieście aż do świtu. Rano wbiegał na swe schody, walił się na posłanie i spał jak kłoda aż do południa. Wróciło życie lazzarona. Wrastał w nie całym swoim ciężarem, jak ścięty pień w bagno. Sprzedawał po kolei drogie i wykwiintne rzeczy, które był nosił na sobie za dni szczęśliwych. Nie mógł zrozumieć tej prostej rzeczy, że te same szaty nosił. Jakże to być mogło, że je nosił? Nad niejedną z tych rzeczy głupio łkał, dureń ze świata jasności wygnany. Sprzedał wreszcie wszystko, co miał lepszego – z wyjątkiem złotej papierośnicy. Tę nosił głęboko ukrytą. W nocy kładł ją pod policzek, a obłąkane pocałowania i szloch głucho otaczały napis wyryty na tabliczce ze złota. Modły bezmyślne błagały cień o powrót.

Przebieranie różańca wspomnień stało się wreszcie nie do zniesienia. Fosca postanowił dowiedzieć się czegoś istotnego. Poszedł do ambasady rosyjskiej i dotarł do owego Kustarienki, z którym swego czasu odbywał wspólną do Frascati wycieczkę. Ale „buchalter” był teraz zamknięty jak prawdziwy dyplomata. Nie mógł podać adresu Zinaidy w Rosji, nie był poinformowany o niczym ponad to, co wiedział i sam petent. Nazajutrz Ernesto wstał rano, ubrał się w ostatnią kurtkę możliwą i ruszył wielkimi krokami do Emielianowa. Był przecie ów Emielianow na miejscu. Cóż za kpm trzeba było być, żeby nie pójść wprost do źródła i nie dowiedzieć się wszystkiego! Zameldował się do właściciela „Ifigenii” i został wpuszczony do gabinetu na drugim końcu willi. Emielianow stał przy swym biurku, niepomiernie obszernym. i ćmił papierosa, gdy Fosca wszedł do pokoju. Podał gościowi dwa palce prawej ręki i wskazał mu krzesło obok biurka.

– Przyszedłem do pana – rzekł Ernesto – żeby się czegoś dowiedzieć o rodakach pańskich, których miałem zaszczyt poznać tutaj w pańskim domu... Wyjechali tak niespodziewanie, że nawet...

Emielianow milczał paląc papierosa. Gdy skończył palić i cisnął papierosa, rzekł rozkładając ręce:

– No, cóż? Wyjechali. Byli – i wyjechali.

– Ba, to wiem. Ale dokąd?

– Do Rosji.

– I to wiem. ale jaki jest obecnie ich adres?

– Mogę panu dać adres. Pan się wybiera do Rosji?

– Z czego pan wnosi, że się wybieram?

– Z tego, że się pan dopytuje o adres.

– Dopytuję się, bo to przecie nie jest tajemnicą państwa. Znałem tych ludzi, więc cóż dziwnego, że chciałbym o nich mieć wiadomość. Chcę napisać...

– Żadnej wiadomości nie otrzyma pan od nich... – rzekł Emielianow z obrzydliwym śmiechem.

– Dlaczegoż to, proszę pana?

– Murzyn spełnił swoją powinność, Murzyn może odejść.

– Któż to jest ten Murzyn?

– Pan jesteś Murzynem, mój piękny Włochu.

– Nie rozumiem tego i nie wiem doprawdy, z czego się pan tak cieszy.

– Śmieję się z pańskiej miny i z pańskiej roli.

– Śmiej się pan sobie! Co mi tam!
– Chcesz pan wiedzieć prawdę, całą prawdę, co? Chcesz pan czy nie? – pytał Emielianow, cofając się za swe biurko, gdzie usiadł w głębokim fotelu.
– Po to przyszedłem w pańskie niezycziwe progi.
– Nie były dla pana niezycziwe, aleś tego nie umiał uszanować. Wszedłeś mi pan w drogę – nie tylko w drogę! – zgrzytnął Rosjanin.
– Nie wiem, o co chodzi.
– Wiesz pan dobrze. Otóż taka jest prawda. Szczebieniew potrzebował potomka. Potrzebował potomka za wszelką cenę, gdyż krewniacy czyhali na jego majątek. Tymczasem papa Szczebieniew, sam pan to rozumiesz dobrze... Biedactwo! Musiał po to wybrać się do słonecznej Italii ze swą uroczą magnifiką. A nuż jaki cud? Paneś się diablo nadał do tego cudu. Skoro magnifiką zaszła w ciążę, uciekli, zwiali, wyfrunęli. Teraz Szczebieniew jest w siódmym niebie. Szczęśliwy małżonek, papa *in spe*. A pan chcesz, żeby on albo jego wiarna małżonka listy do pana pisywała... Dobry sobie! Znać pana nie chcą, nie wiedzą, coś za jeden. Murzyn!

– Milcz! – wrzasnął Fosca.

Emielianow porwał przycisk marmurowy, olbrzymi, z jakąś na wierzchu brązową figurą, i od jednego zamachu cisnął tym ciężarem w głowę Włocha. Chybił. Ciężki głaz świsnął obok ucha młodzieńca i wyrwał szczerbę w tafli mahoniowej drzwi wejściowych.

Fosca wyszedł za drzwi jak wariat, łkając w głębi siebie.

Gdy się śłaniał na schodach bez wiadomości o tym, gdzie jest i dokąd idzie, lokaje pomagali mu wyjść, bynajmniej nie życzliwymi gestami i słowami.

Miał przynajmniej nad czym zastanowić się poważnie i głęboko. Mógł rozważyć swą rolę w przyszłości. Mógł rozważyć rolę osób, z którymi los go zetknął. Jak prawdziwy filozof, stawiał sobie pytania co do natury swych uczuć i ważył owe uczucia na nieomyślnej wadze rozumu. Nieraz, co prawda, walił czułą wagą, siedliskiem rozumu, w ściany swej izby. Pił na pohybel miłości, miłości jako takiej, samej w sobie – na pohybel złudzenia, które, jak mniemał, należy tępić, niszczyć, tratować nogami. A więc to oznaczały spojrzenia; uśmiechy i westchnienia Zinaidy? To znaczył jej płacz, jej narzekania, jej straszny żal? O, nikczemne szalbierstwo! Do takiego celu służyła rozkosz miłości? Czasami wahał się. Gdzież bowiem miał dowód na potwierdzenie słów zazdrośnika i oszczercy? Przecież to wyrzekł amant odrzucony, współzawodnik.

Pewnego dnia Fosca postanowił jechać do Rosji. Przecie świat jest do przebycia – rozumował, sprzedając złotą papierośnicę dla pokrycia przyszłych kosztów podróży. A gdy już pobrał pieniądze za ów przedmiot złoty, chwycił go za gardło taki żal, że trzeba było rwać do knajpy i na umor się spać. Przyjaciele pili również tego wieczora – i następnego – i następnego po następnym. Pieniądze wylatywały z portfela jak wróble ze stodoły. Ani się obejrzał, gdy się gdzieś podziały.

I oto nad złotą papierośnicą począł gromadzić się pył i dym, zmiotki pustego dnia, proch codzienny. Tam gdzieś na spodzie złoto świeciło się jeszcze pod nawianym brudem życia. Im więcej było przeżytych dni, tym więcej narastało prochu goryczy i przypomnienia codziennego. Ani się obejrzał parobek boży, jak od świetlistych dni jego miłości upłynęły długie dwa lata najpospolitszych dni.

Pewnego wieczora, gdy po koncercie w filharmonii, gdzie jako skrzypek znowu grywał, wszedł do kawiarni. Ubaldo mrugnął nań, kiwnął paluchem, jak to stary fagas miał zwyczaj, poufale. Wydostał swój przestronny pugilares, a z niego dużą i grubą kopertę. Fosca obejrzał list, adresowany na imię Ubalda w kawiarni przy ulicy Cavour, z prośbą o doręczenie go Ernestowi Fosca. List był z Rosji.

Zadrzało serce...

Ernesto rozdarł kopertę. Nie było w niej listu, tylko duża, gabinetowa fotografia, nadzwyczaj wyraźna i świetnie wykonana. Na fotografii widniały sportretowane trzy osoby: dyplomata Szczebieniew, siedzący w krześle, obok niego, w stojącej pozycji, jego żona Zinaida, tak samo piękna jak była dawniej. Szczebieniew, uśmiechnięty, rozradowany, szczęśliwy, trzymał na kolanach ślicznego, jędrnego, zażywnego chłopczyka – roczniaka, który patrzył na widza rześkimi oczyma. Ernesto obejrzał fotografię ze wszystkich stron. Na odwrocie dostrzegł ręką kobiecą napisany wyraz: Pavoncello!

Rozmyślanie – z głową pochyloną nad fotografią i oczyma wlepionymi w podobiznę młodego Szczebieniewa – przerwała wojna, która długo się nad Italią kołyszając wreszcie wybuchła i zagarnęła, wśród mnóstwa innych zawodowców, także i skrzypka z rzymskiej orkiestry. Fosca jako żołnierz, kapral, a wreszcie oficer, teraźniejszy w rowach strzeleckich, siedział wśród śniegów i lodów na wyżynach gór. Twarda powinność wojenna ujęła w swe szpony miękką i rozlazłą naturę muzyka i wycisnęła z niej niespodziewane walory: potężne siły, niezłomne męstwo i żelazną wolę.

Kawiarniany obibok umiał bez zmrużenia źrenicy i drżenia serca patrzeć w oczodoły śmierci, prowadzić żołnierzy na zasieki austriackie, spać w lodach i niezwalczenie trwać na wysuniętych posterunkach. Zdobył order, doczekał się końca wojny i powrotu do Rzymu. W skórze wojańskiej było mu jednak za ciasno: wrócił do miękkiej kurtki i do swych skrzypiec. Stary Ubaldo miał możliwość obsługiwanego szacownego *tenente*. Towarzysze okrągłego stołu w zmienionym składzie osób, w zmniejszonej liczbie dawnych gadułów gościli w swym gronie muzyka.

Fosca wertował teraz gazety. Czytywał pilnie wiadomości o rewolucji rosyjskiej. Z zapartym nieraz oddechem, od początku do końca wchłaniał w siebie gazetarskie o tych sprawach klituś-bajduś.

Pewniejszą wieść powziął od pewnego autentycznego Rosjanina, który się w kawiarni zjawił i wśród artystów uwijał. Był to arystokrata, emigrant, uciekinier przed bolszewikami. Nosiło to resztki eleganckiego kostiumu, wrzucało raz w raz w oko monokl i wypuszczało go nieustannie, paplało wszystkimi językami o wszelkich rzeczach i sprawach, a zwłaszcza o artyzmie. Przyczepiwszy się do „grupy”, perorowało najzawzięciej.

Pewnego razu Fosca postawił emigrantowi butelkę dobrego wina i wdał się z nim w rozmowę. Z daleka kołując, począł dopytywać się o rewolucję i jej perypetie. Wychodźca chętnie, długo i bałamutnie opowiadał.

Fosca zapytał:

– A czy nie znał pan przypadkiem w Petersburgu rodziny Szczebieniewów?

– Jakże! – wykrzyknął arystokrata. – Były minister Michel Pawłowicz...

– Właśnie, właśnie!... Michel... A rodzinę jego?

– Rodzinę? To jest kogo z rodziny? ^

– Żonę?

– Którą żonę, bo miał kilka. Wciąż bywaliśmy na ślubach albo na panichidach Szczebieniewa.

– Czy ja wiem, która? Młoda, blondyna...

– Trzecią, Zinaidę Arkadiewnę, znałem. Jakże! Anielska, słoneczko boże... A pan?

– Ja... – zapłakał wewnętrznie Ernesto – tak jest, ja znałem tutaj tę damę.

– I pomyśleć, panie, że te chamy, te zwierzęta zarznęły taki cud, zadeptały taki promień słoneczny!

– Zarznęły?!

– Zarznęły, panie! Ci Szczebieniewowie mieli wielki majątek nad Wołgą, lasy, stawy, młyny, jakieś fabryki. Urodziło im się dziecko, więc wyjechali z Petersburga na wieś, gdy się wojna zaczęła. Tam ich zastała i nasza szanowna rewolucja. Słyszałem, że zginęli.

- Słyszał pan, że zginęli!
- Słyszałem. No, jakże mogło być inaczej: były minister carski, senator, bogacz.
- Ale czegoś pewnego?...
- Pewnego! Pewne jest to, że ich nigdzie nie ma – ani w Konstantynopolu, ani w Atenach, ani w Sofii, w Wiedniu, w Warszawie, w Berlinie, ani tutaj – nigdzie. Toż wiemy o sobie. Wiemy, gdzie kto się tuła z naszych braci.
- Nie ma nigdzie? – pytał Fosca zbiełałymi wargami.
- Już by gdzieś byli wypłynęli.
- A może w Rosji ocaleli?
- Jeżeli zostali w Rosji, to biada im!
- Biada im... – powtórzył Ernesto.

Któregoś dnia rzymskiej wiosny same nogi poniosły go w progi Watykanu i same zaprowadziły przed posąg greckiej tancerki. Tak samo lekka, polotna, uśmiechnięta i szczęśliwa niosła się w płasach ponad falami czasów. W falach czasów przewalała się wojna i zalegał pokój, wybuchały rewolucje i srożyły się reakcje, przemijały posępne zabobony plemion i gasły jasne religie, wyśnione przez synów człowieczych.

Fosca płakał przed obliczem kamiennej tanecznicy i pytał się nieśmiertelnego jej wesela o los Zinaidy. Z oczyma zalanymi łzami, z załamanymi rękoma nadaremnie żebrał o łaskę odmiennej wieści.

OPOWIADANIA ZEBRANE

EWAKUACJA KRAKOWA

Ciemna jesienna jutrznia nie rozwidniała jeszcze ulic Krakowa – pustych o tej porze zwyczaj – gdy tłum, zdążający ze wszech stron na dworzec kolejowy, zaludnił je tego dnia, dnia ewakuacji. Wszystkich zbudziła i popędzała jedna konieczność, konieczność zdążenia na pociąg, który miał być ostatnim z ostatnich. Toteż rojowisko ludzkie było dziwnie jednomyślne i jednoznaczne. Każdy niemal szept, rozgwar, odgłos dialogów, jęk przyciszony, wijący się w zgiełku, był echem tego samego u wszystkich czucia. Ludzie najrozmaitsi, podzieleni zawsze na tysiąc różnic i antagonizmów, stali się tego dnia jedną rodziną, którą spotkała wspólna niedola – nieodzowność opuszczenia rodzinnego domu. Przepadła w owej chwili uraza do wad starego grodziska, do jego wiekuistych błot, do dziur w jego bruku i zaduchów w zaułkach. Dostęp do dworca wzdłuż nieśmiertelnego parkanu obwieszonych afiszami – po nieśmiertelnie lepkiem chodniku – zatarasowany był przez szeregi wolno sunących fiaków, bryczek, wozów z rzeczami i ręcznych dwukołowych wózków tragarzy. Krzyki, nawoływania, przekleństwa, hałas nieopisany zatrzymanego pośpiechu – były jak gdyby drugą zaporą dla każdego, kto dążył piechotą.

W środkowej sali dworca wytworzyło się istne przedpiekle. Stosy kufrów, koszów, tłumoków, pudeł, węzłów – zawały całą przestrzeń wolną i spiętrzyły się wysoko. Na wątle tekturowe pudełka raz w raz ciskano walizy i paki, tworząc coraz wyższe barykady dobytku pochwyczonego z domostw. Między tym rumowiem, zwałonym jak w czasie pożaru – przemocą utrzymywano ulicę do przejścia. W tych to przesmykach ludzie biegli tu i tam, w tył i naprzód, dźwigając dzieci, wciąż napływające toboły, przedmioty, sprzęty... Wszyscy tu zagrazdali sobie wąskie przejścia, spotykali się i potracali, złorzecząc sobie nawzajem. Wszelka służba stała się co najmniej wyniosłą, bez powodu grubiańską, a w miarę uznania i potrzeby chętnie tyranizującą. Wszelka godność ustała. Nawet sam pieniądz stracił na sile. Łaskę robił człowiek, jeżeli za byle jaki trud raczył wziąć wysoką nagrodę. Przy okienkach kas biletowych tłoczyli się ludzie z wytrzeszczonymi oczyma, a przy kasie bagażowej dokonywało się skłębione igrzysko – istne zapasy na siłę ramienia, głosu i zaklęć.

Gdy tłum po załatwieniu formalności wydostał się na peron stacyjny, dzień ledwo się rozniecał. Z dala nadciągał pociąg – ów ostatni. Obciążony wielką ilością wagonów, sunął po-

woli pod zadymiony dach podjazdu. Nim można było sadzić się w nim, zniechęcone spojrzenia dostrzegały nawzajem towarzyszy doli. Kogóż to nie było w tym zespole? Ludzie z góry i z dołu, bogaci i niezamożni, mądrzy i nieuczenni zgoła, znakomitości i pospoliccy, subtelnie i prostactwo. Teraz była to jedynie gmina bez prowiantów, złożona z poszczególnych ciał, których przeznaczeniem było „opróżnić” miasto, ażeby nie zjadały w nim mąki, kapusty i słoniny. Nad tymi wszystkimi kadłubami trawiącymi – jamami ustnymi i żołądkami – nad tym zbiorowiskiem apetytów, które mogło być również zbiorowiskiem chorób – zawiśła elementarna groza nadciągającego z północy moskiewskiego huraganu. Coś jak gdyby dreszcz podziemny, zwiastujący trzęsienie ziemi, gnał w dal ów gmin człowieczy.

Wpadały w oko niektóre w nim figury.

Przy prowizorycznym bufecie znakomity aktor, którego tylekroć widziało się w przeróżnych ubraniach dla symbolicznego wyrażenia najrozmaitszych spraw ludzkich – człowiek starszy, gładki i wykwinny – teraz w płaszcz legionowego żołnierza na stałe przebrany, rwał zębami duże kęsy kiełbasy i zagryzał je tęgimi ułamkami chleba, ze szczerze wilczym apetytem. Nogi w ciężkich butach miał uwalane w glinie, wojacką odzież zachlastaną do kolan. Pasy rzemienne odparzyły na jego szarym płaszczu białawe szlaki, rzemień powgniatął się w sukno. Z drewnianego pomostu sceny – ze świata wymysłów i bajek sztuki – zstąpił był na ziemię i obszedł scenę szeroką, dobrze rozwidnioną łunami – na Szczucin, Opatów, Dęblin, Częstochowę... Na zapytanie, skąd wraca, odpowiada poprzez kiełbasę:

– A spod tych Krzywopłotów.

Mówi nie jak ten, co umiał pokazywać markizów, hrabiów, panów, a nawet królów, lecz z prostacka, jak wyrobnik czy wieśniak:

– Bitwa – to bajki! To bajki! Pochód, to dopiero prawdziwa nędza. Nogi na nic, w butach błoto. Zimno trzęsie, bieda!...

W złą trafił chwilę. Nie mógł być stary Kraków miejscem postoju, popasu i wypoczynku. Znowu tedy dalej – w ów pochód srogi!

Wzdłuż wagonów przechadza się inny. To pierwszorzędnny pisarz w ubraniu legionowego ułana. Postać jego szczupła, wysoka, wyniosła i świetna jak zawsze – lecz ruchy dziś powolne, od ran i chorób przebytych ociężałe – piękna twarz aż do kości wyschnięta, do cna w polach schudzona i jak ich śniegi biała. Spod daszka czapki spoglądają nie dawne siwe oczy jednego z najdowcipniejszych w Polsce ludzi, lecz jamy srogie i ponure. Jakież to tam dziś myśli kłębią się pod tą wysoką czapą ułańską? Jakie widoki przesunęły się w tych oczach jastrzębich – gdy na swym koniu przemierzał wzdłuż i w poprzek pola rodzinne? „Ludzie schyleni w nędzach i niedolach cierniowymi mu się kłaniali korony...” Już nie prosili o „miecz jako jałmużnę”, bo go przyniósł z towarzyszami – lecz sercu jego, które ich tak kochało, pokazywali doły w ziemi mieszkalne – i wnętrza ich, gdzie wymierały dzieci do ostatniego — całymi gminami. Przed jego to oczyma stały w przestworze ojczystym kominy szerniałe i piecowiska wyzięble wioszyn spalonych – gruzy miast – martwe rumowia prastarych kościołów, które pamiętały kolebkę dziejów ojczyzny – wywrócenie samego gruntu na nice, ze zniweczeniem gleby, którą pot pokoleń chłopskich użyźnił. Przed jego duszą wszystko czująca otwierały swe wnętrza mogiły ledwie zasypane, ukazując rozpacz konających. Czyliż to nie jego, następcę, widział był zaprawdę twórcą wieczny, Juliusz Słowacki, gdy wołał w dal czasów:

Postój, o, postój, hulanie czerwony!
Przez co to koń twój zapieniony skacze?!
To nic. To mojej matki grób zhańbiony.
Serce mi pęka, lecz oko nie płacze.

Koń dobył iskier na grobie z marmuru

I krzywa szabla wylazła z jaszczuru.

Krzywa szabla wylazła z jaszczuru. Oto wszystko twoje, polski rycerzu.

Gdy przedziały wagonów napełnione, nabite zostały ludzkim materiałem i dobytkiem podręcznym, pociąg ruszył leniwie. Okrążał miasto z wolna, pozwalając ludziom pożegnać je oczyma. Owiane było jesienną mgłą, ciemne i pełne smutku. Ukazywały się jego wieże, kopy, rude lub zielonawe od patyny – kształty gotyckie, barokowe i najnowsze.

Zajaśniał we mgle nowy dach Wawelu... Nowy dach Wawelu, symbol tej cichej i bezsławnej pracy narodu dla przyszłego potomka, pracy, która się w milczeniu, z zaciśniętymi zębami dzień dnia dokonywała – wygrzebywania się z gruzów, wznoszenia z popielisk, dźwiganie z bezsławy. Ten nowy dach nad prastarą siedzibą potęgi żegnał się z oczyma ludzkimi, mówiąc widokiem swoim, że oto znowu od moskiewskich razów zawalić mu się może trzeba w ruinę zamczyska. Biały orzeł wieży i królewski dzwon, Zygmunt, runąć ma może na piersi monarchów, niezłomnych i nieskazitelnych wodzów, i tego króla pieśni, który pokolenia nauczył modlić się „o wojnę powszechną za wolność ludów” – którego proch radował się w swej wawelskiej pieczarze, iż dana była nareszcie jego plemieniu łaska – chwila modlitw „obyczajem przodków na polu bitwy z bronią w ręku przed ołtarzem zrobionym z bębnow i dział, pod baldachimem zrobionym z orłów i chorągwi naszych”. Wyniosła Mariacka wieża – ratuszowa, pod której cieniem król polski hołd odbierał – sylweta Świętej Katarzyny kościoła, kościoła Bożego Ciała, gmachy naukowe, pałace...

Oto wynurzył się na tle porannego nieba daleki widok kopca. Wzrok ludzkiej nędzy spoczął na nim jako na ostatnim wizerunku mocy narodu. Zasnuty mgłami wznosił się sam jeden ten najpiękniejszy pomnik na ziemi, ten pomnik istotny i jedyny, ten wiecznie nowy i zawsze jednako wzniosły hymn narodu ku czci swego wodza. Jakież bo na kuli ziemskiej piękno może się porównać z prostotą i potęgą tej zachwycającej legendy o bohaterze, która, zda się, podźwignęła, jak wulkan, sam grunt martwy i poderwała ku niebu? W bezlicej i niemej formie pamiątki zaległy dzieje żywotów, prac, skonów pokoleń i – zdawało się – nadziei wiekuiście jednakiej. A oto oczy wszystkich pytać się zaczęły i tego strażnika prastarej ziemi, czy i on był tylko złudzeniem, tylko minionym uczuciem? Czy i on, ołtarz, na którym ogień wiecznej młodości płonie, zdarty zostanie z łańcucha pagórków przez kule armat moskiewskich? Czy ujrzą go jeszcze oczy tych, co tu powrócą? Bezsilna rozpacz szamoce się w sercach ludzi patrzących, bezsilne łzy spływają z oczu, nędzna wściekłość zaciska pięści – i głuchy krzyk „nie pozwalał!” szarpie się w gardłach jak pies na łańcuchu.

Gdy tak cały ten tłum pogrążony jest w najpocześniejsze myśli od smutku zmartwiały, pociąg zatrzymuje się na podgórskiej stacji. Kto może – cisnie się do okien i jeszcze raz zwraca spojrzenie na miasto. Niemal wszyscy zostawiają tu, co mają najlepszego. Jeden tylko w tym gronie zdaje się nic nie wiedzieć o uczuciu żalu a, przeciwnie, wszystko ze sobą zabierać. Jest to ośmio- czy dziewięcioletni obywatel. Podczas gdy jego rodzina biega w pośpiechu z tłumokami, ładuje do przedziału napotkanego pakunki – on trzyma i pielęgnuje dużą klatkę, ani na sekundę nie spuszczać z niej oka. Aczkolwiek okryta jest z wierzchu czarną jakowąś zasłoną, można przecież dojrzeć, że więzi wewnątrz dużego czarnego ptaka. Mały nadzorca ewakuuje, widać, wraz ze sobą i tego więźnia. W przedziale zasiadł nieruchomo, trzymając klatkę na kolanach tak pieczołowicie, ażeby ptak nie doznał najłżejszego bodaj wstrząśnienia.

Ale oto wkracza do przedziału, potracając wszystkich i wszystko, jego matka. Nie znajduje tu już miejsca, gdyż poczesne zajęła klatka z nieruchomym ptakiem. Rodzicielka małego ptasznika poszukuje godnego siebie pomieszczenia – i nie tam, gdzie ją los i tłum popchnął, w przedziale klasy trzeciej, lecz żąda klasy drugiej. Jest to osoba, jak widać, ustosunkowana w sferach kolejowych, gdyż wzywa panów konduktorów i nadkonduktorów – wyrażając w sposób natarczywy swe żądanie. Ale o przedziale klasy drugiej nikt ani marzyć nie może.

– Jak to! – woła ta dama na cały peron – dla mnie nie ma miejsca? Kpiny czy co? Panie Dąbrowski! Rusz no się pan z łaski swojej! Tylko zaraz, mój panie!

– A dajże mi też pani święty pokój – odburknął w sposób najściślej ewakuacyjny konduktor, pan Dąbrowski.

– Należy mi się druga klasa! – unosi się pani coraz wyniosłej i groźniej.

– Pewnie, że się pani należy... – zgadza się flegmatycznie urzędnik.

– Cóż to jest, żebym ja miała jechać w takim tłoku z dzieckiem i rzeczami. Widział to kto? Panie Dąbrowski, bierz no pan rzeczy, klatkę...

– Bierz sobie pani sama. Nie ma miejsca.

– Może sobie nie być miejsca dla nikogo, a dla mnie musi być! Pan masz klucz...

– A mam. Mogę pani dać ten klucz, nawet na całą drogę...

– Zobaczmy, czy panu ujdzie na sucho ta sztuka! Zobaczmy!

– No, jak nie ujdzie, to będę wtedy cierpiał. A dzisiaj pani miejsca nie stworzę.

– Powinieneś pan!

– Nie powinienem.

– A właśnie żeś pan powinien! – tonem najwyższej już pasji wykrzykuje krewka dama.

Do tego dialogu miesza się mały opiekun klatki chłodną i kategoryczną uwagą:

– Nie drzyjże się mama tak znowu na cały głos, bo mi mama kosa obudzisz!

Dały się słyszeć właśnie sygnały odjazdu. Pociąg drgnął. Mimo smutku przytłaczającego, oczy wszystkich spoglądają na klatkę z pytaniem, czy kos ewakuowany obudził się w istocie, czy też jedyny z nas wszystkich przespał szczęśliwie tę chwilę.

WYBIEG INSTYNKTU

Pomimo tak niezrachowanej ilości zdarzeń i tak niesłychanej ich wielorakości w ciągu życia – podświadome myślenie, ów samoswój, wewnętrzny i tajnym nurtem płynący strumień wspomnienia poprzez wszelkie dalekie czasy i rzeczy – ileż to razy zadawało umysłowi pytanie: – czemuś ty wówczas tak postąpić doradził? Ogień radości bucha w piersiach, jak wtedy. Serce znowu bije, nie dzisiejsze: zmiażdżone, chore, nieszczęsne, ni to badył w polu między wichrami jesieni, lecz tamto – młodzieńcze, dzielne, niezwyciężone i zwycięskie, którego w istocie zaprawdę już nie ma.

Pospolita i śmieszna, nic nie znacząca uczniowska przygoda stawała już tylekroć jako iskra świetlna wśród ciemnych mgieł licznych dni, wypada ją wreszcie uprzytomnić.

Działo się – oczywiście – w starym mieście Kielcach, za czasów moskiewskiego w nim rozbijania się i panoszenia. Byliśmy – ósma klasa gimnazjalna – pilnowani i strzeżeni jak gromadka dzieci, którą należy trzymać nie byle jak w ryzach, żeby sobie snadź jakiego k u k u nie zadała. Po godzinie ósmej wieczorem nie wolno nam było pod żadnym pozorem wychodzić z domu i „znajdować się na ulicy”. Wyjątek stanowiły eskapady nocne ze starym nauczycielem matematyki i fizyki, Gracjanem Czarneckim, „na gwiazdy”, gdy, wyniósłszy na wzgórek obok cerkwi moskiewskiej jego własne lunety i przyrządy, zapalaliśmy się do astronomii. Zdarzało się, iż na owe „gwiazdy” przed mieszkaniem zgryźliwego „Gracjana Francowicza”, czyli „Zubła”, które to miano jedno pokolenie naszej szkoły przekazywało następnemu – delegowany w tym celu zapalenię w pojedynkę „zbierał się” i reprezentował ogół, a wesola reszta kierowała swe chyże kroki ku gwiazdom najzupełniej ziemskim i daleko bardziej dostępnym. Spotkani na ulicy o tak późnej i zakazanej godzinie przez czynniki miarodajne i szpiegujące, zwalali swą karygodną obecność wśród zawilgości ciemnych ulic na barki astronoma Gracjana, tłumacząc się, że właśnie zdążają pod cerkiew na obserwacje pierścieni Saturna. Wykręty takie przyjmowane były za dobrą monetę, o ile się wpadało w ręce któregoś z fafułów gimnazjalnych, normalnych belfrów, filologów czy przyrodników, którym tropienie czeladki gimnazjalnej narzucano z góry, jako wstrętne dla nich obowiązki. Lecz był ktoś, komu najbardziej szybko nogi Achilles nigdy ująć nie zdołał, a po pojmaniu nie wysliznął się ze szponów za pomocą opowieści o „gwiazdach”.

„Pomocnik gospodarzy klas” – pan – dajmy na to – Smirnow, a raczej „Ryży”, wiedział doskonale, jakie każdemu z nas gwiazdy świecą, w jakim punkcie miasta, w którym domu i w którym oknie. Był to elegancki jegomość w pełni lat męskich, z rudą bródką starannie utrzymaną i czerwonymi włosami, których uczesaniu poświęcał wiele czasu. Nosił buciki najmodniejszego fasonu, lakierowane, na wysokich obcasach – paltocik za-prasowany i oczyszczony idealnie – jedwabną chustkę na szyi, nieposzlakowany melonik i rękawiczki koloru *sang-de-*

boeuf. Wszystko w nim i na nim było wytworne, lekkie, owiewne – z wyjątkiem laski. Laskę nosił wyjątkowo grubą, krzywulę o gałce potężnej na końcu zgięcia rękojeści, z ołowiu czy metalu. Tą to laską subtelny „Ryży” umiał manewrować w sposób niezrównany. Gdy przestępca gimnazjalny, dostrzeżony z dala wieczorem, zaczynał przed tropicielem „wiać”, jako wiatr wieje, a raczej jak wieją młode i zdrowe nogi siedemnastoletnie, „Ryży” puszczał się za uciekającym w pogoń, również jak wiatr, na swych giętkich i cienkich kończynach – lecz do pewnej tylko granicy. W momencie uznanym za nieomylnie odpowiedni – znakomitym rzutem po ziemi puszczał swą krzywulę w taki sposób, że wpadała między nogi drapichrusta i obalała go na ziemię. Wówczas „Ryży”, niby zwinny kot, dopadał ofiary i łagodnie ciągnął ją do protokołu, który dla kończących gimnazjum mógł mieć następstwa fatalne, aż do unie możliwienia matury.

„Ryży” był nad wyraz uprzejmy: kłaniał nam się do ziemi swym okrągłym melonikiem i wytwornymi ruchy światowca. Gdy czegokolwiek od niego żądano, spełniał wszystko ochotnie, w podskokach. Był szpiclem przystawionym do nas specjalnie, toteż znał się na nas jak rzeczoznawca na towarze. My również przypatrzyliśmy się jemu dokładnie, przejrzeliliśmy go od góry do dołu i na przestrzal. Wiedzieliśmy, jakie są jego obyczaje, maniery, narowy i amory. Spostrzegliśmy, gdzie i kiedy bywa, co robi i mówi, i mieliśmy zanotowany każdy z jego beznadziejnych uśmiechów na widok młodocianych piękności naszego starego grodu. Dziś można już nawet nie robić tajemnicy, tak przecie długo „konspirowanej”, z tego faktu, iż w pewnym ciemnym kącie Pocztovej ulicy spraliśmy rudą fizys tak należycie i tak dokładnie, że nasz pedagog nawet nie „zrobił użytku” z tego zamachu i nikomu się nie poskarżył. Za to miał nas wszystkich na oku, na sercu, na wątrobie i na śledzionie. Pamiętał o nas wrażliwością swych różanych policzków.

W tym czasie najbliższy mój przyjaciel Jan Waclaw Machajski mieszkał u pewnej zamożnej rodziny, gdzie za lekcje, czyli tak zwane „korepy”, udzielane dwu chłopcom, miał pokój i utrzymanie – ja zaś w podobny sposób przeżywałem się u innej familii, w zamian za ciężkie „korepy” udzielane dwojgu nad-matołków. Mieszkania nasze mieściły się w tej samej okolicy miasta, przedzielone podmiejskimi placami, ogrodami i łąkami. Zawikłana kombinacja uliczek, przesmyków, kładek i przełazów między wielkimi parkanami, brudna i błotnista ponad wszelkie europejskie wyobrażenie, łączyła nasze owoczesne legowiska. Dom, gdzie mieszkał Jan Waclaw, stał, a właściwie głęboko siedział w dużym i cienistym ogrodzie, otoczonym wysokimi murami. Front domu wychylał się z ogrodu na olbrzymi dziedziniec, istny plac publiczny, zastawiony wokół murowanymi składami i magazynami o ślepych oknach i kutych drzwiach. Był to jakiś nie funkcjonujący już browar, przerobiony już to na mieszkania, już na składy sklepowe. Cała ta posesja, jak wielki prostokąt, przylegała do dwu szerokich ulic, a z każdej z tych ulic prowadziła do jej wnętrza duża brama. Długa i rozłożysta ulica „Warszawska”, biegnąca wzdłuż owej posesji, miała co najmniej połowę swej rozległości zajęta przez ślepe ściany składów i wysoki mur ogrodu. W jednym tylko miejscu te nieskończenie nudne, jakby florenckie, mury przerywała pierwsza z bram prowadząca na wielki dziedziniec.

Lekcje moje popołudniowe na mieście i korepetycje wieczorne w domu kończyły się dopiero około godziny dziesiątej. O tej porze mogłem brać się do swoich własnych zadań. Dla ułatwienia sobie roboty szedłem niemal codziennie po godzinie dziesiątej wieczorem do Jana Waclawa dla odrabiania z nim razem jutrzejszych „kawalków”, albo, co się zdarzało najczęściej, dla wspólnego czytania i zapamiętałego dyskusowania aż do późnej godziny.

Czytaliśmy, co tylko gdzie było na placu, w jakiejkolwiek szafie: Wiktora Hugo i Karola Libelta, Słowackiego i Turgieniewa, Henryka Tomasza Buckle’a i Brandesa, Mickiewicza i Drapera, Quineta i Sienkiewicza. Czasami, w księżycowe noce, wykradaliśmy się przez okno i jedną z owych starych bram chyłkiem za miasto, za przedmieście zwane „Pocieszka”, aż na odludną szosę warszawską. Tam w pustce zupełnej, podczas cichej nocy, Jan Waclaw wygłaszał monolog Nika z *Marii Stuart*, wiersz do matki lub *Grób Agamemnona* Słowackiego: Nik

– była to główna i najbardziej imponująca rola w repertuarze Jana Waława. Nie była jednak jedyną. Pasowała najbardziej do jego temperamentu, upodobań, brzmienia głosu – „grała się sama”. Jan Waław, prymus wieczny i kandydat do złotego medalu, wyobrażał sobie podówczas, że jest najznakomitszym na kuli ziemskiej aktorem, wielkim tragikiem i płomiennym artystą. Nosił długie włosy, tak zakazane i karygodnie długie, iż niemało wycierpiał przesładowań od dyrektora gimnazjum, Siewieriana Januaryjewicza Woronkowa, srogiego (z wierzchu) tyrana, a niedołęznego w gruncie rzeczy safandudy. Żadne wszakże kary, groźby i wrzaski, tupanie nogami i neronowskie nastawianie okularów na długowłosego winowajcę nie mogły skłonić Jana Waława do ostrzyżenia absalonowych pukłów.

Długie włosy bardziej niż temu prymusowi – byłyby ś p i ł o w a ł y mnie samemu, gimnazjalnemu, kieleckomiejskiemu, jedynemu na powiat, a kto wie czy nie na gubernię, poecie, autorowi sławnych na całą naszą klasę i cieszących się zasłużoną poczytnością dramatów *Cola di Rienzo*, *Savonarola*, *Zbrodnia na Radostowic* i bardzo wielu innych – brulionów, grubych jak słownik Knapskiego, pełnych poematów „w dwunastu pieśniach”, liryk, „przenikliwych” studiów, krytyk, inwektyw, polemik, filipik. Jan Waław mógł sobie pozwolić na długie włosy. Nic sobie nie robił z wykrzykników Siewieriana Januaryjewicza:

– *Juvenis!* Zapowiadam, że nie zobaczysz matury, jak swoich własnych uszu...

Ja strzygłem swe kędziory, byleby choć w ten sposób zażegnawać licho. Jan Waław marzył o zagranii wielkiej roli.

– Raz zagrać wielką rolę i skonać! – wyło się wówczas, wyciągając ręce do wiernego współtowarzysza, księżycu, na szosie warszawskiej i powierzając temu cierpliwemu słuchaczowi skargi, inwektywy i szyderstwa ukochanych poetów z niemałym krzykiem.

Zatopiony wówczas po same uszy w Słowackim, Jan Waław nie przeczuwał, iż wypadnie mu zagrać „wielką rolę” na scenie sto tysięcy razy większej, niż ją zakreślała młodzieńcza wyobraźnia, na olbrzymiej arenie Sybiru, Rosji, Francji – że to on, Nik zapamiętały z naszej wspólnej ławki, stanie się społecznym herezjarchą, wodzem tłumów, krwawym mistrzem w dziele tworzenia rewolucji proletariackiej i że wielkie rzesze nędzarzy, brodiagów, baciarów bez domu i mienia, iść będą za nim w ogień i wodę, ślepo wierząc w jego dziką „machajewszczyznę”. Osiemnastoletnie serce ani wiedziało wówczas, ile ta rola kosztować będzie, gdzie poniesie i pogoni ciało człowiecze, na jakie je skaże *vincula*, *vulnera*, *exilium*, jak je z granic ojczyzny wypędzi i nękać będzie, zaiste, gorzej niż sama krótka śmierć.

Pewnego wieczora idąc, według zwyczaju, po godzinie dziesiątej do przyjaciela, wybrnąłem z brudnych przejść bocznych i wydostałem się na szeroką Warszawską ulicę, zaopatrzoną już w wąski chodnik z betonu. Świecił księżyc, przesłaniany raz w raz przez chmury, które wiatr szybko pędził przed wspaniałą lśniącą tarczą. Minałem całą długość ogrodowego muru i przyszedłem do pierwszej bramy, prowadzącej na wielki dziedziniec.

Było to stare bramisko, wieczyste na ślepo i na głucho zawarte, dolną krawędzią swą wrosnięte w błoto i osaczone badyłami trawy. Jedynie furtka była ruchomą w tej ogromnej maszynie. Ale i furtka, przez nikogo nigdy nie zamykana, wisiała na swych zardzewiałych wrzeciędzach w pozycji raz obranej za właściwą i dogodną, w stanie zasłużonego spoczynku. Mijało się tę uchyloną furtkę, nie wiedząc o tym, że ona tam jest i że się poruszać może.

Tego wieczora stanąłem obok niej w zdumieniu: była zamknięta. Gdy usiłowałem pchnąć ją i otworzyć, zauważyłem, że rygle klamki puściłyby może pod naporem, lecz że ktoś z drugiej strony bramy siłą podpira drzwiczki i nie puszcza. Zapytałem tamtego, czy można przejść, ale nic mi nie odpowiedział – chociaż czułem, że z tamtej strony jest człowiek. Spróbowawszy jeszcze raz, drugi i trzeci otworzyć zamek z tym samym skutkiem, nie mogąc zrozumieć, co to znaczy, postanowiłem wejść na dziedziniec przez drugą bramę, z ulicy przylegającej pod prostym kątem do Warszawskiej. Ruszyłem szybko przed siebie. Ulica podnosiła się łagodnie ku górze, a że księżyc wypłynął był właśnie spoza chmur, widać było betonowy chodnik na całej jego przestrzeni.

Spiesząc tym chodnikiem pod górę spostrzegłem nagle „Ryżego” Smirnowa. Szedł z pośpiechem na moje spotkanie. Domyśliłem się, że to on nie puszczał mnie przez pierwszą bramę. Chciał mnie pochwycić koniecznie „na ulicy” o późnej porze – czy też pragnął nas obudwu z Janem Waławem przychwycić na czytaniu „zakazanych” książek. W każdym razie zrozumiałem, że na nas obudwu w tej stronie poluje. Brama była zamknięta, mury ogrodowe niezmiernie długie i wysokie. Obliczywszy wszystko, widziałem jak na dłoni, że nie ucieknę: dopędzi mnie goniąc z góry na dół ulicą i schwyci przy pomocy swej łagi, którą będzie mógł puścić po równym chodniku. Miałem tylko jedno wyjście. Ponieważ „Ryży” był jeszcze o tyle z dala, że nie mógł mnie dokładnie widzieć, gdyż księżyc szczęśliwie zakryła chmura, momentalnie przebiegłem na drugą stronę ulicy i, nie myśląc już o tym, co robię, rzuciłem się w pierwszą napotkaną bramę.

Był to wybór najfatalniejszy, jaki zrobić mogłem. Tam właśnie mieścił się „zajazd”, zwany „Warszawskim”, używający zasłużenie jak najgorszej w mieście opinii. Zawsze z okien tego parterowego hoteliku wyglądały gęby dziewczuch, uczerwione burakiem, wyświechtane i bezczelne. Zawsze z tych okien słychać było śpiewy pijaków, ryki oficerów rosyjskich i piski dam w jaskrawych spódnicach. Hotel ów był budynkiem długim i niskim. Na tyłach swych miał wąskie podwórze, które wychodziło na ulicę dwiema bramami. Te bramy, jak na zajazd przystało, zawsze były gościnnie otwarte. W wąskie podwórze to jedną, to drugą bramą wtaczały się frachtowe żydowskie wozy, szlacheckie bryczki i chłopskie furmanki, nieświadome zapewne, co się mieści w samym hotelu.

Wbiegłszy pędem w jedną bramę zajezdną, przemknąłem cwałem, jakby mnie kto batem popędzał, przez całą długość podwórza i, dopadłszy drugiej bramy, nie wybiegłem na ulicę, lecz sekretnie wśliznąłem się za jej ogromną wrótnię. Dlaczego tak zrobiłem, nie wiem dotąd. Zaledwie się tam przyczaiłem, „Ryży” na paluszkach wsunął się w tę bramę właśnie, za której wierzeją byłem zaczajony. Jak doświadczony kot, na palcach pomknął w głąb podwórza i znikł na załamaniu budynku hotelowego. Mignęła jego sylwetka w blasku czerwonej latarni przy wejściu i znikła w ciemności długiego dziedzińca.

„Ryży” był pewny, że mnie tam właśnie uciekającego spotka i chwyci w rozkrzyżowane ramiona, że mu wpadnę w objęcia jak ryba do saka. Tymczasem ja, ujrawszy przez szparę między murem a wrótnią, że poszedł w głąb podwórza, wysunąłem się z tej bramy na ulicę i pogałem do domu „co koń skoczy”.

Jeżeli ja zdołałem wymknąć się „Ryżemu” wskutek mocy działania instynktownego impulsu, podświadomego natchnienia, „zapalenia duszy”, które w istocie rzeczy jest samym twórczym życiem, chwilowym jasnowidzeniem celu i środków, objęciem i zmierzeniem niebezpieczeństwa, a zarazem znalezieniem sposobu ratunku i samym wykonaniem nieomyślnej obrony – to on działał przeciwnie: wykonywał swój akt najzupełniej świadomy, podyktowany przez przebiegły i wyrachowany umysł. Nie pobiegł za mną w bramę, do której się schroniłem, lecz rzucił się do przeciwległej, wiedząc z matematyczną dokładnością, na mocy znajomości tego domu i dziedzińca, że będę cwałem zmykał do tamtej bramy i wobec tego muszę się z nim spotkać. Jakiż miał świetny pomysł! Byłby mnie o późnej godzinie pojmał w hoteliku „Warszawskim”, na dziedzińcu instytucji, którą za Herodotem nazywaliśmy w naszej gwarze *to ojkema*. – Byłby mnie miał w ręku w takim domu, a mszcząc się za wszystko i za wszystkich na mnie, zgubiłby mnie był bezlitośnie i bezpowrotnie. Nie tylko przepadłaby matura, ale zwichnęłoby się całe życie. Jakże bowiem byłbym wytłumaczył swoją obecność w nocy na tamtym podwórzu? Co tam robiłem? Dokąd szedłem? Po co tam wlałem? Kto by uwierzył w jakiegokolwiek wyjaśnienie? „Ryży” znał się doskonale na rozkładzie tej posesji, bo to nie my, lecz on właśnie w dobranym towarzystwie współrodaków tam bywał. Działał tedy na pewniaka. Nie schwytałszy mnie na podwórzu, nie znalazłszy nigdzie w zakamarkach tej budy, otoczonej ze wszech stron wysokimi parkanami, musiał, zapewne, przeszukać i samo rozkoszne wnętrze hoteliku.

Tymczasem ja, przycwałowawszy do siebie, co tchu zapaliłem lampę i zasiadłem do lekcji. Z nosem utopionym w podręcznikach i kajetach – nasłuchiwałem. Okno mej izby – a właściwie odcinka spiżarni, przedzielonego cienkimi deskami od tego zbiorowiska wędlin, serów i szczurów – wychodziło na obszerne, puste place, zastawione tam i sam lichymi domami przedmieścia. Dolne jego ramy tkwiły tuż nad samą ziemią.

Gdy upłynęło jakie pół godziny od mego powrotu do domu, usłyszałem w ciszy nocnej kroki. Przyuczone do ciszy i odgłosów tęcznych stąpań ludzkich moje ucho odróżniło każde z obcych po zmarzniętej ziemi. „Ryży” podpatrywał mię. Zachodził to z jednej, to z drugiej strony, zaglądał z jednego i drugiego boku. Siedziałem przy stoliku, pozornie zapracowany, zaczytany w mych książkach, czując szpiega za ścianą całym jestestwem. Wreszcie zobaczyłem go spod oka, gdy mijał plac na palcach w oddali.

Nazajutrz rano szedłem do klasy zapięty na wszystkie guziki i obarczony książkami w sposób prawidłowy.

„Ryży”, defilujący po naszym szkolnym korytarzu, co należało do jego codziennych obowiązków, przywitał mię miłym uśmiechem. Na mój ukłon odpowiedział najwdzięczniejszym pochyleniem giętkiego korpusu. A gdym go już wymijał, szepnął z cicha, przymykając oczy z mniemanym zachwytem:

– *Molodiec!*

Zdziwiony nadzwyczajnie, zapytałem, co znaczy ta jego pochwała. „Ryży” pokiwał uczesaną główką i wykonał palcami nieokreślony, zagadkowy ruch w powietrzu. Uśmiech jego nie był w owej chwili przyjemny.

Molodiec – a więc zuch, chwat... Któż wie, komu się w istocie należy ten pochwalny epitet z racji wybiegu. Ja go splątałem w praktyce naszemu układnemu pedagogowi, ale do wykonania podała go jakaś siła nie moja, niemal zewnętrzna, niczym ręka niewidzialna, popychająca i władcza.

WILGA

(Ze zbioru *Elegie*)

Wstałem po rannym posilnym dospaniu wcześniej niż wszyscy domowi. Jeszcze drzewa sosnowe i brzozowe, akacje i dęby przesycone były obfitą nocną rosą, a słońce dopiero powstawało kędyś daleko w lasach niemych i polnych pustkowiach. Odziewałem się cicho, żeby nikogo nie przebudzić. Chodziłem na palcach, aby snadź pode mną nie skrzypnęła źle dopasowana deska podłogi. Miałem w sobie radość cielesną po sennym spoczynku, która nieczęsto człowieka nawiedza. Patrzyłem z upojeniem przez okno rozwarte w zgmatwaną pustkę ogrodu i widziałem na jawie nie istniejący jego uśmiech, którym się dla mnie miłosiernie na tę jedną chwilę przyodział.

Przez szczelinę uchylonych drzwi do sąsiedniego pokoju przypatrywałem się twardemu snowi jedenastoletniej osoby, której uśpiania nie chciałem za żadną cenę przerywać. Cieszyłem się, że było jeszcze tak cicho, tak niemo, że nikt nie zakłóca i nic nie przerywa porannego milczenia.

Wiedziałem przecież aż nadto dobrze, że za płotem ogrodu i za furtką zamkniętą stoją w ciszy i czekają cierpliwie towarzysze i przyjaciele jedenastoletniej osoby – psy tutejsze, domowe i sąsiedzkie, osiadli strażnicy dobra ludzkiego i bezdomne włóczęgi uliczne, wielkie Asy i do cieląt podobne Medory – wysmukłe, podpalane i zblazowane stare kawalery, na wzór Puka – i wieczne zgłodniałe suczki bez imienia, kopane raz w raz ciężkimi butami dwunogich stróżów, naszczekujące płaczliwie, żałośliwie i bez powodu po nocach, po prostu na wspomnienie stałej swej poniewierki – pudle o jedwabistych grzywkach i lokach, a wyczesanych kudełkach, w zbytku i sutej łasce wielkopańskiej zatracające zdolność biegania i umiejętność szczekania – oraz tchórzliwe, przebiegłe, obrosłe gnojem i błotem zeschniętym polne brodiagi, czatujące na brudne kości śmietnika, Mknęły tam kędyś po śliskich od rosy gałęziach siostrzyczki-wiewiórki, sunęły po trawach króliki. Czaiły się czarne i łaciate koty – Myzie i Kizie – prześlizgiwały się niepostrzeżenie jaszczurki i podskakiwały w wilgotnej koni czynie żaby zielone. Wiedziałem, że ów niejasny, oddalony szmer, rozkosz sprawiający zmysłowi słyszenia, to odgłos pracujących dzieciółów i dłutew, to rozmowy poranne przelotnych dzikich gołębi, to gęźba chóralna trznadłów, sikorek, makolągów, wróbli i jaskółek.

Ożył bowiem już dawno i pracował solidnie na utrzymanie swoje i bezsilnych potomków cały umiłowany świat jedenastoletniej wygodnisi. Każdy pies, dojrzany za dnia na drodze czy na cudzym podwórzu, był to już z samej natury rzeczy jej wiemy przyjaciel i stokroć pożądany towarzysz. Nic to nie znaczyło, iż taki syn wył przy budzie albo bez powodu i sensu szczekał zrozpaczonym głosem, zatruwając temu lub owemu z „dużych” noc całą i w mękę ją przemieniając. Każdy najdzikszy i najbardziej złowrogi brytan, kundys czy wyżeł merdał

ogonem na widok beztrwożnej panny, która obces biegła na jego spotkanie – wnet, według rozkazu, warował i chodził posłusznie, dokąd mu rozkazano, niczym za panią swą przyrodzoną, słuchał zleceń i skinień, z pokorą otrzymywał ostre łajania – ba! – drżał całym włochatym, bestialskim cielskiem wobec machnięcia nad jego nosem cienkim brzoźowym patyczkiem. Niemało z tej psiej zbieraniny i nocami chadzającej bandy wałęsało się zawsze dookoła domu, a nie śmiejąc wejść na podwórze w obawie stróżowskiej pały, czekało cierpliwie za ogrodzeniem, czy nie zabrzmi głos przyjazny i czy nie ukaże się radosna postać protektorki i szafarki łask wszelakich.

Lecz spała oto twardym snem przyjaciółka i specjalna protektorka powsinogów, włóczykijów, ptaków, gadziny i płazów.

Któż zgadnie, co w snach swoich widziała? Czyli świat ten tutejszy, znany jej, własny i właściwy w swym pięknie i w swej brzydocie, w cnotach chwalebnych i w grzechach obmierzłych, które dorośli karzą srogim kopaniem, biciem i przeklinaniem na odległość – czy jaki świat inny, który już nie ukazuje się dorosłym, zepsutym przez nadmierną moc zakazów, zgryzionym przez ostre siekacze i twarde kielce żywota? Dorośli wszystko potrafią wyśledzić przebiegłym wzrokiem rozumu, podnieconym od kropelek okrutnych wypitej cykuty – wszędzie dotrzeć zdołają myślami, posuwając się krok za krokiem za ogieniaszkiem logicznego wywodu – mogą nawet wymędrkować widną jak na dłoni duszę swą własną, istniejącą poza ciałem, bytującą na zewnątrz mózgu cielesnego – lecz nie znają już i nie miewają nielogicznych snów jedenastoletniego panieństwa, wobec którego ptaki o niedolach i radościach swych zrozumiale śpiewają, bezdomne i wygłodniałe psy zanoszą skomleniem skargi istotne, jako przed jedynym swym sprawiedliwym urzędem – róże otwierają łona pełne woni i dają uczuć najpierwszy ranny zapach nozdrzem przyjacielskim, ażeby im jednym wyjawić w pełni, na miarę nieskazoną, szczęście bytu zamknięte w zapachu i w barwie; – a bratki ku ich łzom pochylają za wiatrem głowy żalobą pisane, wiecznie wspominając przedwcześnie umarłych.

Patrzyłem w półcienny, półróżowy mokry ogród. Ileż to tam nowości tej nocy nastąpiło! W półmroku klombu lśni olbrzymia łodyga naparstnicy, która – niewinna tak i nadobna – umie nadto uśmierzyć straszliwe serca męczarnie.

Piękny kwiecie, władco i rozkazodawco w najtajniejszych mrokach istnienia, we wnętrznościach komór serca rozhukanych, z nocy ciemnej przychodzący – witaj, zawitaj, zawitaj w ciszy tego poranka! O tej chwili nieporównanej jesteś tylko pięknością. Kto cię tu powołany ujrzy za małą chwilę, zachwyci się i uweseli barwą twoich kielichów w sposób godny i należny twojej rzetelnej piękności. Moje oczy już nie są godne twej krasoty. Ja się ciebie głucho lękam, o piękna, wielobarwna łodygo! Ja się unizam z najgłębszą pokorą przed tobą, gdyż widzę, jako się w proch obrócisz i szarym staniesz popiołem, niezmierną rozporządzającym potęgą.

Ktoś tu wkrótce cichymi stopami do klombu przybiegnie i na trawach zmoczonych, na ziemi czarnej od rosy spostrzeże ślad stopy zbrodniczej, co się pod osłoną mroku nocy skradała do nierozwiniętego pąka róży, który się jeszcze lęka świtu, tuli bezsilnie sam w sobie i ochrony szuka wśród koleców. Ktoś tu wnet groźne powęźmie podejrzenie, strasznego nabierze przeświadczenia i złowrogie rzuci oskarżenie: – to Marta!

Oto tam dalej dwa włoskie orzechy, jeden wspaniale rozrosły, bujnymi liśćmi okryty – drugi schorzały, niewesoły, więdnący, auzoński cudzoziemiec wśród mazowieckich dębczaków i sosen. Ktoś go tu wnet będzie na tym wygnaniu pocieszał, piosenkę mu śpiewał, piosenkę mu śpiewał mniej skądinąd znaną:

Piękna Helena z liściem szerokim
Nad modrym gajem rosła potokiem,

pień jego obejmował ramionami i tulił różowe policzki do jego kory ozięblej. Ktoś tu wnet cały obszar przebiegnie chyżymi stopami, aby wszechobejmującym spojrzeniem zrachować, ile się w nocy narodziło nowych koniczyn, aby zbadać, czy wszystkie zawiązki owoców wiszą na miejscach swoich, czy nie złamana gdzie kwietna łądyga i czy kto zbrodniczymi stopami nowych traw nie podeptał.

Cisza powszechna czeka na nadejście dozorczyń. Lecz oto przerywa to pospólne milczenie beczelny śpiew wiwilgi. Posypały się ciężkie krople rosy na okrągłe głowy koniczyn, na smółki wysmukłe i przyziemny barwinek, gdy z łopotem skrzydeł w koronę sosny zapadła. Tuż przy oknie, rozwartym w ciągu nocy na oścież, przewija się żółtym połyskiem złotnia złotolita, melodyjna boguwola, sepleniąca i figlująca swym poświstnym gędzioleniem zofija, przelewająca we fletnię niewidzialną trele faliste filuterna kraska, wołająca raz w raz kogoś z tamtego świata snu twardego do tego świata porannych cudów życia. W śliskich, polotnych, tam i na wspak przeplatających się śpiewu przegubach, zakończonych śmiesznym półgrzytem, zawarte było swoiste wołanie, przebudzanie, przyzywanie. Zamknięte są wciąż jeszcze oczy śpiochy, lecz uszy jej chłoną śpiew zofijny, wiwilgną kantylenę i dziwaczne pieśni zamknięcie.

Coś tam mają do siebie, coś do siebie wiedzą te dwie z dwu życia okolic i z dwu otchłani istnienia. Tamta śpiewa, a ta nawet we śnie mocnym do miłego śmieje się śpiewu. Lecz wiadać, świat snu głębokiego piękniejszy jest niżli ten, który wiwilga zachwala. Któryż, śpiocho, wybierzesz? Któryż cię bardziej czaruje?

Ja, co już znam nienajgorzej ten zewnętrzny – co w kielichach kwiatów poszukuję prochu szarego, a świata snów wyzbyłem się prawie – wolę, żebyś jak najdłużej w świecie snów przebywała.

Cóż zaś mogę uczynić dla przedłużenia, rozszerzenia sennego królestwa twego – o najdroższa! – ja, natrętny świadek, widz strudzony, przychodziń z dalekich antypodów, gdzie panuje ponury i głuchy smutek, do czarującego dwuświecia czarów? Mogę oto tylko chwycić kamień i cisnąć go w koronę sosny rosą nasiąkniętą, ażeby spłoszyć śpiewną wiwilgę i przeciąć nić cienką między zachwycającym śpiewem życia i twardym, głębokim, pięknym snu mocarstwem...

O PEWNYM WIELKIM PANU I JEGO MAŁYM MURZYNKU

W pewnym bardzo pięknym murowanym dworze, który okoliczni mieszkańcy przywykli nazywać pałacem, mieszkał młody pan, bardzo przez wszystkich lubiany, gdyż był wesoły, dowcipny i nigdy nikomu krzywdy nie czynił. Pokoje jego „w pałacu” pełne były obrazów, pięknych mebli i książek. Sam dziedzic, którego wszyscy chętnie, nie wiadomo nawet dlaczego, nazywali „panem hrabią”, grał szumnie na fortepianie i bardzo głośno śpiewał. Pan hrabia miał śliczne konie do wyjazdu oraz wielką obfitość powozów i bryczek. A gdy wyjechał się do miasta albo w sąsiedztwo, było na co popatrzeć. Jeździł bowiem zawsze czterema końmi okrytymi lśniąca uprzężą. Na przednim siedzeniu paradował wąsaty furman w liberii, z tyłu dwu kozaczków w granatowych kurtkach i wysokich czapkach, a obok furmana na przednim siedzeniu zwracał na siebie powszechną uwagę Murzynek, którego zadaniem było otwieranie drzwiczek pojazdu, gdy pan wysiadał. Najczęściej jednak pan wyskakiwał z powozu wcześniej, nim Murzyn spełnił swoją powinność. Wtedy jego czarnoskóra mość Nikodem łypał srodze białkami i wyszczerzał białe zęby, co mogło oznaczać, że się wstydzi, ale również, że się cieszy z obrotu rzeczy.

Cały ów czarny służbista, choć już Nikodem, miał wszystkiego lat dwanaście. Skąd go pan dziedzic wy dostał, tego nikt nie wiedział, gdyż była to właśnie tajemnica pana dziedzica. Mówiono, iż czarnucha przywieziono wprost z Afryki, gdzie się urodził w okolicy pełnej świętojańskiego chleba, wśród krokodyłów i orangutanów, papug i pieprzoadów. Tak mówili złośliwi, którzy o to tylko dbają, żeby nawet Murzynowi białą łatkę przypiąć. Dobrzy polscy ludzie we dworze polubili Nikodema, gdyż był „usłuchany”, grzeczny, uczynny, choć tam i wiedzieli o nim, że wypala pańskie papierosy za węglem dworu, a kucharzowi podkrada ciastki i pcha czarne swoje paluchy w cytrynowe i śmietankowe lody, żeby je po wydobyciu z tychże lodów z murzyńska oblizywać.

Wszystko to, co tu o Nikodemie i jego panu powiedziane zostało, nie przetrwało długo. Pan hrabia zanadto często wyjeżdżał z domu z kozaczkami i Murzynkiem. Złośliwi ludzie, o których obfitości w tamtych stronach była już mowa, twierdzili, że pan hrabia dużo pieniędzy w karty przegrywał. Gdyby nawet nie wierzyć w to, co rozpuszczali złośliwi, to i cóż z tego za pociecha? Interesy pana hrabiego naprawdę zły obrót wzięły. Rządca źle obsiewał pola i zboża rodziły się ponad wyraz liche albo zgoła przepadały, gdyż dziedzic nie pilnował ani zasiewu, ani zbioru. Wiedzieli wszyscy, że ekonom wywiercił świdrem dziurę w tylnej ścianie spichlerza i długim patykiem wierząc w otworze wytaczał na zewnątrz do worków czyste zboże, nasypane wysoko pod tą ścianą w wewnętrznym spichlerza sąsięku – tylko jeden dziedzic o tym nie wiedział. Ekonom robił to tak sprytnie, iż zboża w spichlerzu mało co zo-

stało, a wykradzione sprzedał i pieniądze sobie przywłaszczył pod pozorem, iż miał pensję nie wypłaconą za dwa kwartały. Karbowy, patrząc na gospodarkę rządcy i wiedząc o sprawkach ekonoma, również, choć podobno z bólem serca, podkładał pana hrabiego.

Wreszcie popłatały się wszystkie interesy, zmówili się wszyscy niedobrzy ludzie i dziedzic stracił bardzo szybko swój piękny majątek. Raz w raz przyjeżdżali urzędnicy i zabierali inwentarz, zboże, konie, krowy, narzędzia, a później piękne obrazy, meble i czarny fortepian. Nie otrzymawszy ani pensji, ani utrzymania, rozeszli się służący fornale, furman z wężami i kozaczki w szerokich szarawarach. Później odszedł kucharz, ogrodnik i pokojówki.

Pan hrabia został sam jeden w pustym i ogołoconym pałacu. Spał na lichym łóżku, które mu pozostawiono. Glinianą miskę do mycia stawiał na ostatnim stołku z kuchni, który teraz zaawansował na mebel do sypialnego gabinetu. Na ostatnim zaś stoliczku nie było co stawiać do jedzenia, gdyż zagaśł ogień w kuchni i nie gotowano już w tym pięknym dworze.

Nie opuścił zrujnowanego dziedzica tylko Murzynek imieniem Nikodem. Czyścił po dawnemu buty i w lot zapalał zapalki, gdy pan hrabia miał jeszcze papierosa i wyjawiał zamiar palenia. Spał przy drzwiach, łypał oczami, wyszczerzał zęby i czekał na rozkazy. Ale pan dziedzic niewiele już wydawał rozkazów.

Czasami wesoły pan, którego tak powszechnie hrabią zwano, szedł piechotą poprzez ogrody, a później miedzami do sąsiedniej chłopskiej wsi i za ostatnie grosze kupował nieco chleba razowego, sera i masła. Wtedy obadwaj z Nikodemem pożywiali się, wesoło śmiejąc się do siebie-i wymawiając nieliczne wyrazy francuskie, które Nikodem rozumiał.

Murzynek nie opuścił pana hrabiego nie dlatego, żeby go nadmiernie uwielbiał, lecz niestety dla prostszej przyczyny. Oto pan nie mógł mu dać pieniędzy na drogę do miasta, skąd go na wieś przywiózł. Nikodem zaś nie-śmiał, nie umiał i nie był w stanie wypowiedzieć prośby o pieniądze. Nie umiał dbać o siebie i nie bardzo wiedział, co się z panem dzieje. Miał przecie dopiero lat dwanaście i był w tak dalekim, obcym kraju. Patrzył na wszystko osłupiałymi oczami, widział, jak droga do pałacu trawą zarasta, jak pan często płacze i ręce łamie w pustych pokojach.

Aż oto pewnego dnia pan zapowiedział, iż idzie do miasta i że wkrótce z pieniędzmi powróci. Ale nie wracał. Nie wracał zaś dzień, drugi, trzeci, czwarty i piąty. Murzynek biegał od okna do okna, wyczekiwał, nasłuchiwał, wypatrywał, tęsknił za panem. Płakał nawet wzorem pana. Łzy lały się z jego oczu nawet nie czarne, lecz przezroczyste, jakby był białym człowiekiem. A gdy wyjadł ostatnie zimne kartofle i powyskrobywał ostatnie już okruszyny, a nic nie było ani w pustym domu, ani w opuszczonym ogrodzie do spożycia, głód go przynaglił do ucieczki.

Nikodem wyszedł z pałacu i ruszył w świat szeroki. Bał się iść drogą, więc za wzór pana poszedł poprzez ogród, a później miedzami w pola.

Był to koniec czerwca. Już się ślicznie falowały dojrzewające żyta, wąsate jęczmiona i po-złotą okrywać się zaczęła piękna pszenica. Skowronki zanosły się w górze. Kędyś w tajnikach zbóż przepiórki nawoływały: „Pójdźcie żąć! Pójdźcie żąć!”

Nikodem nie rozumiał, co przepiórki po polsku wykrzykują, ale się śmiał wesoło do tego głosu wdzięcznego. Ponieważ był bardzo głodny, więc sekretnie przychyłał kłosa żyta i wyłuskiwał ziarna jeszcze niedojrzałe, mlecz miękki po okwitnięciu. Pewnie tak czynili gdzieś tam w Afryce jego przodkowie. Połykał chciwie smaczny młeksiz i nie myślał o tym, że zabrnął w nieznane strony. Szedł długo, bo słońce już miało się ku zachodowi. Nie wiedział, gdzie jest i w której stronie został dwór jego pana.

Ludzie pracujący w polach spostrzegli czarną kupę, płaczącą się między działkami na odludnych miedzach.

Przerazili się bardzo. Jezu – cosik czarne! Tknęło ich, że to nie jest dobrze. Jak na komendę zaczęli krzyczeć:

– Diabeł! Diabeł! Diabeł!

Inni, jeszcze bardziej nierozsądni, którzy nigdy na oczy czarnego człowieka nie widzieli, chwycili za kamienie, za bryły ziemi, za kije. Biegli przez zagony z krzykiem jak na wilka:

– Oha! Oha!

Kilka kamieni i brył ziemi dosięgło Nikodema. Toteż mały wziął nogi za pas. Ale przymusowa głodówka już go bardzo osłabiła i nie mógł zwawo uciekać. Modlił się więc w swoim wielkim nieszczęściu do Pana Boga, najpierw po murzyńsku, a później po francusku, żeby być lepiej zrozumianym i chętniej wysłuchanym. Tymczasem z odległych pól i z różnych stron gnali ku niemu ludzie z krzykiem i pomstowaniem:

– Diabeł! Diabeł!

Na szczęście Nikodem dojrzał jakieś drzewa, a w nich biały dwór, nieco podobny do pałacu jego pana. Mając za sobą gromadę ścigających, zdyszanych, bez tchu dopadł do domu i do drzwi kuchni w tym nieznanym dworze. Lecz skoro tylko drzwi otworzył, znowu wszystkie służące w kuchni zgromadzone podniosły na jego widok krzyk jeszcze groźniejszy niż tamten w polach:

– Diabeł! Diabeł!

Murzynek opadł na progu i wodził po ludziach hałasujących swymi białymi oczyma. Już nie mógł uciekać i nie widział dokąd. Nie mógł płakać. Wyciągnął tylko ręce z błaganiem o litość.

I oto na skutek wielkiego krzyku we drzwiach kuchni ukazała się jasnowłosa panienska, która wrzaskliwej gromadzie nakazała ciszę. Osłoniła rękami i niebieską sukienką Nikodema i poprowadziła go za rękę do pokoju. Tam posadziła go przy stole i nakarmiła po same białka oczu chlebem i zimnym mięsem, a napiła gorącą herbatą ze śmietanką.

Trzebaż dodawać, iż Nikodem, gdy jego opiekunka wyszła z pokoju na chwilę, ściągnął z pudełka stojącego na tymże stole dwa papierosy, ażeby je sekretnie wypalić, gdy go odprowadzono do małej izdebki na górze dworu?

Tam czarny jegomość otworzył piec i zaśmiał się do jego czarnej czeluści. Zaciągnął się dymem i wielkie kłęby puszczał w pustą czeluść, ażeby zatrzeć ślady swej zbrodni papierosianej.

PUSZCZA JODŁOWA

*Panu
Aleksandrowi Janowskiemu
wyraz braterskiej czci*

W uszach moich trwa szum twój, lesie dzieciństwa i młodości – choć tyle już lat nie dano mi go słyszeć na jawie! Przebiegam w marzeniu wyniosłe góry Łysicę, Łysiec, Strawczaną, Bukową, Klonową, Stróżnę – góry moje domowe – Radostową i Kamień – oraz wszystkie dalekie siostrzyce. Nie ja to już, człowiek dzisiejszy, wciążam zdrowymi płucami tamiczne powietrze, kryształ niewidzialny, niezmiernie, nieskazitelne, przezyste dobro – zimne, nie skalane oddechem, zgnilizną, brudem, pyłem – lecz ktoś inny, kogo już dawno nie ma, młodzieniec, który niegdyś w mym jestestwie przebywał. Nieraz mi się wydaje, że go wcale nie było, że to po prostu jedna ze zmyślonych figur, które wynajdywać w nicości, tworzyć, kształtować i pokazywać ludziom – za pomocą pisaniny było moją manią od dzieciństwa – że to Rafał albo inny jaki bujał niegdyś t a m o j po górach. Tamten ja, miniony i nie istniejący, z bronią na ramieniu, nachyla się nad burzliwą, kipiącą wieczyste wodą źródła świętego Franciszka i przegląda się w jego czystej powierzchni, czystej jak łza, ażeby ze swego odbicia czynić wnet przedmiot baśni, bohatera, postać nie istniejącą a najbardziej bliźnią, *quidam* tajemnicze, byt dwunogi, godny wieloaktowego dramatu albo godny epepei w dziesięciu pieśniach. Tamten siaduje nad brzegiem wartkiego strumienia, co ze źródła świętego Franciszka wybiega, co śmiga w dół i snuje się po kamieniach. Tamten wysłuchał, jaki to puszcza szeroka wydaje głos za wiatrem przypadającym i odchodzącym, a mnie o tym przez całe moje nędzne życie podaje wieść.

Znawcy dziejów ziemi, co jak niedosięte krety bobrują po warstwicach skorupy, latają niczym ptaki po lądach i morzach przeddziejów, a skaczą po tysiącleciach chyżo i pewnie, wmawiają we mnie, że zburzyszcze na szczycie Łysicy, osędziałe od mchów, utkane paprocią i kwieciami, że kwarzec świetlisty od miki i połyskliwy od górskiego kryształu, co w szczycie pasma zalega – tai w sobie odgnioty wielkookich raków morskich, zagrzężłych ongi w piachach tego przed wiekami wybrzeża oceanu Północy. Tak jest czy inaczej – niechże oni zajmują się tymi pośmiertnymi raków dziejami. Ja śmierci nienawidzę. Uwielbiam nowe życie tej krainy, choćby ta jego nowość sięgała pierwszego porostu trawy morskiej na tym rączym cmentarzu.

Widzę jeszcze dziecięcymi oczami wielkie raki żywe, stwory czarne o formie dziwacznej, straszącej wyobraźnię dziecięcą, jak suną po jasnym, gliniastym dnie potoku, co z mej góry rodzinnej spada w rozpędach, zakrętach, półkolistych obiegach ł nagłych w dół popławach. Soczyste nad nim trawy, kaliny, tarki, wilcze łyko i bujne łądygi, wewnątrz puste, wielkimi liśćmi nakryte, których pień łyczkiem cienkim obciążony tak się świetnie nadaje do wciągania w usta lodowatej wody ze źródła, wody, co łupie w zębach. Zarośla z brzegu na brzeg przerzucone splatają się między sobą. Chmiel je obwija, a przetykają leśne maliny. Srokosze w ich gęstwinie kują swe dzwonne pieśni, a zatajona kędyś kukulka bawi się w chowanego z rozbawioną, z rozigraną dziecięcą duszą. Czarne cienie jodeł kołyszą się rytmicznym tanem na wiosennej murawie bezmiarem kwiatów zasłanej. Wielorakobarwne, nakrapiane i pisane motyle latają z miejsca na miejsce, jakby szukały tego tajnego schowania, gdzie się kukulka ukryła. Dzwonny szmer ponika wyrwa się z łożyska, chcą się do zabawy przyłączyć, lecz żywe jego wody porozdzierane przez głazy na liczne strumienie muszą uciekać, uciekać w dolinę. Migocą tam w słońcu, mieniają się, połyskują, błyszczą – obraz wieczny jedyne prawdziwego szczęścia, istotnej niepodzielnej i skończonej radości życia. O potoku, potoku, gdzieżeś to poniósł, gdzieżeś to podział tamte wody!...

Zaznajomiłem się był dobrze w ciągu wielu młodości lat z wodami żywymi tej leśnej Nidy, co się z czystych potoków w bujną rzekę rozrasta. Obejmowała mię niegdyś przychylnym, lodowatym ogarnięciem, gdym się w jej czarne głębie ufnie rzucał po twardym, po kamiennym śnie, skoro tylko świt za szczytem Łysicy niebo zarumienił. Nosiła mię na łonie swym jak dobra matka, gdym pływał – stojąc, na wznak, na piersiach i na bokach. Wyrzucała mię z wnętrza swego na powierzchnię siłą potężną głębin niezgruntowanej, najeżonej rosochatymi kłodami drzew puszczy ongi zwalonych, w dno wrosłych – gdym zbyt długo nurkiem po jej tajnikach chodził. Znałem się wówczas na obyczajach i naturze ryb, na chytrłości, mądrości i instynkcie dzikich kaczek, cyranek, bekasów, kurek wodnych, grzywaczy i jastrzębi. Przeszpiegami i chytrością ludzką odpowiadałem na przespiegi i obronne sposoby rogaczy, lisów i zajęcy. Byłem myśliwcem i rybakiem – z nazwy zresztą bardziej niż ze skutecznego efektu łowieckich zabiegów. Byłem bowiem największym (bo jedynym) na całe Świętokrzyskie Góry poetą udającym myśliwca i rybaka. Miałem w sobie lekkość lisa, nogi jelenia i jak gdyby skrzydła bekasa u ramion. Pisałem swe marne wiersze w lasach i wertepach – w ciągu długich letnich deszczów pod cieniem olchy obwisłej w nadnidziańskim smugu – pod daszkiem brogu na wilkowskim ugorze – oraz w leśnych kapliczkach, obok klasztoru Świętej Katarzyny.

Układałem dramaty, już wówczas niesceniczne i chybione, z powstańczych legend tego zapadłego kraju, gdzie jeszcze był nie wytchnął ślad stopy skrwawionej pokonanych bojowników – gdzie jeszcze ściany przydrożnej austerii czarne były od kuł i podziurawione jak rzeszoto; a każdy człowiek dojrzały, co krwawe czasy przeżył, tylko o nich mówił, kładł je w moje uszy, jak do składu – a czasem tym dzielił na części swe życie przed i popowstaniowe. Układałem nie skończone i, oczywiście, źle zbudowane powieści o chłopie Marku z Krajna, co w powstaniu własną swoją, chłopską partią dowodził, i wyciągałem epos o przeklętym i wyklętym zdrajcy z tejże wsi – Janicu – co za wydanie spisku Ściegiennego – chwały naszych czarnych lasów – order, pięć kolonii w nagrodę otrzymał, a sam rozpił się, na dziada zeszedł i w przydrożnym sypiał rowie.

Widzę cię we wspomnieniu, świątynko mała, dawnego eremity domku, kołysko moich – żal się Boże! – poezji...

Otoczona ze wszech stron płotem z żerdzi jodłowych, stoisz pośrodku łąki pachnącej. Drzwi twe dawno spróchniały, zamek ich zardzewiał i już nie spaja połowic. Wiatr, nie znośzący tajemnicy i zamknięcia, rozwalil je we dwie strony, przyparł do ścian i raz na zawsze otworzył. Zgniły i zapadły się drzwi w podłodze prowadzące do sklepu – pod ziemią. Oglądaj każdy, ktoś ciekaw, co tam jest w głębi! Leżą na dnie wyschłe, suche, w zbutwiałej trumnie zwłoki niewiadomego polskiego rycerza. Jest to może ten sam rycerz, co na żelaznej pięści

podparty a przyłbicę zamczystą mając u wezglowia śpi na marmurowym pomniku w starym klasztorным kościele Świętej Katarzyny. Ten sam to może, którego życie, łacińskim wysławione opisem, siostry zakonne w chwalebnej gorliwości o czystość świątyni rokrocznie na Godne Święta malują wapnem od góry do dołu tak porządnie i skutecznie, iż z peanu sławy rycerskiej widać jedynie liczne, lecz nieczytelne wgłębienia, a i sam rycerz wraz ze swą epopeją w wapienną bryłę się zmienił i stał niejako podwaliną niemej ściany.

W kapliczce leśnej można pewno i dziś jeszcze czytać napisy po ścianach, ostatni raz białonych – na szczęście! – przed powstaniem. Jeden z nich, wyryty jakimś ostrzem, głosił słowo mało zrozumiałe:

*SZCZYT MOICH CIERPIEŃ
ZRÓWNAŁ SIĘ Z TĄ GÓRĄ 1863.*

Nie było imienia i nie było nazwiska. To jakby ów rok wszystek – 1863 – ostrzem straskanego pałusza czy złamanego bagneta na niemych murze, dla nikogo, te słowa wypisał.

Obok tego oświadczenia, które się stało osnową pewnej krwawej tragedii, co całkowity brulion za całe czterdzieści groszy wypełniła sobą od deski do deski – widniały wy drapane na murze nazwiska: „Stefan Żeromski, uczeń klasy drugiej” – a niżej, tuż pod tamtym: „Jan Strożecki, uczeń klasy drugiej”. O ile ów, z roku 1863, zanadto pilnie swe nazwisko zataił, o tyle my dwaj, uczniowie klasy drugiej, czyniliśmy wówczas, dla uwiecznienia naszych, co się tylko dało, co było w naszej mocy. Jan Strożecki i później czynił, co się tylko dało, co było w jego mocy: w najsroższy Sybir na wytrwaną z moskiewskim caratem chodził bez trwogi, a potem, po latach walki, we Francji, godnie, jak przystało na towarzysza naszej ławy w kieleckiej szkole, zginął ratując tonącego człowieka. Ale – o Janku! jeśli siostry zakonne na któreś Godne Święta odmalują kapliczkę bożą u podnóża Łysicy na leśnym skraju, i twoje jedyne *epitaphium*, i ślad mej glorii, największego poety między Łyską i Radostową Górą, wniwecz pójdzie, w nieme i martwe wapno się zamieni, tak samo jako chwała rycerza w dole. Tylko konwalie i poziomki nie zapomną o wolnych duszach rycerzy. Dookoła starej kaplicy, w trawach bujnych woniejąc, pchać się będą, jak zawsze na wiosnę, ku drzwiom roztworzonym, przechylać owoc rubinowy i kwiaty białe poza próg spróchniały, jakby w zbożnym zamiarze, by bojownikom, zapomnianym przez ludzi, oddać zapach swój, tymian pozgonny.

Zdobywanie przestrzeni za dni młodości za pośrednictwem mocy mięśniowej, która tak bez wysiłku dawała sobie radę z odległościami, wycisnęło swój obraz niezatarty na pojmowaniu, a raczej na uprzytomnianiu sobie wszelkich wymiarów. Miarą przestrzeni była i jest dla mnie odległość różnych miejsc w tamtych stronach. Dwie wiorsty – to polna droga z Ciekot do Wilkowa, trzy wiorsty – to gościniec z Krajna do Górna, trzy mile – to linia prosta z Kielc do Świętej Katarzyny. Każda trudna, duża i ciężka praca jakiegokolwiek natury, literacka, biblioteczna czy inna, obrazowo i porównawczo mierzy się w mej wyobraźni, w małej sile mięśniowej i nerwowej na wysokość góry Radostowej. Jestem oto u jej podnóża, w Leszczynach, w Mąchocicach, w Bęczkowie – jestem na pierwszym garbie, na drugim, na trzecim – jestem niedaleko wierzchołka – jestem na szczycie! Widzę już mój kres i mój cel: rodzinny dom! Schodzę z rozmachem w dół. Otom już w granicy naszych pól. Widzę drzwi, przekraczam próg... Upadam po trudzie na cichy i radosny spoczynek...

Jak ja, tak samo wszyscy dawni ludzie, którzy niegdyś wdzierali się na te góry i przemierzali wielkie lasy, poili się tym samym jedlanym szumem, ten sam zapach wciągali nozdrzami i tym samym czystym powietrzem napełniali płuca. Pierwszy, co wtargnął, z oszczepem-li, czy z siekierą brązową w dłoni, z południa od strony Wiślan czy z północy od strony Mazowszan, przyszedł przed czasami, które ima i swoimi sposoby utrwala dla potomnych plotka człowiecza – drżał pewnie w sobie patrząc struchlałymi oczyma w puszcę Łysicy. Widział bowiem wokół siebie drzewa srogie, zwartym ostępem stojące, wyniosłe, borem niedosię-

głym dla szybkiego spojrzenia wyległe w dal milami. Lękliwa cześć napełniała jego duszę, gdy mierzył nieznanne i niewidziane, grube, obłe, potężne pnie, podarte od przepęknięć i okapane obarami żywicy, na sto łokci wybiegające pod niebo. Krzywymi pazurami korzeni wszczepione między omszałe, sterczące i nawalone skrzyżale, między rumowie, które zwietrzały kwarzec górski wytwarza – spłaszczonymi koronami chwiejące się za wiatrem tam i sam – obwieszane ciemnozielonymi wieńcami igieł ulistwienia – obarczone licznymi ramionami spławów potężnych – pachnące balsamicznym olejem w nasionach zawartym – śpiewały przed nim własny poszum swój, puszczańskie wzdychanie, niemowny śpiew, który wszystko ludzkie zna i wspomina. Z ciemnej lasu gęstwiny szedł na jego duszę, nastawał i napastował głos dawien-dawny, nieodmienny, głęboki – wysoki: ostrzeżenie i napomnienie, śmiech i płacz, duma zamierająca w pustce głuchoj. A skoro zamierała nuta lasowa, wyrwało się z puszczy wycie wilka albo hukanie pochutliwe puchacza i przejmowało serce człowieka straszną bojaźnią.

Przychodzień ów tajemną czucia korzył się przed niemymi wielkodrzewami. Chciał zrozumieć wygłos ich, jakoby zagmatwany i zamazany bełkot niemowy – ażeby w nim znaleźć odpowiedź na niepewność, tajemniczość i kruchość żywota. Lecz w brzmieniu tym, podnoszącym się z milczenia i odchodzącym w milczenie, wiała nań tylko wiadomość o śmierci nagłej a niespodziewanej. Toteż w trwodze swej wierzył, że w boru tym tai się, kryje i oddycha wiatrem śpiewnym duch wszytkomogący, Świst-Poświst, bożyszczce śmierci.

Przyjacielem mi był za dni młodości tamten pierwszy przychodzień. Lubiłem marzyć, jako się skrada tymi samymi co ja zaroślami, wadołami, w których te same biegną potoki, łaskawością pagórków i niziną mokrych smugów, ażeby polować na bobry brunatne, co na brzegach naszej czarnej rzeki kuliste swe chaty, żeromiona budowały – na puszyste, kasztanowate, wysmukłe i gibkie leśne kuny, których cenne skórki były rodzajem pieniądza – dziesięć na grzywnę – środkiem wymiennym – na niedźwiedzia i wilka, na jelenia i srogiego dzika, co dziesiątkowi kundłów dawał radę, gdy go stanowiły w oparzelisku – na chytrego lisa, na krępego leniwca, czyściocha i ospalca borsuka, i na sępa siadującego w widłach największego drzewa w Łysicy. Lubiłem marzyć, jak z kopami skór kunich na ramieniu przemyka się leśnymi ścieżkami, które sam jeden zna, ku Tarzkowi u brzegu rzeczki Świśliny, na skraju lasów, gdzie już do puszczy docierają z dawna karczowane, jednolite pola sandomierskiej urodzajnej gliny. Tam to, na targowisku starodawnym jak pamięć ludzka zasięgnie, myśliwce i kłusownik!, ludzie leśni, ludzie dzicy, ludzie waleczni spotykali się z ludźmi z polan i równin polskich, z pól i niw, którzy siali żytnie i pszenne ziarno, melli mąkę i umieli szczepić na dziczkach owoc smakowity. W zamian za skóry kunie, borsucze i niedźwiedzie, za wilczury i bobrowe kołnierze dostawali kowane żelazo i rzemień wyprawny, mąkę i sól, słodki owoc i wypalone naczynie. Tam także słuchali wieści o innych światach niż świat czarny. Słuchali wieści o mężach dziwnych, co w Żmigrodzie wznoszą kamienną bożnicę, wodą naród pracowity polewają i uczą miękkich zabobonów. Ludzie puszczy chętnie opuszczali targowisko na Tarzku i szli nazad ku górcom. Witali las radośnie, gdy się z góry najwyższej spadem nagłym osuwa w zimnej doliny otchlisko niczym chmura gradowa. A gdy po jego błękitnych przegubach we wnętrzu ciemnym, dla oczu niedosięgłym, obłok biały piał się ku szczytowi wzniosłemu, radowało się bezsłownie serce ich – serce nasze, zawsze to samo serce ludzi puszczańskich.

Kędyś daleko, za Radostową i Kamieniem, w stronie południa było inne tagowisko, na wzgórzach, gdzie grodek polskiego króla ludzie wojenni zbudowali. Tam to, w podgrodziu, goście z obcej strony, kupcy przebiegli, mieli na sprzedaż za skóry kunie broń sieczystą i zmyślnie naczynia z żelaza. Z tegoż gródka, na Kielcach wzniesionego, wyszedł węgierski książę Emeryk i poniósł w rękę święty krzyż na Łysiec, gdzie już król polski imieniem Mieczysław, a może Bolesław przezwiskiem Chrobry, a może Krzywousty – zbudował był kościół niewysoki, gruby, sztuką dawną, grecką z kamienia postawiony. Tenże król sprowadził

dwunastu braci benedyktynów, pochodzenia i językiem Włochów, z góry Kassynu, i w klasztorze na Łyścu osadził. Długo szedł korzenistą i piaszczystą drogą księżę węgierski Emeryk w towarzystwie biskupa krakowskiego Lamberta, niosąc ze czcią pięć ułamków Krzyża Świętego wprawionych w złoty krzyż o pięciu ramionach. Srogi lud leśny nie ważył się napastować tych bezbronnych pątników. Ciężyla już nad jego samowolą mocna ręka królewska, a ślady władzy tej zostały w nazwach gór: – góra Królewska, góra Książęca. Dopiero teraz, po ośmiu wiekach, podłość zbójów wróciła do swej samowoli. Gdy kule wojny zburzyły wieżę kościoła na Świętym Krzyżu, ręka złodzieja wyłamała święte schronienie i zdarła złote blachy ze szczątków Krzyża, a samo święte drzewo cisnęła kędyś między brud ziemi.

Nadszedł był czas, iż księżę panujący w Krakowie darował łańcuch gór i błamy lasów krakowskiej biskupiej stolicy. Kasztelanie pobrzeżne w Kielcach i Tarżku stały się ostojami i siedzibami władzy nowych panów tego przestworu. Powstał w Tarżku – z czasem Tarczkiem przezwanym – dworzec myśliwski biskupi. Tam władcy, którzy niejednokrotnie spychali z tronów królów, zażywali puszczańskich wywczasów. Z gminu nieraz wyrosli, a dzięki cnotom, wiedzy, ogładzie, przebiegłości i znanstwu rzeczy ziemskich, w auzońskich podpatrzonemu krajach, na tak wyniosłe podniesieni siedlisko, stali się dobroczyńcami leśnej ziemi. Tworzyli nowe miasta, jak Kielce i Bodzentyn – wśród dziczy nietrzebionej dźwigali podniebne kolegiaty, wznosili zamki, wzorem włoskim zdobione – jakoby wstęgi wysnuwali z potężnych dłoni mury obronne – napelniali miasta rzeszami sztukmistrzów. Z górnego i środkowego Ponidzia sprowadzali osadników z siekierą i sochą do trzebienia i karczowania skrajów lasu w pobliżu grodu kieleckiego. Dawali wolę ludowi rolnemu w Woli Kopcowej, Radlinie, Górnio, Leszczynach, Woli Jachowej, Napieńkowie. Trzon wyższy długo jeszcze trwał po staremu. Kiedyś dopiero rolnicy podejść bliżej, wyrąbią polany, gdzie bielą się Bieliny, ciągną się Porąbki, i wgryzą się w samą Łysicę i Krajno, wiszące na skłonie wysokim.

Jak niegdyś niezwyceżeni królowie i potężni krakowscy książęta, tak później polowali tutaj rycerscy biskupi – Lambert, Gedko, Prandota, Bodzanta, Florian Jelitczyk z Mokrzka, Paweł z Przemankowa, Zbigniew z Oleśnicy, Gamrat, Zadzik i inni. Otoczeni zdrowym, wyniosłym, zahartowanym w srogim klimacie, potężnym fizycznie, dzielnym i walecznym narodem górskim, gminem szczwaczów, przebiegłych i czujnych ślakowników zwierza, chytrych, jakoby cuchem psim obdarzonych kłusowników, wśród chartów, ogarów, kundlów na dziki, jamników na lisy i borsuki oraz wszelakiej innej psiarni, roznoszącej po szczytach i dolinach echa wrzaskliwe – przebiegali puszcę odziani w pancerz, z oszczepem i łukiem w dłoni. Walczyli pierś w pierś z włochatym niedźwiedziem, rozjuszonym wilkiem i srogim odyńcem, który, ciapiąc groźnie w stanowisku, szarpał kielcami psy i martwe miotał na strony.

Tam to spoczywał onego dnia, jak głosiła jedna z powieści, potężny Bodzanta na pochyłości matki-góry. Miękki nasuwień, szatę tkaną, wzorzystą miał powierzeń napierśnych blach. Zsiadł z konia, runął na ziemię. Skinieniem dłoni odegnał zgraję pochlebców, wesółków, błaznów i wszelakich służalców. Precz kazał zabrać psy na smycze. Z rękoma założonymi pod głowę, z nogami w skórzniach po pachwiny rozwalonymi szeroko, z oczyma zatopionymi w niebie, gdzie białe chmurki sunęły ponad przyplaszczonymi głowicami, leżał na wznak. Słuchał, jak jedle niezmierne pieśń mu wywodzą jedyną, której słuchać warto, albowiem nigdy nie wygasa i na sile nie traci – pieśń o przepętędze i zuchwałych żądzach młodości, i o zgniłej rozpaczy starości – o pasjach i furiach ducha rozszalałego. Wołały go ku modlitwie lecącej w niebo, gdyż przesmutnym wzdychaniem swoim trwozę poznania wszechrzeczy rzucały w jego sumienie. Wspominały mu lata minione – odpłynione, których nie wróci nikt, nigdy. Wspominały mu tajnice grzechów, w których był skowany jako kłodnik w ciemnicy. Nikt o nich nie wiedział nic, jeno te drzewa. Pobudzały go, ponęcały i powabiały ku czemuśi in-szemu, nieznanemu. Przyciskał do serca swego pienie ich biskup Bodzanta poprzysięgając je najmocniejszym zaklęciem, ażeby jeszcze śpiewały...

W ten to leśny kraj, jeszcze bezludny i nie zabudowany, dziedzinę biskupich łowów, gdzie synowie boru snuli się na wzór zwierząt, tropiąc i zabijając zwierzęta oraz śmiałków, którzy by z jakimkolwiek towarem ośmielili się ciągnąć korzenistym, piaszczystym i mokrym szlakiem z podgrodzia w Kielcach ku podgrodziu Bodzentyna – przybyli jednak nieustraszeni ludzie i między świętokrzyskimi zbójcami, właśnie obok starej drogi, na dobre zasiedli. Byli to anachoreci, benedyktyńscy eremici. Pobudowali sobie małe domki z pniów jodłowych, które wicher z ziemi wyrwał i na trawę obalił. Wyszukiwali miejsca przy wodzie – ten ci przy źródle burzliwym i kipiącym wieczyście, tamten przy strumieniu, co migoce w słońcu, mieni się, połyskuje i błyszczy, a trzeci jeszcze niżej, nad potokiem zarośniętym tarniną, kalinami i gąszczem leśnych malin, gdzie srokosze kują swe dzwonne pieśni, a zatajona kędyś kukułka zabawia się w chowanego. Domki ich do dnia dzisiejszego przetrwały, zamienione na przydrożne kapliczki, gdy eremitów nie stało, pamięć o nich wygasła, i gdy już nikt nie wie, nie pamięta, nie rozumie, czemu to tutaj właśnie stoją te puste chatki boże. Owocześni przybysze nie lękali się niczyjej napaści, gdyż nie posiadali nic zgoła, co by się dało zrabować. Pustelnicy ci prowadzili życie ostre wstrzymując się po lat kilka, w największe nawet święta, od pokarmów mięsnych, niełatwo przyjmując, i to czasem tylko – jałmużnę. Służyli ludziom ciągnącym tymi stronami poprzez Kamień Kraiński czy brzegiem rzeki – za przewodników i udzielali noclegu zabłąkanym we wielkich lasach. Pierwsi też pewnie rozmawiali z myśliwcami i osadnikami o tajemnicy bytu i śmierci.

Gdy pierwszy anachoreta, pono Włoch rodem, przybył w tę puszcę ciemnozieloną, szum jedlany wspominał mu pewnie niebo Południa, widok Kampanii neapolitańskiej, błękitne wyspy w błękitnym morzu, widzialne jako skupienia mgły z góry Cassino – albo zachylenie ziemskie najwdzięczniejsze na ziemi, gdzie morze w ląd się wlewa obok Santa Margherita Ligure – ul mnichów. Wspominał mu srebrzystość drzewa oliwy spływającą ku szkarłatom róż w dole, róż, co wydają ze siebie *Santa Rosa Mystica* – ku drzewom czereśni i migdału, różowiejącym i bielejącym za dni marcowych. Posepnicza i żal ogarniały duszę człowieka z tamtych kwietnych i wonnych krain, a dziki urok lasu Północy obcy mu był i wrogi. Lecz siła ducha i niezłomna wola kazała w umartwieniu i modlitwie szukać lekarstwa na posepnicę i żal. Nad jego chatą ciemnozielona puszcza szatański zawodziła świst-poświst i wypędzała go s t e l a. Toteż, gdy nie było już dlań powrotu, przychodzić uciekał w górę, wyżej, coraz wyżej ponad żądze cielesne, ponad naturę ludzką, ponad naturę anielską, do wyciągniętych objęć Człowieka-Boga.

Być może, iż jeden z tych to anachoretów, co polskiej był krwi i mowy, a szedł z rodu ludzi dostojnych, mówił do zgromadzenia ludzkiego zrozumiałym polskim językiem owo kazanie o świętej Katarzynie, które jest najdawniejszym zabytkiem pisanym tej starej mowy. Istniał-li już wtedy kościółek ku czci tej świętej wzniesiony między eremami? Darowany najprzód zakonowi bernardynów, a później zakonowi sióstr-bernardynek – przetrwał stulecia. Siostry zakonne nauczyły lud okolicznych wsi czytać i pisać, robót ręcznych i rzemiosł. Zasadziły za klasztorem swym ogród ozdobny, gdzie lilie najcudowniejsze na ziemi zakwitają w czerwcowe niedziele, ażeby zdobić ołtarz wielkiej męczennicy Katarzyny – i gdzie wychylały się ponad mur wysoki kwitnące drzewa jabłoni. Potok w łożysko ujęty ze szmerem przelewał swe wody skroś ogrodu, a wielki, ciemny las trzymał w swym łonie ten rozkwitły wirydarz.

Lecz stare bóstwa domowe, leśne i polne nie pomarły. Strzygi i zmory, kostusie i morzyńska siedzą u progów, w węglach i na poddaszkach. Zły hasa drogami, czatuje na krzyżowych i wałęsa się wokoło domostw. Mór w złe czasy wlecze się kolejami dróg, choć mu je zagrażają osinowe krzyże. Wiara nie do wytrzebienia głucha, ciemnonocna, leśna, swoja, skrycie ciągnie się wsiami, k o l e n i j a m i, co teraz wdarty się aż pod szczyt Radostowej i na samą przełęcz Kamienia, co rozsiadły się, jak Klonów lub Psary, na wyrąbanych polanach boru. Grasują wciąż jeszcze czarownice, cioty i widmy latają na szczyt Łysicy po tajemnicze zioła, rzucają urok i sprowadzają nieszczęście. Odczyniają wszelkie choroby i uroki nieomylni, ro-

dowici wróżę, lecząc starymi sposoby – zamawianiem według formuł dawnych, niezrozumiałych, na podstawie splotów włosów, kawałków odzieży z wisielca, widełek nietoperza, mchu z krzyża na rozstajnej drodze, wody wrzącej, węgla lub chleba.

Przyrosły czary nowe. Gdy stary zakonnik, kapelan u świętej Katarzyny, w czasie Podniesienia dźwigał na wysokość oczu ciężką złotą monstrancję i wśród błękitnych dymów kadzidła patrzył w ciżbę ciasno w kościółku stłoczoną – chowali się jeden za drugiego i kryli twarze w dłoniach starzy „chłopcy” świętokrzyskich wiosek, co ta na sumieniu mieli przecie niejedno. Mówili bowiem szeptem najstarsi, że wtedy stary brat Kazimierz przez Przenajświętszy Sakrament widzi każdą zbrodnię ludzką jak na dłoni. Strach wielkooki szedł między chłopcy.

A któż ciebie wypowie, co moc twoją uprzytomni, pieśni-potęgo: „Święty Boże, Święty Mocny, święty a Nieśmiertelny – zmiłuj się nad nami!” – gdy ją ze siebie wyrzucali tłumem, gromadą, wsiami, wtłoczonymi w odwieczny, grubomury, niski, mały kościół Świętej Katarzyny! Prośli się po chłopsku, nisko, u kolan Boga – „Od powietrza, głodu, ognia i wojny – zachowaj nas, Panie! – My grzeszni Ciebie Boga prosimy...”

Nie wyprośli się od wojny! Przyszła sroga i straszna. Srozsza i czterokrotnie dłuższa niż samo Powstanie. Jakoby gradowa burza przelatywała z kołatem i łoskotem ponad górami wysokimi i nad niskością chałup. Przychodziły z siekierami podłe Austriaki, żeby ciąć głucho lasy, których nawet bury Moskal nie ważył się tykać. Lecz obroniła się dzika strona swymi wyrwami, kamienistością dróg, wąwozami górskimi z pieca na łeb, po których nawałnica swego czasu wody puszcza. Nie dosięgły Łysicy!

Przyszła znowu na swe miejsce Polska. Nie zamienili Moskale klasztoru Świętej Katarzyny na koszary konnicy, jak to było w ich planie, i nie przyłożył Austriak siekiery do korzenia lasów. Stoi oto wciąż dom boży. Widać ze wszech stron białą jego wieżę w dolinie, fiołkowej od lasów, co z dala i z bliska ciągną ku niemu wielkimi pasmami. Jest jakoby zwornikiem, w jedność ujmującym wielorakie pustkowia. Oko przybiega z obszarów i spoczywa na jego białym kształcie, a wyrzeźbiony w żrenicy – zachowuje w sercu na zawsze.

Żyj wiecznie, świątńco, ogrodzie lilij, serce lasów! Przemineły nad tobą czasy złe, złane ludzką krwią. Ciągną inne, inne... Lecz któż może wiedzieć, czy z plemina ludzi, gdzie wszystko jest zmienne i niewiadome, nie wyjdą znowu drwale z siekierami, ażeby ściąć do korzenia macierz jodłową na podstawie nowego prawa, w interesie jakiegoś handlu lub czyjegóż niezbędnego zysku.

Jakie bądź byłoby prawo, czyjekolwiek by było, do tych przyszłych barbarzyńców poprzez wszystkie czasy wołam z krzykiem: – Nie pozwalam! Puszcza królewska, książęca, biskupia, świętokrzyska, chłopska ma zostać na wieki wieków, jako las nietykalny, siedlisko bożyszcz starych, po którym Święty Jeleń chodzi – jako ucieczka anachoretów, wielki oddech ziemi i żywa pieśń wieczności !

Puszcza jest niczyja – nie moja ani twoja, ani nasza, jeno boża, święta!

DODATEK

FRAGMENTY BRULIONOWE „SNU O SZPADZIE”

W dwu notatnikach Żeromskiego z r. 1907 istniały dwie brulionowe redakcje tego utworu. Wcześniejsza nosiła tytuł *O żołnierzu polskim* i miała charakter wyraźnie polemiczny; utwór był zakrojony na szerszą miarę. Wersja późniejsza, bliższa drukowanej, miała tytuł *Żołnierz* i mieściła się na dwu kartkach innego notatnika, wypełnionego głównie rzutami do *Słowa o bandosie*.

Hanna Mortkowiczówna w artykule „Zielony kajet Jaśniacha” („Wiadomości Liter.” 1933, nr 10) podała drobną garść fragmentów z pierwszego brulionu.

„Matką i wami zaopiekuje się w przyszłości państwo”. – Tymi słowy, stojąc pod kulami karabinów, kończył swój list do synów japoński oficer Jokohawa, osądzony na śmierć przez sąd rosyjski za usiłowanie zniszczenia mostów na drogach żelaznych w Mandżurii [...]

Idea socjalistyczna nie była w narodzie naszym popularną. Przyniesiona została z Zachodu, narzucona została narodowi. Dziennikarz „polski” głosił zapamiętałe, że jest „obca” narodowi polskiemu. Przyszedł jednak zdumiewający fakt, że cały lud polski uznał ją za swoją [...]

Ktokolwiek jesteś, rodaku, jeżeli nie gromadzisz majątku z pracy bliźniego, winienesz być bratem żołnierza wolności, czyli socjalisty polskiego [-..]

Musi być znowu rzucone w świat uczucie socjalizmu [...]